

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/481

1987



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. GAWLIKOWSKI :

TRUDNA PRZYJAŹŃ GIGANTÓW

L. UNGER :

POŁAWIACZE MIN CZY POŁAWIACZE PEREŁ?

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :

POŻAR W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ A. D. 1998

R. GORCZYŃSKA : **ŚMIECH I TRWOGA**

KRYZYS W "SOLIDARNOŚCI"

SPIS RZECZY

Lesław Maleszka:	<i>Refleksje o życiu bieżącym</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Pożar w Kaplicy Sykstyńskiej A.D. 1998</i>	13
WIERSZE		
Piotr Pięta:	<i>Próba opisu</i>	28
Adam Bąkowski:	<i>W r a k</i>	29
Anna Pogonowska:	<i>L a m e n t</i>	29
Krzysztof Hariasz:	<i>**</i>	30
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Krzysztof Gawlikowski:	<i>Trudna przyjaźń gigantów</i>	31
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	40
Jan Ulatowski:	<i>Na marginesie Ankiety „Kultury”</i> ..	50
SPRAWY I TROSKI		
Witold Zahorski:	<i>Polacy we Włoszech</i>	53
—	<i>Od Redakcji</i>	54
Janusz Mondry:	<i>Jerzy Milewski w Japonii</i>	55
K R A J		
L.L.:	<i>Uwagi o niezależnym obiegu wydawniczym</i>	56
—	<i>Smutne, ale prawdziwe</i>	67
(ja):	<i>Notatki z Polski</i>	69
—	<i>Oświadczenie w sprawie wywiezionych Polaków</i>	73
„W o l a”:	<i>Nie tylko o pielgrzymce...</i>	74
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	76
Andrzej J. Chłedecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	84
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i>	88
WYWIADY „KULTURY”		
Krystyna Stypułkowska-Smith:	<i>Stosunki PRL — ZSSR (rozmowa z Michałem Jagiełło)</i>	91
Maria de Hernandez-Paluch:	<i>Nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości... (rozmowa z Piotrem Chruszczyńskim)</i>	106
KRONIKA KULTURALNA		
Renata Gorczyńska:	<i>Śmiech i trwoga</i>	121
Marek Abramowicz:	<i>Nagrody Kyoto 1987</i>	130
Sławomir Mrozek:	<i>Oświadczenie</i>	133
CI, CO ODESZLI		
Stefan Kisielewski:	<i>O Zygmuncie Mycielskim</i>	135
Józef Czapski:	<i>James Burnham (1905-1987)</i>	138
KRYZYS W „SOLIDARNOŚCI”		
Redakcja „Kultury”:	<i>Oświadczenie</i>	141
Krzysztof Pomian:	<i>List</i>	143
KSIAŻKI		
M. Broński:	<i>Medalion</i>	145
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	147
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	148
Norbert Żaba:	<i>Kronika szwedzka</i>	151
◆		
M. Delaperriere, I. Lasota, K. Rutkowski, P. Wandycz, St. Wąsik:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	157
I. Lasota:	<i>Wyjaśnienie Komitetu Pomocy Solidarności</i>	158
Redakcja:	<i>Sprostowanie</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1987

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Bronisław Baczko, Genewa — serdecznie dziękując wszystkim przyjaciołom w Kraju i na emigracji, którzy wyrazili mu współczucie z powodu śmierci Zony, Reli	F. 500,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — pamięci Zygmunta Hertza, w ósmą rocznicę Jego śmierci — \$ 100,00	F. 600,00
Alicja D., Nicea — dla uczczenia pamięci Alaina Kosko	F. 100,00
Wiera Gran, Paryż — zamiast kwiatów na grób dr. Michała Borwicz, pisarza, bojownika, bohatera i niezastąpionego obrońcy prawdy historycznej drugiej wojny światowej	F. 300,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires, po raz 9-ty — \$ 46,00	F. 276,00
Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA), po raz 9-ty — \$ 100,00	F. 600,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa, ON (Kanada), po raz 10-ty ..	F. 165,00
Irena i Kazimierz Lascy, Wiedeń — zamiast kwiatów na grób Loli Katz, zmarłej w Kopenhadze	F. 300,00
(Przepraszamy, że odnotowujemy ten dar z takim opóźnieniem — zaszło podwójne nieporozumienie)	
B. T. Łaszewski, Nowy Jork, po raz 21-szy — \$ 60,00	F. 360,00
Emil Morgiewicz, Monachium (RFN) — zamiast kwiatów na grób Bogumiła Studzińskiego	F. 133,20
Lidia M. Procyk, Westfield, N.J. (USA) — z podziękowaniem bibliotekarzowi Instytutu Literackiego za oprowadzenie po zbiorach książkowych podczas mojej wizyty w Maisons-Laffitte 17 lipca 1987 — \$ 50,00	F. 300,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 23-ci — \$ US 100,00	F. 600,00
Krzysztof Pomian, Paryż — zamiast kwiatów na grób dr. Aurelii Baczko	F. 200,00
Suma zapisana w testamencie przez śp. Marię S. Machowską i przekazana przez biuro adwokackie Bragdon, Berkson & Mangones, Keen, N.H. (USA) — \$ 1.000,00	F. 6.000,00
Zamiast kwiatów na grób bardzo nam drogiej Reli Baczko, zmarłej 2 lipca br. w Genewie — Zyta i Harald Jensen & Kaja Christiansen, Aarhus, Dania	F. 400,00
Maciej Wierzyński, Evanstone, IL (USA) — zamiast kwiatów na grób Matki w rocznicę Jej śmierci — \$ 30,00	F. 180,00
Maria Zarzecka, Bruksela, po raz 2-gi	F. 100,00
Beata i Robert Żywny, Londyn, po raz 2-gi — £ 10,00	F. 95,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom, walczącym w Kraju z przemocą komunistyczną — DM 10,00	F. 33,00
Marian Orłowski, Ridgewood, N.Y. (USA) — na ruch oporu w Polsce — \$ 10,00	F. 60,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Refleksje o życiu bieżącym

Ubolewanie nad kryzysem postaw społecznych weszło ostatnio w modę. Przecistawiając dwa-trzy pierwsze lata po stanie wojennym, okres wzmózionej aktywności organizacyjnej i dynamiki struktur konspiracyjnych, latom następnym, powtarza się bez ustanku, że społeczeństwo straciło impet, popadło w zrezygnowanie i apatię, uległo atomizacji, ucieka w świat przyziemnej prywatności i angażuje resztki energii tylko w rozliczne kłopoty dnia codziennego. Słowem — jest źle. Można do tego dorobić błyskotliwe teorie, na przykład o „zimie ideologii”, „radykałizmie odłożonym”, „wygaśnięciu pewnej formuły”, której początek wiąże się z inicjatywą KOR-owską, zaś kulminację przyniósł czas „Solidarności”.

Nie chcę powiedzieć, by to biadolenie pozbawione było wszelkich podstaw. Istotnie doskwiera nam marazm pustej sceny politycznej, nieufność dla różnego typu zaangażowania i dominacja drobnych partykularyzmów. Jeszcze gorzej, gdy na tym grząskim gruncie zaczyna się uprawiać filozofię. Chwilami bojaźń ogarnia, słuchając co poniektórych intelektualistów, rozprawiających uczenie o bankructwie formuły „Solidarności” jako ruchu plebejskiego, populistycznego i egalitarnego — i przecistawiających jej indywidualne tendencje dorobkiewiczowskie, „pragmatyczne”, których głównym wrogiem okazują się być właśnie idee. Wychodzi na to, że jesteśmy społeczeństwem normalnym, skoro w każdym domu telewizor, a ulic nie tarasują już budy policyjne. W ślad za tym idzie kult „realizmu politycznego”, możliwego tylko na wyżynach elit. Zaiste, czasy są chłodne. Prawem humoru odnotujmy, że te nowe diagnozy znalazły szczególne uzasadnienie, właśnie ideologiczne — w dorobku amerykańskich neokonserwatystów, zatem najbardziej pryncypialnych oponentów myśli komunistycznej.

Paradoks? Owszem, lecz jakoś zgodny z duchem trudnych czasów.

Jak co roku, fundusz nagród w szkole podzielony został w cztery oczy — przy kawie pitej pospół przez dyrektora placówki i szefa nowych związków zawodowych. Wnioski o nagrody i odznaczenia wysłane zostały do władz kuratorium, nagrody przyznano na górze mniejszej ilości osób, niż wnioskowano: po prostu kolejny raz zredukowano limity pieniędzy. Wszystko w normie. Tym razem jednak nauczyciele nie wytrzymali, zirytowani faktem pominięcia we wnioskach jednego z kolegów odchodzących na emeryturę. To prawda, język miał niewyparzony, przepracował przecież w tej szkole dwadzieścia pięć lat. Na dodatek dało się wyczuć rozbieżności w stanowiskach obu decydentów — wprawdzie wcześniej się dogadali, potem jednak dyrektor w rozmowach prywatnych z innymi pracownikami delikatnie „puszczał farbę”, komu to nie chciał przyznać nagrody związkowiec. Wśród personelu, jak zwykle, gadano po kątach, pomstowano na obu — po staremu...

Skutek był trudny do przewidzenia. Podczas najbliższej rady pedagogicznej grupa nauczycieli wystąpiła z wnioskiem na piśmie, by podzielić nagród dyskutować i zatwierdzać podczas posiedzeń rady. Doprowadzono do głosowania tego wniosku i przyjęto go w charakterze uchwały. Przypomniano, że w świetle Karty Nauczyciela rada posiada ustawowo tego rodzaju uprawnienia. Dyrektor i szef związków w nowej sytuacji, oczywiście, gorąco przychylił się do wniosku. I cóż mogli zrobić innego?

Z tej samej szkoły: dyrektor wyjmując w trakcie rady jakąś broszurę i stwierdza, że właśnie przyszły nowe zalecenia w sprawie realizacji w programie nauczania zasad świeżości szkoły. Wokół ironiczne uśmiechy. — To ja już państwu tego czytał nie będę, bo nie ma czasu, tylko zostawię to w pokoju nauczycielskim, a wszyscy zainteresowani przeczytają w wolnej chwili. — Wiadomo, nikt do tego nawet nie zajrzy. Wyznaczono nauczyciela do zorganizowania akademii 1-majowej. W świetlicy szkolnej gala, kwiatki z papieru na kotarach, dzieci ustawione w szeregu, nauczyciele w pierwszym rzędzie... Impreza zaczyna się hymnem narodowym, kończy wierszem Miłosza „Który skrzywdziłeś...”. „Międzynarodówki” nie było. W połowie akademii dyrektor wychodzi do swoich zajęć. Bo i co go ta cała heca obchodzi? Kolejny punkt programu z ministerstwa — obchody Święta Pracy — został niniejszym zrealizowany i można go ująć w sprawozdaniu. Z jednej strony rytuał, życie na niby... z drugiej — co wy-

noszą z tej imprezy młodzi ludzie, rozmawiający dziś tylko o stylowych ciuchach i grach komputerowych?

Tak tu żyjemy. Opisywanie tego jest rzeczą doprawdy nieproszą, zawodzą bowiem wszystkie analogie. Z dystansu wydawać by się mogło, że mamy do czynienia z czymś na kształt dekady gierkowskiej. Niby bez więźniów, z jawnymi komitetami w obronie praworządności i dynamiczną siecią wydawnictw niezależnych, nagminne odsiadki 48 godzin zastąpiły notoryczne kolegia à 50 tysięcy... Ten opis słabo jednak przystaje do rzeczywistości.

Jej zasadniczym *novum* jest szereg bocznych furtek i określonych przejść. W istotnym stopniu odziedziczyliśmy je po jawnym okresie działania „Solidarności”. Później je przymykano i blokowano, lecz nie udało się tego urzeczywistnić do końca. Realisci będą twierdzić, że zostawiono je celowo — wentyle bezpieczeństwa są wprawdzie niewygodne, lecz w sumie potrzebne. Może...

Istota sprawy polega z jednej strony na tym, że coraz powszechniejsza jest społeczna świadomość ich użycia. Mówiąc zwyczajnie, nigdy dotąd ludzie nie korzystali równie często z rozmaitych instytucji i przepisów prawnych. Jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych procesy robotników przed sądem pracy (o nieprawomocne wypowiedzenie umowy, pozbawienie premii, bezzasadną naganę) budziły niejaką sensację; dziś jest to procedura powszechna. Procesują się nawet całe brygady i — co ważne — dość często wygrywają. W zakładzie pracy obyczajem stało się powoływanie na rozmaite przepisy regulaminowe, ale też wnioskowanie o zmianę tych przepisów na korzyść pracownika. Z lekceważeniem spotyka się natomiast postawa człowieka w pełni „dyspozycyjnego” wobec kierownictwa; nawet neozwiązkowcy w trosce o swój autorytet zdobywają się na gesty otwartego sprzeciwu (wywieszając w gablotach uchwały podważające stanowisko dyrekcji). Jest też dla wszystkich jasne, że chcąc załatwić jakąś sprawę, warto jej nadać szerszy rozgłos, gdyż jest to skuteczny instrument presji na władze zwierzchnie. Czy na tym polega nasz „mały pozytywizm”?

Dwóch pracowników Urzędu Miasta w Dukli wyleciało z pracy za to, że nie poszli na wybory w roku 1984. Zaskarżyli tę decyzję do sądu — i wygrali. Wygrali też swoją sprawę nauczyciele nowotarscy, ukarani za odmowę udziału w pochodzie 1-szomajowym. Nie warto nawet wspominać o normalnych przedsiębiorstwach produkcyjnych — tam udział w owej imprezie trudno wygzekwować nawet od członków PZPR. Z ulic wciąż bawią oczy pojednawcze plakaty i plansze, nawołujące do „porozumienia”, „jedności”, „dialogu” i „wspólnego jutra”, wydaje się jednak,

że Polskę masowych wieców i niemilkających oklasków mamy już za sobą.

Po pierwsze więc — wykorzystanie broni prawa, po drugie — działania zorganizowane. Zasada angażowania się w ciała samorządowe, niepodatne na kuratelę urzędów do spraw ideologii, z czasem zastąpiła zasadę bojkotu wszystkich instytucji oficjalnych. W przedsiębiorstwie można dyskutować otwarcie o projektach reformy gospodarczej na forum organizacji naukowo-technicznej. W szkole wyższej pełną swobodę wymiany poglądów zapewniają kluby studenckie i koła naukowe. Patronat oficjalnej organizacji młodzieżowej nad tymi instytucjami, o ile istnieje, jest czysto formalny i nie ogranicza w żadnym stopniu wyboru tematów, prelegentów, swobody wypowiedzi uczestników.

Mam przed sobą dziwny biuletyn. Nosi tytuł *Sowiniec* i wydany został przez Komitet Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego, działający legalnie przy Towarzystwie Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Druk oficjalny, „do użytku wewnętrznego”, nakład sto egzemplarzy. Moi przyjaciele z Krakowa pamiętają zapewne liczne próby powołania takiego komitetu w latach 1977-1980, inicjowane przez działaczy Ruchu Obrony Praw Człowieka w naszym mieście. Wtedy komitet działał nielegalnie, jako kolejna instytucja opozycji demokratycznej, później znalazł się przy Zarządzie Regionu „Solidarności” Małopolska. Wydawało się, że stan wojenny położy kres inicjatywom entuzjastów pamięci Marszałka Piłsudskiego.

Lektura biuletynu przynosi nadspodziewanie obszerny zestaw rozmaitych przedsięwzięć podjętych w samym tylko roku 1985. Chodzi głównie o uroczystości: msze święte, składanie na kopcu ziemi z pól bitewnych, akademie, wieczornice, spotkania przy grobach zasłużonych dowódców, sesję naukową, warty honorowe, wystawę obrazów, przegląd filmów archiwalnych — w sumie samo kalendarium za okres od 10 lutego do 11 listopada 1985 wlicza 22 tego typu inicjatywy, zaś wewnątrz numeru znajdziemy też relacje z innych, pominiętych we wstępnym wyczerpieniu. Co tu jest najważniejsze? Wiem oczywiście, że różnie można oceniać postać Komendanta w różnych momentach naszej historii, teraz jednak liczy się istnienie środowiska w pełni skryzalizowanego ideowo, gotowego, by owe idee jak najszerzej dziś upowszechniać w społeczeństwie. I jeszcze jedno — fakt, iż pasja i zaangażowanie tych ludzi, w sporej części młodzieży, jakoś mieści się na obrzeżach legalności, co w pewnym stopniu ułatwia im działalność.

Na innym planie odnotować warto działalność samorządów przedsiębiorstw. Pomimo braku spektakularnych sukcesów, pomimo przemilczania ich problemów i osiągnięć w urzędowych publikacjach, mimo wreszcie dwuznacznego sugerowania, iż chodzi

tu o działalność wrogą ustrojowi i półlegalną, rady pracownicze w szeregu zakładów prowadzą aktywną działalność i nierzadko notują realne osiągnięcia — jak choćby niedopuszczenie do przystąpienia zakładu do zrzeczenia, wprowadzenie rachunku rozliczeniowego w strukturze międzywydziałowej, przesunięcia w planie finansowym na rzecz inwestycji modernizacyjnych, zmiany tabel płacowych, systemu premiowania i tak dalej. Konflikty na linii samorząd — dyrekcja również nierzadko znajdują epilog na sali sądowej, a zdarzają się przypadki odwołania dyrektora przez samorząd. Prawda, wiele inicjatyw ruchu samorządowego nie mogło być zrealizowanych, wiele też było z premedytacją paraliżowanych przez władze, które — jak można sądzić — szczególnie obawiają się samorządowych porozumień poziomych. Ale też warto podkreślić poważny sukces tego ruchu, jakim była IV Ogólnopolska Narada Przedstawicieli Samorządów Załóg w gmachu Sejmu PRL, w październiku ubiegłego roku. Solidarna postawa uczestników narady doprowadziła do wycofania przez rząd pakietu projektów nowelizacji ustaw gospodarczych, mających znacznie osłabić samodzielność przedsiębiorstwa i ograniczyć kompetencje rad pracowniczych.

W szarej strefie egzystencji społeczeństwa posttotalitarnego (bo zrozumiałe jest chyba, że obecny system nie przystaje w prosty sposób do modelu państwa totalnego) następuje rekonstrukcja postaw obywatelskich, wyrażająca się w dążeniach do integracji wokół wspólnych celów oraz w przeciwstawianiu woluntaryzmowi rządzących normy i litery prawa. To ważna zdobycz ruchów społecznych w Polsce, od KOR-u poczynając. Doświadczenie „Solidarności” odegrało w tej dziedzinie zasadniczą rolę.

W połowie stycznia temperatura spadła do dwudziestu paru stopni poniżej zera. Wtedy właśnie pękła rura ciepłownicza, transportująca ciepłą wodę do kaloryferów. Kilka wieżowców w nowym osiedlu pozbawionych zostało ogrzewania na blisko tydzień. Trudności w mobilizacji ekipy remontowej, śnieg pokrywający ulice, konieczność kucia asfaltu przyczyniły się do powolnego tempa prac. Ludzie w blokach radzili sobie, jak mogli — kupowali „słoneczka” elektryczne, na okrągło palili gaz na kuchenkach, spędzając popołudnia w mieszkaniach ubrani w płaszcze i grube swetry. Z końcem miesiąca kilku lokatorów zaczęło odwiedzać mieszkania w blokach, idąc od klatki do klatki. Mieli przygotowany tekst petycji, stwierdzającej w konkluzji, iż mieszkańcy tego zespołu bloków nie zamierzają płacić czynszu za styczeń. Znaczna większość podnajemców podpisała się pod listem i istotnie nie wypełniła czeków opłaty czynszowej.

W połowie lutego w świetlicy pobliskiej szkoły zwołano zebranie mieszkańców osiedla. Za stołem zasiedli przedstawiciele komitetu osiedlowego, władz spółdzielni, jakaś pani z dzielnicowej rady narodowej. Na sali przeważały kobiety, które tym razem wyjątkowo licznie udały się na posiedzenie. Najpierw urzędnicy za stołu usiłowali coś tłumaczyć na temat ciężkiej zimy, wytrzymałości materiałów i obiektywnych kłopotów kadrowych. Apelowali też do postaw obywatelskich, twierdząc że część lokatorów zapłaciła już czynsz za styczeń. Lecz trudno im było przebić się przez nieustanny szum i hałas, cięte komentarze i protesty, podniesionym głosem wypowiedane równocześnie na całej sali. Po trzydziestu minutach przekrzykiwania się ogłoszono przerwę w obradach. Po przerwie wszyscy wrócili na miejsca i delegat spółdzielni wykorzystując chwilę ciszy oświadczył, iż władze spółdzielni wyrażają zgodę na zmniejszenie opłaty czynszowej za styczeń o połowę. Ludzie nieco jeszcze poszemrali, lecz w sumie przyjęli ten werdykt.

Dziś, opowiadając o tym, śmieją się z tych, którzy przestraszywszy się wysłali pieniądze za czynsz jeszcze przed zebraniem. Oczywiście spółdzielnia nie zwróci im połowy kwoty, bo i dlaczego? Mogliby się co najwyżej procesować, ale na to nie starczy im czasu i energii. Tylko nikt teraz nie chce się przyznać, że wcześniej zapłacił.

Sporo się dziś pisze o postawach inteligencji polskiej. Dyskusje zdają się zmierzać ku nakreśleniu jakiegoś uniwersalnego etosu intelektualisty w warunkach państwa totalitarnego. Nieuchronnie zatem kierują się w stronę moralistyki, słów wielkich i haseł uroczystych: „posłannictwo”, „misja”, „odpowiedzialność”, „zdrada”, „honor”... Dość nieporęcznie poruszać się w tej przyciężkiej zbroi.

Zacząć by należało od arcybanalnego frazesu — powołaniem intelektualisty jest dawać świadectwo prawdzie swojego czasu. Z jednej strony sąd jest tyleż górnotny, co trywialny. Z drugiej jest doskonale ahistoryczny — na równi obowiązuje pisarza polskiego i norweskiego, filozofa Grecji starożytnej i współczesnego malarza latynoskiego. Z trzeciej wreszcie mało przesądza o stosunku intelektualisty do państwa i władzy. Interesuje mnie właśnie ta ostatnia kwestia.

Otóż nie wierzę, by można ją było ująć w jakąkolwiek ogólnie obowiązującą formułę. Stosunki między władzą i intelektualistami są kwestią okoliczności, miejsca i czasu, poddaną nadto zasadom taktycznego myślenia. Chodzi o to, by inteligencja mogła skutecznie spełniać swe główne zadanie. Z tego właśnie punktu widzenia należy oceniać dzisiejsze zachowania inteligencji polskiej.

Był czas — myślę o okresie stalinowskim — kiedy najuczciwsze i najskuteczniejsze było milczenie, świadoma nieobecność, ewentualnie pisanie do szuflady. Po prostu ludzie nie przepadający za więzieniami dobrze robią, nie przykładając swojej cegiełki do wyrastających zewsząd murów łagru.

Postawa radykalnej odmowy ma jednak oczywiste granice. W latach siedemdziesiątych ukazał się w czeskim samizdacie tekst, podpisany pseudonimem George Moldau. Autor eseju rozważał pomysł zachodnioeuropejskich intelektualistów, by bojkotować reżym Husaka odmawiając zgody na druk swych książek w Czechosłowacji. Moldau uznał pomysł za zły, bo obcowanie z dziełem pisarza zachodniego zapewnia obywatelowi obozu wschodniego minimalną choćby porcję wolności myślenia, dzięki której może przynajmniej wyobraźnią wymknąć się za kordon żelaznej kurtyny. Bojkot czeskiej sceny literackiej szedłby w parze z poczynaniami komunistów: ci zakazali twórczości Franza Kafki, my dodamy do tego Bölla albo Ionesco.

To jest dylemat. Nie rozwiązał go drugi, niecenzurowany rynek wydawniczy. Położył wprawdzie kres ponurej alternatywie „milczeć albo drukować za cenę kompromisu z niechcianym współautorem, urzędnikiem z czerwonym ołówkiem”, zrodził jednak następne pytania: czy nie grozi nam nadmierne upolitycznienie twórczości, czy nie pojawi się „cenzura wewnętrzna”, czy wreszcie ostra krytyka społeczna nie zastąpi kryteriów estetycznych? Kwestie te wracają w rozmaitych publikacjach ludzi młodych, żłaknionych eksperymentów artystycznych i bardziej skłonnych do krytyki niektórych komercyjnych przedsięwzięć wydawnictw podziemnych. Wydaje się jednak, że wątpliwości wyrastają w niektórych artykułach ponad rzeczywistą skalę problemu. Rozwój rynku wydawnictw niecenzurowanych powoduje, że staje się on chłonny na coraz bardziej zróżnicowane pozycje i znajdzie się na nim miejsce dla szerokiego kręgu piszących. Są w końcu pisarze, którzy zdobyli nazwisko debiutując i wydając kolejne swe utwory wyłącznie w drugim obiegu — i żyją bez „kompleksu nieobecności”. Zakrawa na paradoks, że omówienia ich dorobku można znaleźć w artykułach drukowanych z błogosławieństwem urzędu kontroli prasy. Mimo to uważam, że pytania i wątpliwości pod adresem drugiego obiegu powinny się ukazywać i że na pewno nie przyniosą mu szkody.

Innego rodzaju polemiki rozpalila sprawa oficjalnego wydawania pisma *Res Publica*. Padło przy tej okazji wiele argumentów dość różnej natury. Warto je nieco uporządkować, ignorując burzę w szklance wody, jaką wywołały w środowiskach niekonformistycznych kolejne zabiegi redakcji o legalizację pisma.

Twierdzenie, że realną politykę można uprawiać tylko na fo-

rum oficjalnym i że tylko wydawnictwa oficjalne są w stanie wpływać na konkretne decyzje rządzących jest demagogiczne i fałszywe. Bliższe prawdy wydaje się, że to właśnie samizdat, „odblokowując” pewne tematy, spowodował częściowe złagodzenie cenzury, zmusił władze do większej elastyczności w stosunku do niektórych nazwisk z „czarnych list” i do poniesienia najbrutalniejszych form eliminowania opozycyjnych intelektualistów z różnych placówek naukowych i kulturalnych. To, że dziś w niskonakładowych i specjalistycznych publikacjach historycznych można już pisać o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o działalności AK na ziemiach zagarniętych przez ZSSR w latach 1939-1941, o procesie szesnastu przywódców Polski Podziemnej, że pozwala się na wzmianki kojarzące mord katyński z datą: kwiecień 1940 i odrobinę wspomnień związanych z gehenną ludności polskiej z kresów wschodnich, zesłanej do łagrów Syberii czy Kazachstanu, że w niektórych periodykach spotkać można zwrot „bezprawne środki przymusu fizycznego” przy okazji uwag o praworządności okresu stalinowskiego i słówko „antysemityzm” obok daty marzec 1968 — wszystko to właśnie zawdzięczamy wielkiej edukacji dokonanej za sprawą niezależnego ruchu wydawniczego. W poczynaniach obecnej ekipy rządzącej — czego dowodnym przykładem *casus Res Publici* — dostrzec można pragnienie wmanewrowania części środowisk opozycyjnych w reguły systemu politycznego, ale też uznanie autorytetu tychże grup, który zawdzięczają właśnie swemu wcześniejszemu akcesowi do działań na rzecz wolności słowa. Z tej racji mogą być dzisiaj adresatem rozmaitych mniej czy bardziej kuszących propozycji ze strony rządzących — w końcu ci ostatni też muszą dojrzeć jakieś korzyści dla siebie w rozsiewaniu pokus „współuczestnictwa”.

W sumie więc nie są niebezpieczne starania o legalizację — czy to pisma cenzurowanego, czy klubu bądź stowarzyszenia. Niebezpieczna jest dopiero dorabiana w tym miejscu teoria, iżby tylko przedsięwzięcia legalne miały się perswazji i szansę oddziaływania na ewolucję real-komunizmu, zaś władza, decydując się na otwarcie i kompromisy, postrzegała swój interes nie w falcie uczynienia wyłomu w szeregach opozycji, lecz zgoda w stopniowej liberalizacji, demokratyzacji i upodmiotowieniu nonkonformistycznych środowisk politycznych. Myślę, że pod tak naiwnymi spekulacjami żaden z redaktorów *Res Publici* nie pragnie się podpisać. A jednak mają one swoich zwolenników, czego przykładem osobliwa książeczka Bronisława Łagowskiego „Co jest lepsze od prawdy”, w drugiej zwłaszcza części pełna gorących westchnień i ofert do komunistów — o silną władzę, wolny rynek i racjonalnie myślące elity przywódcze, a wszystko to razem po trupie „Solidarności”.

Sam zaś problem *Res Publici* zdaje się w tym miejscu wyczer-

pany, bowiem resztę ocenić będzie można dopiero na podstawie zawartości tego czasopisma. Fenomen cenzurowanej, lecz przecież niezależnej polskiej prasy katolickiej nie pozwala na zajęcie z góry stanowiska, iż w warunkach cenzury przewencyjnej jakkolwiek niezawisłość myślowa jest beznadziejną utopią.

Andrzej Zamojski, najbardziej trzeźwy umysł polityczny w okresie bezpośrednio poprzedzającym powstanie styczniowe, doradzał społeczeństwu taki oto stosunek do ówczesnych połowicznych gestów reformatorskich Petersburga i margrabiego Wielopolskiego: „Brać co dają, nie kwitować, żądać więcej”. Motto, jak sądzę, znakomite na obecne czasy, trudne i chwilami zaskakujące.

◆
Połowa lat sześćdziesiątych. Student jednego z uniwersytetów, powracający z Londynu, gdzie bawił u rodziny, zostaje zatrzymany w trakcie odprawy celnej w porcie gdańskim. Powodem aresztowania jest kilka książek wydanych na emigracji. Przechodzi dość brutalne przesłuchanie, połączone z groźbami więzienia i propozycjami współpracy. Zwolniony po 48 godzinach, zmuszony zostaje do zmiany uczelni — tytuł magistra otrzyma na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Połowa lat siedemdziesiątych. Pracownik naukowy innego uniwersytetu zostaje zatrzymany na Okęciu z walizką książek przywożonych z Francji. Na wniosek rektora szkoły, w której jest zatrudniony, zostaje przeciwko niemu wszczęte postępowanie dyscyplinarne. Sprawę tę odnotowano wówczas w komunikacie KSS „KOR”.

Połowa lat osiemdziesiątych. Pracownikowi naukowemu, powracającemu z wycieczki po krajach Europy zachodniej funkcjonariusze urzędu celnego na Okęciu konfiskują walizkę książek. Po dwóch miesiącach otrzymuje około połowę zarekwirowanych wydawnictw — co poprzedziły monity i skargi do Urzędu Cł. Poszkodowany nie daje za wygraną. Otrzymuje pismo od dziekana, potwierdzające iż skonfiskowane publikacje są mu potrzebne do pracy naukowej i odwołuje się do Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk. W rezultacie otrzymuje następną przesyłkę z książkami. Wówczas wysyła skargę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i pozew do Naczelnego Sądu Administracyjnego — decyzja bowiem o zakwestionowaniu pozostałych pozycji nastąpiła w oparciu o artykuł zabraniający „rozpowszechniania” wydawnictw godzących w państwo i ustrój. Rozpowszechnianie wszak wiąże się z nakładem, on zaś przywoził pojedyncze egzemplarze. W efekcie zostaje wezwany do urzędu celnego, gdzie proponują mu kompromis — wycofanie wniosku z NSA i „polubow-

ny" zwrot dalszej partii książek. W sumie przypadkowi podlega kilka pozycji ze stu kilkudziesięciu zgromadzonych w walizce. Tak oto historyczne „porozumienie” przedstawicieli władz z reprezentantem społeczeństwa kończy tę niepozabawioną elementów komicznych awanturę.

Nie jest to szkic o opozycji demokratycznej, aliści opozycja obecna jest w podtekście każdej przytoczonej w nim anegdota. To właśnie tamte środowiska i ruchy, wyrosłe z KOR-u i „Solidarności”, wykształciły pewne odruchy i nawyki społeczne, spowodowały ich upowszechnienie i wyzwoliły wiarę w skuteczność działania. To, że żyjemy dziś w innym kraju, niż Polska lat siedemdziesiątych (by nie wspomnieć o mrocznej epoce gomul-kowskiej), wynika w pierwszym rzędzie ze specyfiki potocznych zachowań, z częściowego odzyskania przez społeczeństwo wiary w skuteczność samoobrony i potrzebę zachowania godności w konfrontacji z aparatem władzy. Rządzący nie pragną większej „liberalizacji”, a po prostu rozumieją, że Polakami dziś nie sposób rządzić inaczej. Jeśli przenoszą do kolegów d/s wykreślenia niezależną działalność wydawniczą, za którą pół roku temu dostawało się po dwa-trzy lata, to zasługa w tym drukarzy i kolporterów, którzy podjęli pracę kilka dni po ogłoszeniu stanu wojennego i kontynuowali ją na przekór więzieniom przez wszystkie te lata.

To raz. Dwa — fakt, że jesteśmy w nowej sytuacji która nakłada na nas dalsze obowiązki. Podstawowego znaczenia nabiera szeroka edukacja prawna, przez stosowanie bowiem przepisów prawa dla dochodzenia roszczeń obywatelskich możemy też częściowo wpływać na przemiany realnego komunizmu, zmuszać rządzących do respektowania norm, które sami ustanowili. Już to ogranicza możliwości tkwiące w totalistycznym instrumentarium władzy.

Można w końcu wysunąć zarzut, iż szkic ów idealizuje rzeczywistość. Jest w tym trochę prawdy. Jeśli wszak jest to pejzaż nieco podkolorowany, to poprzez selektywny dobór faktów i sytuacji, a także brak negatywnych kontrprzykładów. Zapewne znaleźć by ich można bardzo wiele. Odpowiem, co następuje: jeśli chcemy budować realny program polityczny, to wyjść musimy nie od marzeń i historycznych reminiscencji ludu na barykadach, a także nie od konstatacji powszechnej niemocy i rezygnacji. Szukać musimy w społeczeństwie elementów pozytywnych, które mogłyby stanowić odskocznice dla dalszych działań, wyrażających aspiracje ogółu obywateli. W tej intencji refleksje niniejsze zostały napisane.

Lesław MALESZKA

Pożar w Kaplicy Sykstyńskiej A. D. 1998

Autor niniejszego świadectwa Kaspar Traussig, jedyny syn Martina i Elisy (zmarłych), lat 68, kawaler, emerytowany urzędnik towarzystwa asekuracyjnego, zamieszkały w Bazylei przy ulicy Jakuba Burckhardta 27, spisuje je w rzymskim szpitalu *Salvator Mundi* w pierwszych dniach czerwca 1998, posłuszny życzeniom rzymskiej Kwestury. Lekkie stosunkowo obrażenia cięlesne i oparzenia pozwalają mu siedzieć godzinę dziennie przy stoliku i nieźle władać zabandażowaną częściowo tylko prawą ręką. Aby zaś owo pisemne zeznanie na użytek władz nie zawisło w próżni, aby stróż bezpieczeństwa którzy je czytać będą ujrzeli szersze tło zbrodni (lub nieszczęśliwego wypadku) i zarazem wyraźniejszy profil naocznego świadka zbrodni (lub nieszczęśliwego wypadku), autor postanowił nie szczędzić czasu — aż nazbyt zresztą wolnego w przymusowej bezczynności szpitalnej! — i opowiedzieć w krótkich, ponumerowanych rozdziałach wszystko, co w jego wzburzonym wciąż jeszcze umyśle i zbolałym sercu wiąże się z tragicznym dniem 23 maja.

Urodziłem się w Bazylei w roku 1930. Mój ojciec był urzędnikiem w bazylejskim banku, moja matka pochodziła z okolic Berna. Byli oboje pobożni, ale bez bigoterii i przesadnej gorliwości, w sposób który nadawał ich życiu odcień surowości i poczucie boskiego porządku świata. To uczucie wpajali mi od najmłodszych dziecinstwa, wraz z przekonaniem że człowiek jest

codziennie sądzony przez Boga. Taka była nasza „domowa” religia, którą określić raczej wypada słowem bogobojność.

Byłem dzieckiem późnym. Wkrótce po ślubie moi rodzice obiecali sobie (i zapewne Bogu) jeździć co roku w maju do Rzymu. Dotrzymywali tej obietnicy z regularnością, by tak rzec, szwajcarską. Kiedy się urodziłem, nastąpiła w ich podróżach zrozumiała przerwa. W maju 1939 roku, jako dziewięcioletni lecz wrażliwy już chłopiec, pojechałem z nimi po raz pierwszy do Rzymu. Uprzymotniłem sobie wówczas co było głównym, jeśli nie wyłącznym, celem ich ślubowanych pielgrzymek rzymskich: Kaplica Sykstyńska, a w niej *Sąd Ostateczny* Michała Anioła. Wtedy właśnie, może dlatego że słysząc już było nadciągającą zawieruchę wojenną i doroślało się chyba szybciej, przestałem być prowadzonym za rączkę do szkoły i na spacery nad Ren dzieckiem, a stałem się uczestnikiem ich rzymskiego obrzędu. Tak, obrzędu, powiedziałbym nawet: uroczystego obrzędu. Dzień w dzień, w ciągu dwóch tygodni, wyruszaliśmy rano z pensjonatu *Michelangelo* do Kaplicy Sykstyńskiej, lekceważąc inne piękności i skarby Wiecznego Miasta. Nauczyli mnie po włosku nazw *Giudizio Universale* i *Cristo Giudice*, po powrocie do Bazylei powiesili nad moim łóżkiem reprodukcję Chrystusa Sędziego z fresku Michała Anioła, usunawszy przedtem mały krucyfiks rodzinny.

Wojna, okrutna i nieludzka wojna, przerwała znowu nasze rzymskie pielgrzymki. Do świeżo uwolnionego Rzymu przyjechaliliśmy, nie bez przeszkód, w maju 1945. Miałem piętnaście lat. Raz tylko w życiu widziałem moich rodziców płaczących: po wejściu do Kaplicy Sykstyńskiej, wypełnionej (jak nigdy dotąd, podobno) tłumem, w którym przeważali żołnierze alianccy. Słyszałem szept mojego ojca „ocalał, ocalał”, choć nic przecież nie wskazywało, że hitlerowscy barbarzyńcy zamierzali podnieść świętokradczą rękę na *Sąd Ostateczny*, niezrównane arcydzieło Michała Anioła.

2

Niezrównane arcydzieło! Do dziś nie jestem wcale pewien, czy moich rodziców podbił geniusz malarski Michała Anioła. To prawda, że na półkach w pokoju mojego ojca królował Michał Anioł, szczególnie w albumowych reprodukcjach i opisach *Sądu Ostatecznego*. Rzadko jednak widywałem ojca, zaglądającego do książek o Mistrzu lub wpatzonego w reprodukcje jego dzieł. Gromadził, nie żałując pieniędzy, te albumy i książki jako *homage* dla twórcy *Sądu Ostatecznego*, traktował je w duchu jak książki do nabożeństwa, ich posiadanie było formą przyklekania

na odległość w Kaplicy Sykstyńskiej i cichej modlitwy przed freskiem na ścianie ołtarzowej. Co zaś do mojej matki, to jeszcze dalsza była od podziwiania *sztuki* Michała Anioła. Podejrzewam nawet, że wychowana w surowych zasadach wstydlivosti, nie zdziwiłaby się zanadto, gdyby jej przeczytano epizod opisany w *Żywotach* Vasariego. Słynny epizod wizyty papieża Pawła III w Kaplicy Sykstyńskiej, gdy ukończone już były przeszło trzy czwarte *Sądu Ostatecznego*: towarzyszący papieżowi mistrz ceremonii Biagio da Cesena oświadczył bez ogródek, nie zważając na obecność zgniewanego Michała Anioła, że jest rzeczą niestosowną i niegodną by w takim miejscu przedstawiano tyle *nagości*, co bardziej przystoi łaźni bądź gospodzie niż kaplicy papieskiej... Vasari (mam go tu w szpitalu pod ręką) powiada: „*Sąd Ostateczny* zniewala wszystkich miłośników sztuki”. Zdanie to trudno byłoby, jak sądzę, odnieść do moich rodziców. Dotyczy ich natomiast z całą pewnością okrzyk autora *Żywotów*: „Zaprawdę, szczęśliwym może się wydawać ten, i błogosławioną pamięć niechże zachowa, kto widział ten cud naszego wieku!”. To tak, to bez wątpienia, „cud naszego wieku” opanował w pełni dusze moich rodziców, uważali go za swoje szczęście, przechowywali pamięć o nim i błogosławili jego istnienie. Lecz cudem był dla nich sam obraz *Sądu Ostatecznego*, a nie jego malarskie wykonanie.

Niejednokrotnie, zwłaszcza po śmierci rodziców, wspominam ową scenę z dzieciństwa, gdy nad moim łóżkiem *Cristo Giudice* zajął z ich woli miejsce Chrystusa Ukrzyżowanego. Odrzucali w naszej „domowej” religii Cierpienie, Mękę, Ofiarę na rzecz Sądu, i chcieli to odrzucenie zaszcześcić na zawsze swemu dziewięcioletniemu synowi? Chodziło tylko o naszą „domową” religię, czy o swoistą religię „szwajcarską”? Jakkolwiek było, w takiej wyrosłem atmosferze i wychowanie moje, mimo niektórych późniejszych modyfikacji, jest dla mnie drogowskazem po dzień dzisiejszy. Ale trzeba zdawać sobie sprawę, i sumiennie nakazuje mi tutaj tę okoliczność z naciskiem podkreślić, że kiedy mój ojciec szeptał zapłakany „ocalał, ocalał” wszedłszy tuż po wojnie do Kaplicy Sykstyńskiej, jego szept był — jeśli się tak wyrazić mogę — metaforyczny. Ocalała dla niego, wbrew okrutnej i nieludzkiej wojnie, *idea* Sądu Ostatecznego; *idea*, którą odnalazłby z zachwytem w słowach pewnego pisarza francuskiego z połowy naszego stulecia: „Nie czekaj na Sąd Ostateczny, odbywa się on codziennie” (dodając od siebie: i odbywać się będzie wiecznie). To miał przede wszystkim na myśli, to raczej niż ocalenie niezagrożonego malowidła Michała Anioła. Natomiast o wojnie, która nie zdołała pokonać Chrystusa Sędziego, o latach cierpienia, męki i ofiary, wiedział niewiele i bodaj nie pragnął za dużo wiedzieć.

Nasze wspólne powojenne pielgrzymki do Rzymu trwały zaledwie pięć lat. W marcu 1950 zachorował nagle mój ojciec, w maju już galopujący rak zaprowadził go do grobu. Cierpiać strasznie, on z natury spokojny i opanowany nie potrafił powstrzymać krzyków, jęków i żalosnych lamentów, zdawał się teraz dopiero odkrywać czym w naszym życiu jest ból. A jest, więcej — powinien być, cieniem skradającym się stale i z uporem w ślad za naszymi doświadczeniami, jak owi biblijni złodzieje nocni, zawsze obecni i w każdej chwili gotowi wyskoczyć z ciemności. Powinien być? Nie waham się tak powiedzieć, wierzę bowiem że bez świadomości czy ciągłej podświadomości bólu życie człowieka byłoby pozorem życia. Być może, zrozumiał to także w godzinie śmierci mój ojciec. Któregoś wieczoru, jeszcze przytomny na kilka dni przed końcem, przyciągnął mnie naraz do siebie, objął i pocałował z wyrazem takiej rozpaczki w oczach, jakby chciał mnie o czymś ważnym ostrzec, nie mając już siły by to pożegnalne ostrzeżenie wymówić na głos.

Wkrótce potem, we wrześniu tegoż roku, odeszła moja matka. Odeszła jest dokładnym określeniem, odeszła cicho na czubkach palców. Właściwie umarła już była podczas choroby objawów, skamieniała, wykonywała wszystkie swoje czynności bez słowa i jak automat, była gdzie indziej, daleko poza życiem. Nie uroniła ani łzy nad zasypywanym grobem ojca. W ciągu kilku ostatnich miesięcy jej życia rozmawialiśmy rzadko i o rzeczach błahych, mogło się wydawać że w naszej codziennej egzystencji domowej nic w ogóle nie zaszło. Na wygląd była zdrowa, nie skarżyła się na żadne dolegliwości, jak dawniej (tyle że sama) siadywała w pogodnie niedziele po kościele na promenadzie nad Renem, aż w nocy z 3 na 4 września usnęła po prostu na wieki. Tak, tak, odeszła na czubkach palców, zostawiając jedyne i samotnego syna.

Samotny syn miał dwadzieścia lat, był studentem uniwersytetu bazylijskiego. Spadek po ojcu pozwolił mi skończyć studia bez materialnych kłopotów, koledzy ojca pomogli mi zaraz po dyplomie rozpocząć karierę urzędnika w towarzystwie asekuracyjnym.

Śmierć rodziców nie tylko uczyniła mnie samotnym, lecz wtrąciła mnie w nałóg samotności. Nigdy nie myślałem o założeniu własnej rodziny. Nasze duże mieszkanie przy ulicy Burckhardta opłatywało mnie stopniowo, w młodym jeszcze wieku, pajęczyną drobnych przyzwyczajęń starokawalerskich. Wieczorami niechętnie wychodziłem z domu, wołałem czytać w fotelu ojca. Obudził się we mnie zapał do historii sztuki. Wertowałem książki i albu-

my, sprawiłem sobie nawet aparat do oglądania powiększonych przezroczy, obrastałem w skromną lecz solidną kulturę artystyczną. Moje życie toczyło się między biurem i domem, nie licząc okresowych, przelotnych i dość trywialnych interludów „sentymentalnych”.

W roku 1963, względnie dobrze już ustabilizowany finansowo, wskrzesiłem nasz rodzinny zwyczaj corocznych majowych pielgrzymek do Rzymu. Początkowo był to impuls podtrzymywania pamięci rodziców: zrobiłem z maja swoisty Miesiąc Zaduszny. Niebawem jednak pielgrzymki do Rzymu stały się podróżami do Włoch. Zwiedzałem najbogatsze w pomniki sztuki miasta włoskie, poznałem dokładnie Wieczne Miasto, wyszedłem w nim poza rytualne wizyty moich rodziców tylko w Kaplicy Sykstyńskiej. A przecież *Sąd Ostateczny* nie przestał dla mnie być ośrodkiem krystalizacyjnym każdorazowej podróży włoskiej, od niego zaczynałem albo na nim kończyłem moje coroczne wakacje we Włoszech. Byłem w nim z roku na rok bardziej zakochany, moje olśnienie, moja fascynacja zapuszczały nowe wciąż korzenie i wypuszczały nowe wciąż gałęzie, jak zdrowe i piękne drzewo. „Modyfikacje” w moim wychowaniu i odczuwaniu, o których napomknąłem wcześniej, odebrały może chwilom spędzanym przeze mnie w Kaplicy Sykstyńskiej charakter *uroczystego* obrzędu, ale obrzędem pozostały dla mnie te chwile aż do tragicznego końca.

Zapominam, zdaje się, że piszę zeznanie naoczego świadka na użytek policji. Czytający niech mi wybaczą i niech nie tracą cierpliwości. Kto wie, czy dobrnąwszy do ostatniego słowa mojego świadectwa, nie przyklasną sposobowi w jaki usiłuję przedstawić zbrodnię (lub nieszczęśliwy wypadek) naszego wieku.

W albumach *Sądu Ostatecznego* spotyka się zazwyczaj „mapę” fresku, identyfikację oznaczonych numerami postaci. Uderza w niej niepewność „kartografów”, niekiedy wręcz absurdałna na pierwszy rzut oka. Jeśli nie liczyć Chrystusa Sędziego z podniesioną groźnie do góry prawą ręką, muskularnego, o surowym obliczu, i zasmuczonej czy zatroskanej Madonny po Jego prawicy, nad wieloma figurami wiszą pytańki: córka Faraona która odnalazła Mojżesza, albo Sara, albo Ewa; Abel, albo Ewa; Abraham, albo Święty Bernard; Święty Jan Chrzciel, albo Adam; Noe, albo Enoch, albo papież Paweł III; żona Salomona, albo Dante; Święty Bartłomiej z rysami Aretina; Hiob, albo Adam, albo Abraham; Michał Anioł, albo papież Juliusz II; żona Hioba, albo Ewa; Niobe z córką, albo Ewa z córką. Jakież tu przemieszczenie postaci, wątków, legend, mitów, historii, ba — nawet

plci! Przypadkowe, zależne od zamącenia w zmęczonym oku twórcy, czy świadome?

Świadome, według mnie. Oko twórcy, moim zdaniem, nie było zmęczone; było boskie. Było okiem Stwórcy, który ogląda u kresu stworzony przez siebie świat, aby go ostatecznie osądzić. Świat naszej wielkości i małości, naszej miłości i nienawiści, naszych grzechów i cnót, naszych cierpień i radości, naszych wzlotów i upadków, naszych aniołów i lucyferów, naszych świętych i niedowiarków, naszej uniwersalnej i skłębionej nieodwracalnie *miazgi*. Nazywano fresk Michała Anioła wizją, którą przenika „groza kosmiczna” i „dreszcz *timore religioso*” (lubił te nazwy mój ojciec). Ja nauczyłem się stopniowo widzieć w nim ogromny wir, gwałtowne zejście od pustego i chłodnego w górę błękitu nieba, poprzez kotłowisko ludzkich ciał, do ciemnej w dole przepaści z sino-srebrzystymi prześwitami jasności. Lecz jakże nie-trwałej i ulotnej jasności!

W maju 1995 roku, w miesiąc po inauguracji nowego pontyfikatu, odbyła się w Kaplicy Sykstyńskiej msza celebrowana przez nowego papieża. Kartę wstępu na nią podarował mi znajomy z poselstwa szwajcarskiego w Rzymie. Dziwna to, bardzo dziwna rzecz, ocierająca się o bluźnierstwo, że przepych mszy zubożył w moim sercu bezgraniczną potęgę *Sądu Ostatecznego*.

5

W pierwszym rozdziale mojego świadectwa wspominałem o zatłoczonej, jak nigdy dotąd, Kaplicy Sykstyńskiej nazajutrz po wojnie. Zadaję sobie pytanie, czy ten tłum był tylko euforyczną emanacją wyzwolonego właśnie Rzymu, jedną z wielu w mieście-symbolu Europy, w mieście któremu odzyskana wolność uderzyła jak mocne wino do głowy; czy też ludzie, żołnierze alianccy i Rzymianie, pędzili kierowani niejasnym instynktem przed oblicze *Cristo Giudice*, manifestując przywiązanie do Najwyższej (i śmiertelnie zagrożonej w ogniu uniwersalnego pożaru wojennego) Sprawiedliwości. Innymi słowy: świętowano dzień triumfu wieczystego *Giudizio Universale* nad mroczną, wyzutą z praw boskich i ludzkich, *Peste Universale*?

Faktem jest, że w przeszłości odwiedzano Kaplicę Sykstyńską rzadko, że nie znala zatłoczenia podobnego, niby w lustrzanym odbiciu, do kłębówiska ciał na fresku Michała Anioła. Uśmiecham się czytając w *Podróży włoskiej* Goethego (mam ją tu pod ręką w szpitalu) zapis z sierpnia 1787: „Oddźwierny został dobrze opłacony i wpuszczał nas do środka przez tylne drzwi obok ołtarza. Mogliśmy siedzieć w Kaplicy Sykstyńskiej, jak długo nam się podobało, i nie obeszło się bez spożycia tam kilku posił-

ków. Raz nawet, zmęczony upałem, uciąłem sobie poobiednią drzemkę na tronie papieskim”. Goethe spożywający posiłki i po obiedzie drzemający na tronie papieskim pod okiem Chrystusa Sędziego pokazuje najlepiej chyba, czym była ściana ołtarzowa w Kaplicy Sykstyńskiej niegdyś. Wyłącznie godnym podziwu dziełem wielkiego malarza.

Tłum w maju 1945 nie oznaczał jednorazowego i krótkotrwałego wybuchu radości i dziękczynienia, nie był fajerwerkiem, który ma zgasnąć niebawem na czystym, roz pogodzonym nareszcie niebie. Rósł z roku na rok, aż do przerwy w naszych ówczesnych podróżach. Gdy sam już podjąłem je w roku 1963, oczom moim ukazał się widok niezwykły: długi wąż pątników (nie znajduję lepszej nazwy), którego ogon dotykał prawie kolumnady Placu Świętego Piotra. Na wejście do Muzeów Watykańskich czekało się średnio od trzech do czterech godzin. Przystąpiwszy w końcu ich próg, wpadało się w strumień pracy szybko i niecierpliwie, bez oglądania się na boki, do Kaplicy Sykstyńskiej. W korytarzach na obrzeżu Kaplicy zdarzały się wypadki omdlenia. Nie przestrzegano obowiązku skupienia i ciszy, nie zważano na dochodzące z wnętrza Kaplicy monity głośników: *Silenzio, Silence, Ruhe*. Słychać było krzyki dorosłych i płacz dzieci. Niech mi nikt nie mówi, że wszystko to należało przypisać narodzinom i gwałtownemu rozwojowi masowej turystyki. Do Kaplicy Sykstyńskiej, na Sąd Ostateczny, przepychali się pątnicy a nie turyści.

Traf chciał, że w roku 1981 przyjechałem do Rzymu pociągiem z Bazylei 13 maja o świcie. Umyłem się, przebrałem, zjadłem obfite śniadanie w pensjonacie *Michelangelo* i pobiegiem natychmiast do Muzeów Watykańskich, na godzinę przed ich otwarciem. Ustawiła się już kolejka, lecz stosunkowo niewielka. Zmęczony nocną podróżą i dziwnie podniecony, postanowiłem cały ten dzień spędzić w Kaplicy Sykstyńskiej, zwłaszcza że następnego dnia zamierzałem wyjechać z Rzymu do Neapolu i na Sycylię. Po zwykłych, w miarę dokładnych (zadanie, w tłumie, coraz trudniejsze) oględzinach *Sądu Ostatecznego* udało mi się przecisnąć do przestronnego względnie kąta Kaplicy. Umiem odpoczywać dobrze na stojąco. Wytrącił mnie z odrętwienia głos w megafonie. Zamiast powtórzyć swoje bezużyteczne *Silenzio, Silence, Ruhe* obwieścił, że dokonano zamachu na życie Jana Pawła II. Dopiero teraz tłum zamarł w milczeniu i bezruchu. Wszystkie oczy zdawały się lgnąć ze zdwojoną jakby intensywnością, z egzasperacją, do figury *Cristo Giudice* i Jego podniesionej groźnie ręki.

Pozostałem w Rzymie, wbrew pierwotnym planom, do 20 maja. Codziennie tłum w Kaplicy Sykstyńskiej był gęstszy, niż w Bazylice Świętego Piotra. Trzeba lepszego dowodu na istnienie i ciągły wzrost magii *Sądu Ostatecznego*?

A jednak wydaje mi się, że ta magia zaczęła słabnąć w roku 1988. Maj przed dziesięcioma laty był dla mnie bolesnym przeżyciem.

Użyłem ostrożnego zwrotu „wydaje mi się” z powodów, które wyjaśnię dalej. Ale jakkolwiek się rzeczy miały naprawdę, nie mogę tu pominąć szoku z maja owego pamiętnego dla mnie roku.

Nie zmniejszył się natłok w Kaplicy, nie stopniała ciżba ludzka w kolejce przed wejściem, lecz uderzyła mnie nagła zmiana w zachowaniu pątników. Zawahałem się nawet, czy wolno ich jeszcze nazywać pątnikami. Dokoła, i w kolejce i potem w Kaplicy, rozlegały się wśród młodych na ogół ludzi wybuchy śmiechu, wyraźnie ironiczne, okraszone często uwagami bez krzty respektu, wulgarnie wręcz w obliczu dominującej na fresku „nagości”, która tak niegdyś oburzyła papieskiego mistrza ceremonii i tak później w skrytości ducha gorszyła moją biedną matkę. Szczytem był okrzyk młodej dziewczyny, objętej czule przez swego towarzysza, pod adresem *Cristo Giudice*. Powtórzyć ten okrzyk? Zrobię to, czerwieniąc się ze wstydu i Boga prosząc o przebaczenie: „*Che bel maschio*, jaki piękny samiec!”. Byłem wstrząśnięty do głębi, napłynęły mi łzy do oczu. Nie będzie w tym wielkiej przesady jeśli powiem, że poczułem wtedy całym ciałem gorący podmuch zwiastowanego pożaru w Kaplicy Sykstyńskiej.

Muszę obecnie, jak obiecałem, wyjaśnić dlaczego użyłem zwrotu „wydaje mi się”. Przykry temat, a przecież (w imię prawdomówności mojego świadectwa) nie da się go uniknąć. Na początku roku 1988 zachorowałem. Różnie się takie choroby jak moja określa: to „zaburzenia psychiczne”, to „rozstrój nerwowy”, to znowu „stan depresyjny”. Określenia określeniami, istota rzeczy polegała na tym, że nawiedzały mnie dziwne lęki, źle znosiłem tak miłą mi dotąd samotność starokawalerską, węszyłem niekiedy urojone jak się okazywało niebezpieczeństwa, cierpiełem na bezsenność i zanik smaku życia. Zapalały się też od czasu do czasu w moim sercu i umyśle, i szybko gasły, niejasne odruchy buntu i gniewu. Zaniedbałem się fizycznie, ale nie jako urzędnik towarzystwa asekuracyjnego. Przychodziłem punktualnie do biura, wychodziłem z niego o oznaczonej godzinie, mimo że proponowano mi nie raz za radą lekarzy urlop zdrowotny. Kosztował mnie wiele wysiłku wyjazd w maju tego roku do Rzymu. Trudno więc wykluczyć, że moje ówczesne wrażenia w Kaplicy Sykstyńskiej były w jakimś stopniu owocem chorej imagacji. Tak czy owak, postanowiłem przerwać moje coroczne podróże do Włoch. Do następnej doszło w roku 1995, w roku przeniesienia mnie na emeryturę i inauguracji nowego pontyfikatu.

Tak, okres 1988-1995 był dla mnie wyjątkowo, wprost męcząco trudny i przykry. Jałowe i daremne byłoby dociekanie, czy zmiany zachodzące w dookolnym świecie i w moim bliskim otoczeniu wpędziły mnie w coś w rodzaju choroby psychicznej, czy też na odwrót psychiczne zapady ukształtowały inną „optykę” mojego spojrzenia na świat. I w jednym i w drugim wypadku wynik był taki sam, a liczy się tylko wynik.

Nigdy nie interesowały mnie uczone wywody socjologów (nie mówiąc już o biegłych w polityce, którzy mnie po prostu nudzą i drażnią), wiem jednak że posługują się oni chętnie pojęciem „tkanki społecznej”, pojęciem obrazowym a więc przemawiającym do wyobraźni lepiej od suchych formuł i nagich cyfr statystycznych. Otóż w naszej rzeczywistości szwajcarskiej, która uchodziła zawsze za wzór życia zrzeszonego, ja wychowany w poszanowaniu pewnych elementarnych zasad ludzkiej i obywatelskiej przyzwoitości (by nie wspominać o „domowej” religii bogobojności) widziałem wciąż ową „tkankę” kaleczoną, szarpaną, krwawiącą. Przybierało to czasem charakter obsesji, i bolałem wtedy nad wyborem zawodu: marzyła mi się funkcja sędziego. Młodziem szczególnie winiłem za bezustanne ranienie „tkanki”. Skłamałbym twierdząc, że „wyrosła” z religijności rodziców, że się od niej całkowicie odwróciła. Lecz na pewno wniosła do niej obcy jej z gruntu czynnik *zabawy*; ujrzała uśmiechniętą pogodnie twarz Boga tam, gdzie winna była oglądać niezmiennie *la face sombre et juste du Christ*.

Ostatnie dwa lata mojej pracy w towarzystwie asekuracyjnym stały pod znakiem sprawy, która zasługuje na przytoczenie tytułem przykładu w niejakim związku z tym o czym mówię. Podlegał mi w biurze wydział lasów. Zajmowałem się ubezpieczaniem lasów prywatnych i gminnych, a niekiedy nawet specjalnych obszarów w obrębie lasów kantonalnych, oraz dochodzeniami i wypłatą polis asekuracyjnych w razie strat i szkód poniesionych przez ich właścicieli. Zajęcie nie obfitowało w wypadki dramatyczne, było monotonne, z biegiem czasu nabrało cech rutyny. Nagle kraj ogarnęła fala pożarów, tak częstych i katastrofalnych, że towarzystwo nasze — zamożne i solidne — stanęło wobec poważnych problemów finansowych. Przyczynę pożarów wyjaśniła szybko policja, co nie znaczy że potrafiła ją równie szybko usunąć. Przeciwnie — szerzyły się dalej z niepokojącą natężnością, nawet poza niebezpieczną porą letnich upałów. Przyczyną był jeden z wielu nowych amerykańskich „gadżetów”, łatwy do nabycia po przystępnej cenie w składach broni i przyborów

sportowych: kieszonkowy miotacz ognia wielkości i kształtu metalowej papierošnicy. Pomysłany pierwotnie jako dość niewinny przyrząd do rozpalania ognisk, został niebawem udoskonalony w sposób, który odbierał mu dawną niewinność. *Firex* (nie muszę dziś chyba tłumaczyć nikomu, a zwłaszcza adresatom niniejszego świadectwa) miotał na odległość przeszło pół kilometra płomień o niesamowitej mocy zapalania wszystkiego co napotykały po drodze. Było już za późno, gdy władze zorientowały się jaki wyznalazek amerykański dopuściły na rynek szwajcarski. Mimo zakazów celnych i niestrudzonych sekwestrów w sklepach, klejnocik nowoczesnej techniki wtargnął do Szwajcarii i do Europy, krążąc w zasięgu wyciągniętych rąk, gotowych do świadomej zbrodni lub „bezinteresownej igraszki”. Ja zaś, pochylony u progu emerytury nad biurkiem zavalonym papierami, wpatrywałem się z rozpaczą w małe ognionośne pudełko metalowe, które kazano mi położyć obok lampy ku przestrodze i rozwadze interesantów.

Może dlatego, przyjechawszy znowu do Rzymu po siedmioletniej nieobecności, z takim chłodem w sercu zareagowałem na bezduszną pompę mszy celebrowanej przez nowego papieża w Kaplicy Sykstyńskiej. Trzeba mi było czegoś więcej dla rozniesienia Bożej Iskry *Sądu Ostatecznego*.

8

Teraz doprawdy już dosyć tego gadatliwego kołowania. Oczekuje się ode mnie „dokładnego, w miarę drobiazgowego sprawozdania co robiłem i widziałem od chwili przyjazdu do Rzymu do chwili tragicznego incydentu”. Dołożę starań by sprawozdanie było dokładne i w miarę drobiazgowe, choć wypada mi ostrzec z góry, że po tym co się stało pamięć moja podobna jest do filmu pełnego prześwietlonych bądź źle wyświetlonych klatek.

Przyjechałem do Rzymu 22 maja A.D. 1998 o godzinie trzeciej piętnaście po południu, pociągiem z Genewy. Miałem, jak zwykle, zarezerwowany pokój w pensjonacie *Michelangelo* na Borgo San Gregorio. Spałem do kolacji, co może poświadczyć portier. Około dziewiątej wieczorem wyruszyłem do miasta. Z autobusu wysiadłem na Placu Weneckim, po czym wolnym spacerowym krokiem udałem się na mój ulubiony Plac Hiszpański.

Rzym jest w maju cudowny, jakkolwiek wydał mi się bardziej niż zazwyczaj zatłoczony i bulgocący o tak wczesnej porze sezonu. Nad Schodami Hiszpańskimi unosił się odurzający zapach, mimo ciemności kwiaciarze nie usunęli jeszcze swoich kiosków. Ze szczytu Schodów roztaczał się widok, który zawsze przyprawiał mnie o skurcz w gardle: kopuła Świętego Piotra zarysowana

ostro na tle szkarłatnego nieba, jakby powleczonego odbłaskiem dalekiej łuny. Stałem tam, oparty o kamienny parapet, do godziny dziesiątej czterdzieści pięć. Nie mam powodu niczego ukrywać, skoro i tak przecież potrudzicie się, panowie z Kwestury, by wszystko zostało ujawnione. O umówionej godzinie jedenastej zapukałem do drzwi na trzecim piętrze kamienicy przy Ulicy Sykstyńskiej, słynnej kamienicy która gościła niegdyś pisarza rosyjskiego Gogola. Otworzyła mi Mirella (nie znam jej nazwiska), po latach prawie niezmieniona. Jej towarzyszką były zajęte w swoich pokojach, mogliśmy więc w saloniku wypić spokojnie butelkę wina. O północy przenieśliśmy się do jej pokoju. Może ona poświadczyć, że spędziłem tam trzy godziny.

Wracałem do pensjonatu pieszo przez pustoszejące miasto. Powiadam „pustoszejące” a nie „opustoszałe”, bo bardzo późna godzina, niedaleka świtu, częściami tylko wpłynęła na rozrzedzenie tłumów. Co więcej, odczułem w tym tłumie jakąś osobliwą nerwowość, która mi się natychmiast udzieliła. Wchodząc około czwartej na Plac Świętego Piotra, stanąłem jak wryty. Palily się na nim dziesiątki małych ognisk, otoczonych grupkami młodych przeważnie ludzi obojga płci. Śpiewali pieśni w nieznanym mi języku, pieśni smutne i podobne trochę do zawodzenia, dobywane z najgłębszych trzewi. Nie do mnie należy zwracać policji włoskiej uwagę na niestosowność tego nocnego koncertu pod murami *Santa Sede*, Świętej Siedziby. Śpiesznym krokiem, truchtem niemal, skierowałem się do mojego pensjonatu.

Nie zmrzyłem oka do rana. O siódmej już znalazłem się wśród pierwszych kilkudziesięciu osób, oczekujących otwarcia Muzeów Watykańskich. Gdy po dziewiątej czoło kolejki przekroczyło próg Kaplicy Sykstyńskiej, włączono niewidzialny głośnik: *Silenzio, Silence, Ruhe, Tiszina*. Odtąd powtarzał swoje wezwanie z niebywałą, coraz bardziej jętrzącą częstotliwością. I z rosnącą nadaremnością. Kołowało się w Kaplicy, początkowe szepty ustąpiły miejsca głośnym rozmowom, a potem wręcz krzykom. W nalektryzowanym jakby powietrzu wzbierało podniecenie. Uderzyło mnie, że mało kto przyglądał się dłużej *Sądowi Ostatecznemu*: w spojrzeniach ludzkich było coś trwożliwego i ukradkowego. Nagły zawrót głowy, połączony z ogólnym osłabieniem i gwałtownym biciem serca, skłonił mnie do próby utworzenia sobie drogi ku wyjściu z Kaplicy. Nie wyszedłem jednak, oparłem się tylko o ścianę koło wyjścia, przysgniatany do niej bez pardonu przez rozwrzeszczaną gromadkę chłopców i dziewcząt. Machinalnie opuściłem wzrok na zegarek: była punktualnie dziesiąta. Po czym przymknąłem oczy w napadzie zamroczenia.

Ocknąwszy się, znowu spojrzałem machinalnie na zegarek: była dziesiąta dwadzieścia siedem. Czyli dokładna godzina początku tragedii. Co i jak potrafię opowiedzieć z wymaganą przez

was drobiazgowością i precyzją? Obawiam się, że niewiele. Atak zamroczenia poraził moją zdolność postrzegania, nie mówiąc naturalnie o wybuchu zgrozy i paniki dokoła. Ale pamiętam, że strumień ognia wytrysnął najpierw z trzaskiem w dwóch punktach *Sądu Ostatecznego*: tam, gdzie Archanioł Michał otwiera Księgę Wybranych; oraz tam, gdzie Święty Piotr pokazuje klucz Najwyższemu Sędziemu. I zaraz, po minucie może, cała ściana ołtarzowa stanęła w płomieniach. *Sąd Ostateczny* palił się jak suche drzewo żywiczne. Żar, żar, żar, przybierające błyskawicznie na sile smagnięcia żaru. Tłum z okrzykami przerażenia i bólu rzucił się ku wyjściu, tratowano upadających. Jak gdyby *Sąd Ostateczny* przeniósł się z wizji malarza w rzeczywistość. Służba porządkowa zdolała, na szczęście, przebić szybko przejście do Ogrodów Watykańskich. Dzięki temu zapewne liczba ofiar śmiertelnych okazała się stosunkowo niska (24). Na trzy setki blisko szacuje się liczbę ciężko i lżej rannych. Należę do lżej rannych; uległem obrażeniom cielesnym i oparzeniom, usiłując (bezsukcesownie niesety) przyjść z pomocą starej kobiecie zamienionej w żywą pochodnię.

Pożar ugaszono dopiero późnym popołudniem. Słyszę, że nocą jeszcze wypęły z Kaplicy kłęby czarnego dymu, przetykane gasnącymi iskrami, zaróżowione poświatą niedopalenia.

9

Dziś, 23 czerwca, mija miesiąc od dnia zbrodni (lub nieszczęśliwego wypadku). Zdjęto mi opatrunki, pozwolono mi zjechać z mojego pokoju na czwartym piętrze do kiosku z gazetami przed szpitalem. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, o piątej funkcjonariusze Kwestury zawiozą mnie do Kaplicy Sykstyńskiej celem złożenia dodatkowych wyjaśnień.

Z gazet widzę, że w ciągu minionego miesiąca śledztwo nie posunęło się naprzód ani o milimetr. Czego dowodem najjaskrawszym chyba jest ciągłe, aż do znudzenia, podkreślanie okoliczności zaiste drugorzędnej. Kładzie się mianowicie nacisk na to, że podczas restauracji *Sądu Ostatecznego* w połowie lat osiemdziesiątych posłużono się nowowynalezionym w Japonii utrwalcaczem farb, którego skład chemiczny laboratorium rzymskie zakwalifikowało (po niewczasie) jako *altamente infiammabile*. Długa, bardzo długa droga od substancji „wysoce zapalnej” do ustalenia przyczyn pożaru... Za bląhą również i bezzadną uważam aluzję w jednym z artykułów, że zbadania wymagają kable elektryczne wmurowane na tyłach ściany ołtarzowej.

Na tytułowych stronicach wszystkich dzisiejszych gazet opisana jest wczorajsza wizyta papieża w Kaplicy Sykstyńskiej, pierw-

sza wizyta nie związana z dochodzeniami i z popożarowym odgruzowaniem. Cyryl I spędził w Kaplicy kwadrans, uklęknął i modlił się chwilę w miejscu zajmowanym kiedyś przez ołtarz, przed podniesieniem się z klęczek ucałował spaloną ziemię. Towarzyszyło mu grono kardynałów, biskupów, prałatów i ministrów rządu włoskiego, do świty papieskiej zostali też na własne życzenie włączeni przedstawiciele dwóch największych mocarstw przy Stolicy Apostolskiej, ambasador James Godfinger i ambasador Trofim Bogomołow. Nie dopuszczono natomiast dziennikarzy i fotoreporterów, lecz prasa zdobyła swoimi sposobami wiadomość o szczególnie przejmującym momencie wizyty. Oto papież, przed wyjściem z Kaplicy, odwrócił się raz jeszcze ku spalonemu freskowi i w geście rozpaczony zasłonił dłońmi twarz. Ten gest powtórzyli za nim wszyscy członkowie świty, łącznie z dwoma ambasadorami. Nie mogłem, czytając opis tej sceny, powstrzymać łez.

◆

Dopisane tegoż dnia o północy.

Zgiełk i jazgot w uszach, czerwone płyty przed oczami, głowa ściśnięta obręczą, klucie w lewej ręce, nogi ściępięte jak od przewiązania, oddech zatykany dusznością. I strach. Boję się wstać z krzesła, boję się wrócić do łóżka, boję się podejść do okna, boję się zadzwonić po pielęgniarkę. Nie mam nawet odwagi zgasić światła. Sądzą pewnie, że ciągle śpię, że nie przebudziłem się po zastrzyku.

Pamiętam tylko jak po długim marszu korytarzami wszedłem do Kaplicy, zmęczony i podtrzymywany przez funkcjonariuszy Kwestury. Reszta jest czernią. Najpierw widzialną, złuszczoną czernią *Sądu Ostatecznego* na wybrzuszonej ścianie ołtarzowej. Potem niewidzialną czernią — gęstą, dławiącą, wciągającą — otchłani we mnie. A jednak przysięgłbym, że patrząc na spalony fresk ujrzałem na okamgnienie białą plamę wzniesioną do góry ręki *Cristo Giudice* z rozczapierzonymi palcami dłoni. Nie pochłonął tej ręki ogień? Tyle zostało z *Sądu Ostatecznego*? Być może, to ja właśnie zacząłem wtedy krzyczeć, bo usłyszałem wyraźnie przeciągły krzyk. Wessany przez otchłan niewidzialnej czerni we mnie, straciłem przytomność. Odzyskałem ją pół godziny temu w szpitalnym łóżku.

10

Do świadectwa Kaspara Traussiga dołączone są trzy zwężone certyfikaty.

Rzym, 6 lipca 1998. Prymariusz szpitala *Salvator Mundi*,

profesor Girolamo Michelangeli-Crocetti: „Obywatel szwajcarski Kaspar Traussig, lat 68, zamieszkały w Bazylei, został przywieziony do naszego szpitala w dniu pożaru w Kaplicy Sykstyńskiej, 23 maja bieżącego roku. Stwierdzono obrażenia obu rąk i nóg, oraz oparzenia twarzy, piersi i pleców. Po trzydziestu dniach pacjent mógł być wypisany ze szpitala. Nastąpiły wszakże nie-spodziane zmiany w jego stanie psychicznym i nerwowym, z podejrzeniem neurozy typu depresji psychotycznej. Nie da się wykluczyć podłoża niewyleczonej lub źle zaleczonej choroby, której skrupuły profesjonalne nie pozwalają mi sprecyzować bez odpowiednich analiz klinicznych i dłuższego okresu obserwacji. Szpital nasz nie może podjąć się tego zadania wobec natłoku chorych, proponuje więc poselstwu szwajcarskiemu w Rzymie i rzymskiej Kwesturze odstąpienie pacjenta do miejsca zamieszkania. W załączeniu dokumentacja miesięcznego leczenia w *Salvator Mundi*”.

Rzym, 18 lipca 1998. Zastępca kierownika urzędu dla cudzoziemców w centralnej Kwesturze rzymskiej, kapitan Remo Domenichella: „Zgodnie z sugestią prymariusza szpitala *Salvator Mundi*, i w porozumieniu z poselstwem szwajcarskim w Rzymie, doktor Kaspar Traussig został 15 lipca odstawiiony do Bazylei. Ostateczne upoważnienie wydał szef Kwestury, uznawszy że powyższe świadectwo doktora Traussiga nie wnosi żadnych istotnych elementów do naszych dochodzeń, że zatem można umorzyć w stosunku do niego sprawę (także z uwagi na stan jego zdrowia). Osobiście odwożem doktora Traussiga do Bazylei, w towarzystwie urzędnika poselstwa szwajcarskiego w Rzymie, doktora Ericha Hufnagla. W załączeniu pokwitowanie odbioru pacjenta, podpisane przez dyrektora miejskiego szpitala neuro-psychiatrycznego w Bazylei przy Carl-Gustav-Junggasse 16-18”.

Bazylea, 24 maja 2000. Dyrektor miejskiego szpitala neuro-psychiatrycznego w Bazylei, profesor Marius Lichtenbaum: „Wkrótce po hospitalizacji doktora Kaspara Traussiga w naszym zakładzie władze miejskie, na nasz wniosek, wyraziły zgodę na sprzedaż jego mieszkania wraz z meblami przy ulicy Burckhardta 27, dla pokrycia wysokich kosztów leczenia i przewidywanego na długo pobytu w jednoosobowym, komfortowo urządzonego pokoju. Pacjent był wówczas na tyle jeszcze zdolny do rozumienia, że zaakceptował tę decyzję, prosząc jedynie by ze sprzedaży wyłączono i przywieziono mu do szpitala pięknie oprawioną reprodukcję Chrystusa z *Sądu Ostatecznego* Michała Anioła. Na jutro po spełnieniu tego życzenia zapadł w klasyczny *stupor*, względnie łagodny stan maniako-depresyjny, charakteryzujący się milczeniem, całkowitą absencją i periodycznymi wybuchami bojaźni. Niekiedy mówił do siebie, lecz milkł natychmiast po wejściu lekarza lub pielęgniarki do pokoju. Wczoraj, nieoczekiwanie, zapragnął udać się na spacer nad Ren. Towarzyszyła mu

pielęgniarka Gertrude Linden. Wybrał ławkę, na której (jak wyjaśnił towarzysze spaceru) siadywał w dzieciństwie z rodzicami w pogodne dni po niedzielnej mszy. Patrzył na Ren z wyrazem szczęścia i zachwytu na twarzy, jakby chodziło o rzekę jego lat dziecinnych, a nie o gigantyczny, czarny, zatruty rynsztok naszego roku dwutysięcznego. W załączeniu fotografia pacjenta, dokonana przez pielęgniarkę”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Czerwiec - lipiec 1987

"AN EKS"

kwartalnik polityczny

ANEKS 46-47: SPRAWY NIEMCÓW – A. S. Uwagi wstępne; M. STURMER: Historia w kraju bez pamięci; E. NOLTE: O przeszłości, która nie chce przeminąć; J. HABERMAS: Sposób zacierania winy; J. FEST: Wspomnienie, które należy zachować; Ch. MEIER: Potępiać, ale rozumieć; F. DRAUS: Niemcy, Polska, Europa; H. WAGNER: Problem niemiecki; ● R. C. FERNANDES: Obrazy Męki Pańskiej; ● **KULTURA I POLITYKA** – St. BARAŃCZAK: Dziecięta naiwności; ● A. SMOLAR: Pożegnanie Kota Jeleńskiego; K. A. JELEŃSKI: O *Kulturze* raz jeszcze; ● **Z HISTORII NAJNOWSZEJ** – J. T. GROSS: Wybory (II); ● M. V. LLOSA: Ameryka Łacińska: postępy demokracji; J. ANDRZEJEWSKI: O poprzednim wcieleniu *Res Publici*, czyli klerk i polityka w socjalizmie; ● **KSIĄŻKI** – M. TOMASZEWSKI: „W jedno ciało i jedną duszę”; J. KRĘPY: Czy ład pogrudniowy jest stabilny? ● Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za lata 1982-86; ● O autorach.

ANEKS 45: M. KRÓL: Polskie niedopełnienie; P. HASSNER: Totalitaryzm. Ewolucja systemu i jego percepcji; ● **GRANICE LIBERALIZMU** – P. MANENT: Sytuacja liberalizmu; Państwo w nowoczesnej gospodarce – Rozmowa z Simonem Nora; ● **OSTOJA WŁADZY** – P. KUCZYŃSKI: Prawie chałwa. Fikcja, pozór i milczenie w propagandzie państwa komunistycznego; M. TRZCIŃSKI: Jak zrozumieć komunizm. Szkic etnologiczny; ● **Z HISTORII NAJNOWSZEJ** – J. T. GROSS: Wybory; ● **POLSKA GOSPODARKA** – W. KUCZYŃSKI: O długach od kuchni; ● O autorach.

Prenumerata roczna (cztery numery) – £12,00; \$24,00
Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:
Aneks, 61 Dorset Rd., London W5 4HX, England

Wiersze

Piotr PIĘTAK

PRÓBA OPISU

Lutkowi Dornowi

jak opisać namysł ciszy
w ulu przypadków
jak odpruć guziki
z szynela zjedzonego przez mole
jak wierzyć w tych
którzy milczą
nic nie wiedzą
i ociemniałym wzrokiem
mnie ślepego śledzą
jak napisać, że wszelkie
wnioski są zawsze banalne
i liczy się tylko droga
którą do nich dojdiesz
jak pamiętać co zapomniałem
i jak dorobić się
własnych wspomnień
i jak cię zobaczyć
gdy się nie umie patrzeć
czy byłeś wypadkiem
czy wynikiem przypadków
i jak ten wierszyk zakończyć
gdy koniec jest jego początkiem?

Piotr PIĘTAK

Adam BĄKOWSKI

WRAK

Przyciąganie dna, w gali alg
istniejących do momentu dotknięcia.
Elektryczność fal w górze,
puste światelko.
Skalne pogięte korytarze,
rozbitkowie wszechpotężnych
niegdyś labiryntów.

W moim wnętrzu chronią się ławice
bojaźliwych i delikatnych ryb.
Ich kolory przypominają mi
moje dawne wizje.
Ale nie odczuwam tęsknoty.

Rdza jak upuszczana krew.
Nie chcę odczuwać tęsknoty.

Wyobrażam Boga na moje podobieństwo.
Ale niewiele wiem o sobie.

Ocean jest pijany i trawi mnie
nieprzytomnie i hałaśliwie.

Adam BĄKOWSKI

Anna POGONOWSKA

LAMENT

czy rosa jest w tej róży
twardsza od diamentu
że jestem cała w ranach
tak jak w gwiazdach noc —
niechże uderza puls
nieboskiej spirali
a może właśnie
tak oddycha Bóg

wietrze
jest jeszcze wiatr

przybywa
przemienia
jest jeszcze wiatr
spiritus flat ubi vult
malutka zatruta nasza ziemia
ziarno z kielkiem wybuchu

a róża pachnie
słowik
rodzi świat za światem
twarda rosa rysuje krwawy deseń
i można jeszcze rozpaczać
można się cieszyć
zarem
iskrzącego się szyfru

1986

Anna POGONOWSKA

Krzysztof HARIASZ

**

Na powierzchni bagna
błyszczą cienka warstwa wody
Jak lustro

I nocą
rzeczywiście przypomina niebo
pełne gwiazd

Iluz wędrownych poetów
zmyliło tutaj droge
Iluz uciekinierów
handlarzy
Ile psów na wpół dziczych

Przesuwają się granice
kompromisu z bagnem
Coraz głębiej
Nieuchronnie
Na dno

Clifton Heights, 1985

Krzysztof HARIASZ

Archiwum polityczne

Trudna przyjaźń gigantów

(STOSUNKI ROSYJSKO-CHIŃSKIE Z PERSPEKTYWY
HISTORYCZNEJ)

Zacznijmy od pewnych elementarnych konstatacji. Rosja i Chiny są nie tylko jednymi z największych krajów świata, poruszającymi się jak słonie wśród międzynarodowego drobiazgu, ale są ponadto sąsiadami. Dzieli je i zarazem łączy bodajże najdłuższa w świecie granica międzypaństwowa, biegnąca z dala od ich głównych ośrodków gospodarczych i kulturalnych, w dziczy pustyń, stepów, gór i tajgi. Jest to granica trudna nawet do upilnowania, nie mówiąc o obronie. Wojna na wielką skalę byłaby niezmiernie skomplikowana dla każdego z tych państw. Dodajmy jeszcze, że jedno jest w zasadzie państwem o kulturze europejskiej, drugie jest starym centrum cywilizacji wschodnioazjatyckiej. Przy tak dużych różnicach kulturowych nie tylko kontakt, ale i konflikt zbrojny są trudne; warunki, przyzwyczajenia i reguły postępowania jednego są całkowicie obce drugiemu. Każdy żołnierz stawiałby wobec niewyobrażalnych dla niego problemów i każdy generał miałby przeciwnika, którego często nie byłby w stanie zrozumieć. Warto tu przypomnieć wojnę Japonii z USA, amerykańską interwencję w Wietnamie i sowiecką w Afganistanie. Ponadto dzielą te kraje ogromne różnice klimatyczne; okupacja Syberii byłaby dla południowych w stylu życia Chińczyków niemal takim samym nieszczęściem jak dla Sudańczyków, a i Rosjanie mieliby ciężkie życie w Chinach, szczególnie południowych. Wojna tradycyjna, zmierzająca do okupacji całości czy choćby części terytorium przeciwnika, jest zupełnie nierealna. Związek Sowietów może wprawdzie zmieść z powierzchni ziemi Chiny atakiem nuklearno-rakietowym, ale zapłaciłby za to cenę niezmiernie wysoką, we wszystkich aspektach. Musi zatem współistnieć z Chinami, może tylko prowadzić „zimną wojnę” konfrontacji politycznej, niewielkich konfliktów przygranicznych lub polityczno-militarnych nacisków

Rosja i Chiny są wśród super-państw jedynymi starymi imperiami. Ich stosunki są więc zderzeniem dwu odmiennych tradycji imperialnych, dwu „cesarskich dworów” przyzwyczajonych do hegemonii i domagających się jej jako oczywistego prawa, a nawet „historycznego obowiązku”. Chiny są zarazem przyzwyczajone do dominacji polityczno-ideologicznej (unikaty ekspansji, a szczególnie podbojów) tradycja zaś rosyjska łączy ideologię z siłą zbrojną i ekspansję terytorialną traktuje jako naturalny cel wszelkiej polityki. Obydwa jednak mocarstwa są „państwami Środka”, choć tylko Chiny mają tę nazwę. „Państwo Środka” jako system polityczny, jako pewna struktura administracyjno-mitologiczna, składa się — moim zdaniem — z trzech zasadniczych elementów wzajemnie powiązanych: z mitu „cesarza — wodza ludzkości”, który jest źródłem władzy, z systemu społecznego uznawanego w danym kraju „za najlepszy na świecie” (państwo kieruje życiem gospodarczym, steruje w zasadzie bezstanowym „społeczeństwem biurokratycznym”, w którym awans społeczny jest „zasadą ideologiczną, a prestiż łączy się głównie z pozycją w aparacie rządzącym; często stosowane są też formy gospodarki kolektywnej), i z pilnie strzeżonych, budzących zabobny lęk granic, oddzielających obywateli od świata, aby nigdy nie wystawiali na próbę swej wiary, że ich kraj jest najlepszym pod słońcem i że ich „cesarz” jest umiłowany przez całą ludzkość.

Mimo tej samoizolacji od świata zewnętrznego, państwo tego typu jest w teorii — albo i w rzeczywistości — „państwem światowym” (dlatego właśnie ZSSR ma w swym godle państwowym glob ziemski). Broni ono porządku moralnego wyznaczanego przez ideologię przezeń głoszoną, utrwaloną w „księgach świętych”. Jego przywódca działa dla dobra całej ludzkości, a nie tylko ludności swego kraju, jak to jest w państwach narodowych. Reprezentuje wobec niej pewien porządek wyższego rzędu, który nakazuje mu kształtować jej poglądy, wpływać na każdą jednostkę i karać tych, którzy wyłamują się z porządku przezeń reprezentowanego.

System ten pozwala uniknąć sprzeczności etnicznych i narodowych wewnątrz pluralistycznego przeciw imperium, zdominowanego przez jeden etnos (Wielkorusów i Chińczyków-Hanów), jest uzasadnieniem i formą praktyczną ich faktycznej dominacji. Dlatego odwrócenie perspektywy, przyjęcie, że państwo reprezentuje tylko swych obywateli i że oni są źródłem władzy, jest tam postarzane jako kres jego bytu, jako prowadzące do rozwoju nacjonalizmów i rozpadu państwa. Takie państwo nie może też tolerować, by inne państwo deklaroowało swą hegemonię moralno-polityczną; zna ono tylko hegemonię lub podporządkowanie, nie zaś równość suwerennych narodów i państw.

Stosunki między Moskwą i Pekinem były pochodną rozwoju

i fluktuacji modelu „państwa Środka” w nich obu. Podczas gdy w Chinach system ten ukształtował się w starożytności, w ostatnich wiekach przed naszą erą, wielokrotnie upadał i był odbudowywany, w Rosji osiągnął swą postać dojrzałą dopiero w latach 30-tych naszego stulecia. Gdy Mao podjął jego odbudowę, oznaczać to musiało konfrontację z Moskwą. Dopiero gdy Deng rozpoczął odchodzenie od tego modelu i tworzenie systemu państwa narodowego (w warunkach chińskich wieloetnicznego) powstały warunki do normalizacji stosunków międzynarodowych także z Moskwą. Zadziwiającym zbiegiem okoliczności także ZSSR wkroczył w połowie lat 1980-tych w epokę przemian; odchodzenie od dawnej ideologii i nacisk na „podejście pragmatyczne” powodują siłą rzeczy także tam obumieranie systemu „państwa Środka”. Stąd normalizacja ich wzajemnych stosunków stała się możliwa.

Wróćmy jednak do historii. Jak wiadomo, w połowie XIX wieku mocarstwa zachodnie, do których dołączyła później Japonia, wymogły siłą zbrojną na Chinach rezygnację z doktryny „państwa Środka” w stosunkach międzynarodowych i rozpoczęły półkolonialny wyzysk azjatyckiego giganta. Zamysły podzielenia go na normalne kolonie nie zostały zrealizowane z powodu sprzeczności między mocarstwami i zręcznej dyplomacji USA, które sprzeciwiły się takiemu podziałowi. Początkiem konfliktu było jednak — o czym się teraz często zapomina — stanowisko Chin. Odrzucały one aż do początków naszego stulecia nawiązanie „normalnych” — w poczuciu europejskim — stosunków między państwowych, opartych na równości stron, nie chciały zaakceptować wymiany ambasadorów ani rezydowania obcych poselstw w swej stolicy, nie uznawały wolności handlu ani nie zezwalały cudzoziemcom na przekraczanie swych granic; każda podróż cudzoziemca wymagała specjalnych zezwoleń. W związku z nasilaniem się nielegalnych kontaktów i korupcji wśród chińskich urzędników, w połowie XVIII wieku wprowadzono w Chinach cały nowy system restrykcji antycudzoziemskich, które między innymi przewidywały karę śmierci za uczenie się języka „diabłów zamorskich”, jak też za uczenie cudzoziemca języka chińskiego. Księgi chińskie, które misjonarze próbowali przekładać, trzeba było wykraść, gdyż od stuleci wywóz za granicę ksiąg chińskich wymagał każdorazowo politycznej decyzji cesarza.

Chiny były traktowane jako jedyny obszar i ojczyzna „cywilizacji”, uznawały wszystkie inne państwa za wasali, ich władcom cesarz udzielał inwestytury na rządzenie, a ich poselstwa winne były periodicznie przyjeżdżać z hołdem i symboliczną daniną — produktami miejscowych ziem. Zgodnie z ustalonym zwyczajem, poselstwa te przywoziły ze sobą także rozmaite produkty na sprzedaż i prócz podarków cesarza (o wartości przewyższającej otrzy-

mane przezeń dary) mogły wywieźć z Chin zakupione tam towary. System ten łączył więc politykę z handlem międzynarodowym. Udostępnianie „barbarzyńcom” części swych dóbr, niezbędnych im do życia, Chiny uznawały za rodzaj obowiązku moralnego. Cudzoziemcy byli traktowani zazwyczaj jako istoty niższego rzędu, jako „dzikusy”, i toczyły się nawet uczone debaty, czy cywilizowanie ich jest możliwe i potrzebne.

Chiny były bezsprzecznie aż do XVIII wieku jednym z najwyżej rozwiniętych państw świata i przodowały w Azji wschodniej. Dostarczały sąsiadom wzorców organizacji politycznej, społecznej, technologii i produktów „zaawansowanych technologicznie”. Nawet gdy były podbijane przez ludy koczownicze, ich przodująca cywilizacja nie była kwestionowana. Do dworu cesarskiego przyjeżdżało tak wiele poselstw, że trzeba było wielokrotnie wprowadzać ograniczenia czasowe dotyczące częstotliwości poselstw i okresu ich przebywania, bywało ich bowiem po kilka każdego dnia. A dwór cesarski odgrywał w Azji wschodniej rolę podobną do papieżstwa w Europie (w okresach jego potęgi) czy współczesnego ONZ.

Nawet pierwsi Europejczycy akceptowali te „reguły gry” i starożytni kupcy z cesarstwa rzymskiego, później zaś portugalscy, hiszpańscy i holenderscy, chcąc handlować przedstawiali się jako „posłowie” i przy odpowiednim ceremoniale składali „dary” dla cesarza w pogranicznym mieście portowym. Nie mając listów od swych władców, nie byli jednak dopuszczani do stolicy i nie dostępowali zaszczytu audiencji cesarskiej. Ale doktryna państwa uniwersalnego dawała nawet „barbarzyńcom zamorskim” pewne prawa w Chinach, umożliwiała uzyskanie pozwolenia na otwarcie faktorii, czy nawet osiedlenie się na stałe. Tak właśnie powstała portugalska osada Macao, analogicznie do wcześniejszych kwartałów kupców perskich i arabskich.

Dopiero w wieku XVIII, gdy Anglia i Francja zapragnęły nawiązać „normalne” stosunki międzypaństwowe z cesarstwem, okazało się to właściwie niemożliwe bez przyjęcia warunków chińskich. I dopiero w połowie wieku XIX zaczęły wymuszać siłą zbrojną respektowanie ich „praw” i otwarcie gospodarcze Chin. Handel opium, sprowadzanym przez Anglików z Indii, rozwinął się niejako zastępczo, gdyż kupcy europejscy mieli na tamtejszym rynku wiele towarów, które chcieliby nabyć, nie znajdując zarazem rynku nabywców dla towarów europejskich; inaczej trzeba było płacić srebrem lub złotem.

Wymuszenie siłą zbrojną dostępu do Chin i poniżenie dumnego mocarstwa wywołało oczywiście falę nienawiści; nacjonalizm antycudzoziemski zdominował chińską scenę polityczną na ponad sto lat. Objął on nawet Japończyków, którzy tak samo

jak Europejczycy byli „barbarzyńcami zamorskimi”. Po dziś dzień popularną nazwą Chin, używaną przez Chińczyków, jest Święty Kontynent (*Shen zhou*), a idee odzyskania „należnego” im miejsca w nowoczesnym świecie, dorównania wielkim potęgom a nawet wyprzedzenia ich, fascynowały przywódców i masy. Chińskie zauroczenie komunizmem wyrosło z tego właśnie gruntu. Wydawało się, że przy boku ZSSR Chiny szybko rozwiną się i odegrają rolę przewodnią w tworzeniu nowego, bezpaństwowego społeczeństwa „światowego komunizmu”. Mao zaakceptował więc przejściowo hegemonię sowiecką, zastrzegając tylko przewodnią rolę Chin w Azji. Jego nieudany Wielki Skok z 1957 roku i zamierzone „wyprowadzenie Wielkiej Brytanii” w ciągu kilku lat było częścią nowego snu o odzyskaniu hegemonii światowej przez rozwój gospodarczy i zademonstrowanie tryumfu „szczęśliwego społeczeństwa”.

Sojusz z ZSSR był możliwy, gdyż pozycja tego państwa wobec Chin była szczególna. Rosja nie była „państwem zamorskim”, nawiązała stosunki międzypaństwowe z Chinami wcześniej i występowała od dawna jako „przyjaciel” udzielający pomocy w walce przeciwko głównym chińskim wrogom. Historię stosunków z Rosją i ZSSR można wręcz określić jako wieloletnią historię traktatów o przyjaźni, wprawdzie łamanych i rzadko dotrzymywanych, ale zwykle chętnie podpisywanych. Gotowości do ogłaszania pięknie brzmiących deklaracji nigdy w Rosji nie brakło. Rosyjska ekspansja na północ niepokoiła oczywiście rząd chiński, ale z perspektywy zwykłego Chińczyka była ona niedostrzegalna; Rosjanie rzadko pojawiali się w Chinach właściwych, w ich wielkich miastach i portach. Mandżuria i Turkiestan, gdzie wpływy rosyjskie szybko się umacniały, leżały na peryferiach imperium i zamieszkałe były przez ludność nie-chińską. Kolonizacja Mandżurii przez Chińczyków zaczęła się właściwie dopiero w początkach naszego stulecia, a chińskiego Turkiestanu dopiero w ChRL.

Cofnijmy się jednak znowu do czasów odległych. Rosja od stuleci wojowała z ludami wschodnimi i handlowała z nimi. Przeszła okres panowania mongolskiego, później przejął ją nacjonalistyczna historia (stereotyp „odwiecznej” walki z „żółtymi”). Jej książki jeździły z hołdem do tatarskich chanów, a pierwsze spisy ludności i kadastry ziemskie były sporządzane dla niej po chińsku, przez urzędników mongolskiego imperium. Jest jednak zdumiewające, jak mało wiadano o Chinach. Jeszcze w wieku XVII toczyły się tam zadziwiające dla nas debaty: czy jest to państwo wielkie, czy jest ono bogate, gdzie leży? Pierwsze konkluzje były negatywne. Ponieważ wszyscy wypytywani kupcy i syberyjska wieść gminna głosiły, że jest to państwo otoczone murem, wyciągnięto wniosek, że jest to państwo co najwyżej wielkości ruskiego powiatu, „bo przecież większego nie

dałoby się otoczyć murem". Opowieści o jego bogactwach i ogromie zaliczano do ludowych bajd. Jednym z koronnych argumentów było, iż nikt nigdy nie widział chińskiego kupca; towary wprawdzie docierały, ale ich pochodzenie było niepewne, nabywano je od pośredników z Azji środkowej.

Zainteresowanie dla Chin obudziły dopiero natarczywe starania Anglików o zezwolenie na szukanie północnej drogi morskiej do Chin, a później o zezwolenie na wyprawę Obem do źródeł rzeki. Przypuszczano bowiem błędnie, że da się nią dotrzeć do Chin lub Indii. Nigdy im na to nie zezwolono, ale biurokracja carska zaczęła sama przemyślać o rozwoju dochodowego handlu w tym kierunku. Było to jeszcze innym złudzeniem: transport lądowy był droższy niż morski; herbata z Chin przywieziona do Petersburga okrętem kosztowała taniej niż wielbłędami przez Azję (choć ta ostatnia cieszyła się szczególnym uznaniem rosyjskich smakoszy dla jej szczególnego aromatu).

Sytuacja zaczęła się jednak szybko zmieniać wraz z szybkim podbojem Syberii, w dużej mierze będącym prywatnymi inicjatywami Kozaków. Władze jednak uznawały je za własne i szybko zaprowadzały na nowych terenach swoją administrację. Tak zaczęły się pojawiać syberyjskie miasta: Tjumeń (1586), Tobolsk (1587), Surgut (1594), Mangazeja (1601), Tomsk (1604). W połowie XVII wieku Kozacy dotarli już do Pacyfiku i zaczęli zakładać osady-warownie nad Amurem. Wtedy doszło do pierwszych utarczek z wojskami chińskimi patrolującymi te tereny i uznawanymi za „wasalne”.

Był to jednak szczególny okres w historii Chin. Chyliła się ku upadkowi dynastia Ming (1368-1644), a dawniej wasalne ludy mandżurskie stworzyły wieloetniczne państwo, które rozpoczęło podbój Chin. Właśnie w 1644 jego twórca Nurchaci ogłosił się cesarzem Chin, choć podbój Chin południowych i walki z lojalistami upadłej dynastii miały trwać jeszcze lat czterdzieści. Nowa dynastia dopiero tworzyła swe państwo, walczyła na różnych frontach, podporządkowywała sobie dawne ziemie wasalne, które w czasie zamieszek usamodzielniały się, ciężkie walki toczyły się z Ojratami na północnym zachodzie. W tej sytuacji grupy kozackie na dalekich i niemal bezludnych pograniczach wydawały się bez większego znaczenia. Później nawet pojawiły się idee wykorzystania Rosji jako sojusznika przeciwko zbuntowanym ludom północnego zachodu, zgodnie z prastarą chińską zasadą, by „pokonywać barbarzyńców przez barbarzyńców”.

Pierwsze oficjalne poselstwo rosyjskie, zorganizowane przez administrację Syberii (*Prikaz Kazanskogo Dwora*), było kierowane przez Kozaka Iwana Petlina. Wyruszyło ono z Tomska w 1618 roku a powróciło w roku następnym. Ustaliło ono, że do Chin można dotrzeć drogą lądową, wyjaśniło zagadkową sprawę muru,

opisując go jako „ciągnący się od morza do Buchar” i przedstawiło Chiny jako kraj wielki, ludny i bogaty. Ustaliło też, że nikt tam o rzece Ob nie słyszał. Nie mając podarków dla cesarza ani listu carskiego, poselstwo nie zostało przyjęte przez cesarza, a jedynie przez funkcjonariuszy Ministerstwa Norm, zawiadującego sprawami zagranicznymi. Było jednak goszczone uprzejmie i otrzymało list cesarski do swego władcy (w Rosji zdołano go jednak odczytać dopiero w 1675 roku, gdy cesarz ten dawno już nie żył i dynastia Ming utraciła panowanie). Cesarz zezwalał w nim posłom rosyjskim przyjeżdżać do Chin i handlować, a zarazem zdecydowanie odrzucał rosyjskie zaproszenie dla niego do odwiedzenia ich kraju: „I ja według obyczaju ze swojego państwa nie wyjeżdżam, i posłów ani kupców nie wysyłam”. Inicjator tej wyprawy, sybirski wojewoda, został za jej samowolne podjęcie zdymisjonowany, choć zarazem jej uczestnicy otrzymali szczerze dary od cara. Rosja była zainteresowana głównie w uznaniu jej zwierzchnictwa przez stepowych władców, nie zaś w nawiązywaniu stosunków z dalekimi Chinami. Dopiero w 1653 roku wysłano następne, tym razem już oficjalne poselstwo F. I. Bajkowa. Misja jego zakończyła się jednak niepowodzeniem, gdyż mając precyzyjne instrukcje z Moskwy, Bajkow nie chciał klęknąć przed cesarzem i uderzyć czołem o ziemię, jak tego wymagał rytuał poselstw wasalnych, ani oddać listu carskiego urzędnikom. Podarków więc także nie przyjęto i list carski wrócił do Moskwy. Później jednak wypadki potoczyły się szybciej i wypracowano pewne formuły kompromisowe. W 1697 roku oba państwa podpisały pierwszy oficjalny traktat w Nercyńsku. Ustalał on granice (Kraj Przyamurski pozostał jednak „ziemią niczyją” do późniejszych rokowań, a rosyjskie forty miały być tam zniszczone) i dawał prawo Rosjanom do wysyłania poselstw o zwykłej, na poły handlowej naturze.

W XVIII wieku, w okresie szczytowej potęgi mandżurskiej dynastii Qing (1644-1912) nawiązały się ożywione stosunki. „Białemu Królowi”, jak nazywano cara, udzielono rzadkich przywilejów: w związku z częstymi przyjazdami misji rosyjskich wydzielono im w stolicy pałac, gdzie mogły rezydować, a w wypadku dokonania zakupów przekraczających ich środki finansowe, dwór cesarski zobowiązał się pokryć niedobory, które mogły być spłacone przez następne poselstwo. Administracja chińska decydowała się nawet na krok niebywały: zezwoliła Rosjanom na przysyłanie grupy studentów dla nauki języka chińskiego i mandżurskiego, ich naukę organizował i opłacał rząd chiński. Był to bodajże pierwszy w świecie wypadek ujęcia spraw nauki cudzoziemców w porozumieniu międzypaństwowym i organizowania jej przez zainteresowane państwa. W niejasnych okolicznościach pojawiła się nawet na dworze cesarskim w Pekinie gwardia ko-

zacka. Być może rekrutowała się ona z jeńców wziętych w utarczkach granicznych, być może w części z Kozaków, którzy dobrowolnie przeszli na służbę chińską. Tak pojawił się nowy problem: popa i cerkwi dla nich. Mimo rozmaitych oporów władze chińskie zgodziły się w końcu na przysyłanie popów przez cara. Tak powstała w Pekinie oficjalna rosyjska misja duchowna, pełniąca *de facto* pewne funkcje dyplomatyczne, zbierająca informacje o Chinach dla Moskwy i będąca liczącym się ośrodkiem badań sinologicznych. Słowniki chińsko-rosyjskie tam opracowane były aż do lat ostatnich najlepszymi, jakie zrobili badacze rosyjscy. Przyczyny dla których władze chińskie dawały Rosjanom tyle przywilejów nie są całkiem jasne. Być może były one związane po prostu z nowym dla nich sąsiedztwem; starano się zaspokajać rozmaite potrzeby partnera nawet jeśli nie zawsze były one zrozumiałe, aby uniknąć zadrażnień. Należy przecież pamiętać, że rządząca dynastia wywodziła się z Mandżurii i północne terytoria były jej ojczyzną, tam były siedziby klanów rządzących wówczas Chinami. Konflikt z Rosją stanowiłby bezpośrednie zagrożenie dla tych ziem i ich ludności. Rosja także unikała trudnego dla niej konfliktu i starała się akceptować rozwiązania kompromisowe. W XIX wieku dołączył się do tego czynnik dodatkowy: umacniając pozycje Chin, przeciwstawiała się ona swoim europejskim rywalom, a później i Japonii. Będąc słabsza od nich starała się zdobywać sojuszników i umacniać ich opór przeciw konkurentom. Tak na przykład po przegranej przez Chiny pierwszej wojnie opiumowej (1841) Rosja zaczęła dostarczać im broń i zorganizowała szkolenie dla ich dowódców. Wprawdzie przyniosło to niewielkie rezultaty praktyczne, ale to już zupełnie inna sprawa. Polityka ta była kontynuowana później przez ZSSR.

Była to jednak tylko jedna strona medalu, drugą była ekspansja Rosji, prowadzona ostrożnie i przy użyciu najrozmaitszych metod, pod stałą osłoną deklaracji o przyjaźni. Na przykład w 1851 roku gubernatorzy ziem pogranicznych podpisali traktat, zwany aigunskim, na mocy którego Rosja otrzymała terytoria leżące na północ od Amuru (choć część wschodnią nadal pozostawiano jako przedmiot pertraktacji). Rząd chiński traktatu tego nie uznał. Gdy jednak wojska francusko-angielskie okupowały Pekin w trakcie drugiej wojny opiumowej, poseł carski wywiedziawszy się, że nie zamierzają one zająć północnych Chin na stałe, a chodzi tylko o nowe przywileje, zaproponował Chińczykom mediację i uzyskanie ich wycofania w zamian za ratyfikację traktatu aigunskiego. Co też uzyskał w 1860 roku. Wielką była wściekłość Chińczyków, gdy dowiedzieli się później o matactwie przyjaciela-pośrednika, ale traktat był już podpisany. Innym przykładem może być rosyjska okupacja Turkiestanu wschodniego „dla ochrony jego ludności” w związku z powstaniem mużulułów, jakie

wybuchło na terenach zachodnich cesarstwa. Ostatecznie Rosja zgodziła się po latach wycofać stamtąd swoje wojska (za odszkodowaniem), zatrzymała jednak zachodnią część przylegającą do własnych nabytków (traktat w Liwadii 1879). Po przegranej przez Chińczyków wojnie z Japonią (1894-1895) podpisała z Chinami układ o przyjaźni i sojuszu przeciw Japonii bardzo im użyteczny, ale zarazem wymogła zgodę na przeprowadzenie przez Mandżurię eksterytorialnej linii kolejowej, zarządzanej i eksploatowanej przez Rosjan. W ten sposób nie tylko uzyskała wygodne połączenie z nowo przyłączonymi ziemiami nad Pacyfikiem, ale i możliwość penetracji Mandżurii, do której aneksji zaczęto zmierzać. Chińskiego posła fetowano w Petersburgu najbardziej jak było można i dano mu ponadto astronomiczną łapówkę. Wyliczanie takich incydentów można by ciągnąć długo.

Dlatego też ChRL wiele z tych traktatów ogłosiła za bezprawne, chociaż uważała je nadal za wiążące i domagała się od końca lat 1960-tych deklaracji ZSSR w tym duchu, czego jednak rząd sowiecki zdecydowanie odmawiał. Strona chińska domagała się także wycofania wojsk sowieckich na linie wyznaczone w dawnych traktatach, podpisanych z Rosją carską. Tak się bowiem dziwnie złożyło, że ta nigdy w terenie nie wyznaczona precyzyjnie granica, oparta na niedokładnych dawnych mapach, była w wielu punktach przekroczona na niekorzyść Chin. Właściwie nawet w Moskwie nie wiadano, jak do tego doszło. Przypuszczano, że po prostu patroli kozackie nudziły się, jeżdżąc wciąż po tej samej linii i od czasu do czasu po prostu zmieniały swoje trasy, jeżdżąc „po następnej górze”. Stąd ZSSR domagał się uznania „faktycznej linii kontroli”, na co z kolei nie chciała przystać strona chińska. Rozmowy w sprawie granic są nadal w toku.

Jednak — mimo niewątpliwej polityki zaborczej i ekspansji kosztem Chin — Rosja właściwie nigdy nie stała się obiektem nienawiści mas, jak było to udziałem Japonii i mocarstw zachodnich. Budziła irytację, a nawet wrogość co najwyżej w kręgach dworskich, ale te, przyzwyczajone do gier dyplomatycznych, potrafiły się godzić ze swymi przegranymi nie starając się, ze zrozumiałych względów, nadmiernie ich eksponować. Wprawdzie w latach 1920-tych w chińskich kręgach patriotycznych wyliczano zazwyczaj wśród „ziem utraconych” i te zabrane przez Rosję (i Mongolię, dawniej wasalną, oderwaną po Rewolucji 1911 roku), ale zręczna i wielokierunkowa polityka sowiecka znacznie łagodziła takie niekorzystne opinie. W gruncie rzeczy dopiero w ChRL zrodziła się i upowszechniła niechęć czy nawet wrogość do Rosji i ZSSR, stając się zjawiskiem masowym, ale dość płytkim i, jak można sądzić, przejściowym. Wraz z upadkiem systemu maoistowskiego i dyskredytacją jego ideologii, szybko zaczęła zanikać. Propagandowe próby łączenia Rosji z prastarą tradycją walk prze-

ciwko północnym koczownikom pasa stepowego i cierpieniami zaznanymi od nich były nazbyt sztuczne, aby mogły wywołać oddźwięk społeczny. Upadek mitu państwa Środka w jego najnowszej wersji epoki Mao i odległość doświadczeń lat pięćdziesiątych, kiedy to liczni doradcy sowieccy budzili dość często negatywne emocje swoim zachowaniem, dodatkowo przyczyniły się do załagodzenia konfliktu i spadku fali emocji społecznych. To właśnie, w połączeniu z obiektywnymi interesami i nową polityką Gorbaczowa, stwarza obiektywne możliwości dla kolejnej fazy zbliżenia, choć wszyscy Chińczycy podkreślają, że powrót do sojuszu z lat 1950-tych jest niemożliwy, muszą to być stosunki oparte na rzeczywistej równości stron i wolne od wszelkich nacisków wojskowych. Chiny patrzą teraz w przyszłość, nie w przeszłość. Tym niemniej rozmaite elementy dziedzictwa bardziej i mniej odległej przeszłości wymagają oczywiście uregulowania jak np. agresywna polityka Wietnamu wspieranego z Moskwy na południu i obecność dużych sił wojskowych nad granicą północną.

Można jednak wątpić, czy nowe zbliżenie będzie trwało długo. Każdy z dwu gigantów ma przecież swoje mocarstwowe aspiracje i interesy w Azji, jest zauroczony dawnymi mitami o wielkości i posłannictwie dziejowym. W każdym z nich upadek poprzedniego mitu i struktur organizacyjnych „państwa Środka” będzie powodował narastanie nacjonalizmów, a względne zacofanie wobec reszty krajów uprzemysłowionych, poczucie wyższości i niższości zarazem, tworzą niebezpieczną mieszankę. Geografia jednak przesądza, że Kozak musi trzymać Tatarzyna, choć ten uścisk może być okraszony uśmiechami i przedstawiany okresowo jako „uścisk przyjaźni”.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Widziane z Brukseli

POŁAWIACZE MIN CZY POŁAWIACZE PEREŁ

„Ormuz to wielkie i piękne miasto nad morzem, rządzone przez *malika*, któremu podlega wiele miast i osad. Tutejsi mieszkańcy to Saracenowie, którzy modlą się do Mahometa”. Tak w roku pańskim 1270 widział w skrócie Ormuz Marco Polo. Dziś nie zostało z dawnej świetności nic poza ruinami fortu. Na tej biednej wyspie mieszka 2.140 Persów, do których należy doliczyć nieokreśloną i zmienną ilość „strażników rewolucji” islamskiej.

Tylko Mahomet jest ten sam, chociaż niektórzy twierdzą, że i on zmienił się bardzo od czasów Marco Polo. Ormuz stanowił wrota, przez które szedł handel Chin i Indii, a miejscowa flota broniła cieśniny przed niewiernymi. Najnowsze zdobycze technologii, to znaczy armaty, pozwoliły jednak niewielkiej flocie portugalskiej pod wodzą Alfonsa de Albuquerque zniszczyć muzułmańską armadę i zająć w 1515 roku miasto Ormuz i okolice. Trwało jeszcze wiek, zanim integrzyści brytyjscy wysadzili portugalskich katolików. Po czym, aż do niedawna, o Ormuzie świat zapominał. Dziś wiadomo już, że świat postąpił nieostrożnie. Nie wiadomo natomiast, czy poza geografią świat się czegoś nauczył.

Po mojej lewej ręce Związek sowieckich socjalistycznych republik, materialistyczna super-potęga, gdzie propaganda ateistyczna w ogóle, a antymuzułmańska w szczególności, figuruje bardzo wysoko na liście zadań bojowych rządzącej partii komunistycznej. Laickie państwo, które uważa Pana Boga za osobistego wroga, a religie za opium i truciznę narodu, prowadzi bezlitosną wojnę przeciwko muzułmańskiemu ludowi w Afganistanie, a ponadto jest jednym z głównych, jeżeli nie głównym dostawcą broni dla Iraku...

Po mojej prawej ręce Iran, państwo teokratyczne, którego najszytniejszy cel stanowi męczeństwo, eksport rewolucji muzułmańskiej w jej najbardziej fanatycznym, to znaczy szyickim, wydaniu — nawet, jeżeli nie przede wszystkim, poprzez wojny z innymi państwami nieco innego islamu jak Irak czy Arabia Saudyjska i dla którego do niedawna Związek Sowiecki był, tak jak ciągle są Stany Zjednoczone, „wielkim szatanem”, wrogiem na śmierć i życie, a raczej tylko na śmierć...

Wydawać by się więc mogło, że takie dwie ręce nigdy się nie zjedną, że jakkolwiek związek między nimi jest sprzeczny z naturą, że — jak mawiał Kipling — „Wschód to Wschód, a Zachód to Zachód, and never the twain shall meet”. A jednak...

„Nawet się uśmiechną!”

Zacznijmy od krótkiego wstępu historycznego. Żeby nie nużyć, nie będziemy sięgać do XIX wieku, ani do drugiej wojny światowej, ani nawet do bardzo intymnych stosunków Kremla z szachinszachem. Przejdźmy od razu do ajatoli Chomeiniego i do chwili, kiedy dobrze podkarmiony gościnnością francuską, ów Lenin islamu wylądował na pokładzie specjalnego Boeinga Air France 1 lutego 1979 roku w Teheranie. Powitały go, jak pamiętamy, tłumy wiernych oraz — czego może nie pamiętamy — wielkie nadzieje ZSSR.

Moskwa bardzo się pospieszyła i uznała nowy Iran 13 lutego 1979 roku, tzn. dokładnie w dniu proklamowania republiki islam-

skiej. Władimir Winogradow był wtedy ambasadorem sowieckim w Teheranie i z dumą opowiada w swych wspomnieniach, jak to Chomeini, choć wszak prorok, który w zasadzie nie przyjmował ambasadatorów zagranicznych, dla ZSSR zrobił wyjątek i rozmawiał z Winogradowem ponad godzinę w jednej ze szkół w Teheranie już 24 lutego. Chomeini, opowiada ambasador, „nawet się uśmiechał i uściśnął mi dłoń, choć — jak się później dowiedziałem — na ogół tego unikał”. Rozmowa toczyła się głównie wokół formuły zaproponowanej przez Winogradowa na temat możliwości przyjaznych stosunków obu sąsiadujących krajów, których ustroje są zbudowane na rewolucyjnych fundamentach.

„Fundamenty” Chomeiniego budziły od początku wyjątkowe poządanie w Moskwie. Chomeini bowiem był przede wszystkim antyamerykański, żeby wspomnieć tylko o zajęciu ambasady USA i wzięciu dyplomatów jako zakładników. Rewolucyjny ZSSR pomagał więc rewolucyjnemu Iranowi w budowaniu zrębów. Dwa tysiące sowieckich spocjalistów od bardzo różnych rzeczy pracowało w Iranie, w tym specjalna grupa organizująca, przy bratniej współpracy fachowców z NRD, instytucję zwaną „Sawama” — to znaczy tajną policję ajatolów, przy której nie mniej osławiona „Sawak”, funkcjonująca za szacha, mogłaby pretendować do rangi szkółki dla dzieci.

Nadzieje teoretyków z Kremla, którzy spodziewali się szybkiej socjalizacji Iranu, bardzo szybko się jednak rozwiały. Islami-zacja była szybsza. Utrwalenie się teokracji w Iranie, wyeliminowanie — także fizyczne — elementów „burżuazyjno-demokratycznych”, otworzyło drugą fazę zygzału w postawie ZSSR. Fanatyzm szyicki przybrał takie formy i rozmiary, że groził już nie tylko usunięciem Ameryki i destabilizacją rejonu Środkowego Wschodu, co leżało — jak każda destabilizacja — w interesie ZSSR, ale zaczął zaglądać poprzez granicę sowiecką do środka, zwłaszcza do Azji środkowej, gdzie żyje około 50 milionów sowieckich muzułmanów, w ogromnej większości sunnitów i do Azerbejdżanu, gdzie — przypadek szczególnie — większość mieszkańców jest szyicka. Tak jak w Iranie...

Nie wydaje się, aby sunnici sowieccy byli wyjątkowo uczuleni na religijne czy fanatyczne aspekty szyzimu i nie ma dowodów na szyicko-irański bezpośredni opad w Azji sowieckiej. Ale nie ulega wątpliwości, że bojowość i agresywność ajatolów, ich brak kompleksów wobec wszystkich „szatanów”, arogancja, zarozumiałość, pewność siebie itp. nie mogły nie zrobić wrażenia na sowieckich muzułmanach, nawet nie praktykujących, zwłaszcza młodych. Ostrość propagandy antyreligijnej wśród ludności muzułmańskiej (sam Gorbaczow się w to osobiście zaangażował), późniejsza twarda reakcja władz sowieckich na zamieszki w Kazachstanie, gdzie akcenty wojującego nacjonalizmu muzułmańskiego były wyraźne, stanowczość wobec Tatarów, którzy w czasie sierpniowych manifestacji w Moskwie poszukiwali muzułmańskich publikacji wydawanych w... Teheranie, wszystko to świadczyło, że Moskwa rozumiała, jakie niebezpieczeństwo niesie

ze sobą okrzyk „Chomeini ante portas”, jak bardzo automatycznie hasło promuzułmańskie zamienia się w antyrosyjskie czy antysowieckie.

Gdzieś w 1983 roku następuje więc próba presji na Iran. Znie-dołączniałego Breżniewa zastąpił — nie na długo — Andropow, który za doradcę do spraw irańskich i muzułmańskich miał Geidara Alijewa, wicepremiera, członka politbiura, generała KGB, syna szyckiego mułły z Azerbejdżanu. ZSSR poprawia wtedy stosunki z Irakiem, wznaga dostawy broni dla Bagdadu, będącego już wtedy w czwartym roku wojny z Teheranem. Naturalnie ajatolom to się nie podoba. Zaczęli więc ze swej strony pomagać afgańskim rebeliantom, których los był im przedtem zgoła obojętny (mimo obecności 2 milionów uchodźców afgańskich w Iranie) no i wymordowali kadrę komunistycznej partii Iranu, Tudeh. Zapanowała cisza, powiało mrozem, pozornie się zaniósło.

Ale przyszedł czas Gorbaczowa i triumfu pragmatyzmu nad ideologią. Szatan nie szatan, nafta ważniejsza. Najpierw dyskret-nie, potem coraz jawniej, a zwłaszcza coraz szybciej, ZSSR zaczął wracać do Teheranu. W przenośni i dosłownie. W chwili kiedy ten tekst dotrze do czytelnika, będzie już prawdopodobnie po wizycie w Teheranie ministra spraw zagranicznych ZSSR, Edwarda Szewardnadze. W chwili jednak, kiedy go piszę, skończyła się dopiero w Teheranie wizyta Jurija Woroncowa, pierwszego wice-ministra spraw zagranicznych ZSSR. Była to wizyta tak ważna, że ekscelencja Woroncowa, który jest także, jeżeli nie przede wszystkim, przewodniczącym delegacji sowieckiej na rokowania rozbrojeniowe z USA w Genewie, „bawił” w Teheranie podczas kiedy jego szef, minister Szewardnadze, spotykał w Genewie Maxa Kampelmana, amerykańskiego odpowiednika i *oposite number* Woroncowa. Dziwne — powiecie. Czyżby?

Sentymenty i interesy

Woroncowa nie marnował czasu. Jego pobyt miał dwa silne akcenty. Po pierwsze, Woroncowa prawie się rozplakał, tak intensywnie wyrażał smutek ludzi sowieckich w obliczu — jak powiedział — „masakry niewinnych pielgrzymów irańskich w świętym mieście Mekka”. Wyraził też słowa solidarności z Iranem w obliczu prowokacji, jaką stanowi pobyt amerykańskich okrętów w Zatoce Perskiej i na Morzu Omańskim. *Prawda* mu w tym dzielnie sekundowała i skierowała do USA bardzo poważne ostrzeżenie przed międzynarodowymi konsekwencjami eksplozji, do jakiej by doszło, „gdyby w tej okolicy wybuchnął choć jeden pocisk amerykański”. Woroncowa skorzystał z okazji, aby przekazać osobiste gorące pozdrowienia Gorbaczowa dla Chomeiniego, co było lekkim zaskoczeniem, albowiem nie było wiadomo, iżby obaj panowie się przyjaźnili.

Ważniejsze jednak od sentymentów były interesy. Okazało się, iż oba tak różne państwa mają niemało wspólnych zainteresowań.

Wyrazem tego było podpisanie przez Woroncowa wstępnego porozumienia do umowy, eufemistycznie zwanej gospodarczą. Moskwa była bardzo dyskretna, rzecznicy Kremla odpowiadali na pytania zachodnich dziennikarzy wyłącznie w trybie warunkowym, bardzo wstydliwie i wymijająco, tak jakby chodziło o AIDS, a nie o politykę międzynarodową. Na szczęście strona, żeby tak powiedzieć, irańska na subtelnościach się nie zna i nie miała zahamowań. Według informacji pochodzących i ze źródeł oficjalnych w Teheranie i — a nawet przede wszystkim — z agencji półoficjalnej, ale gadatliwej, *South-North News Service*, porozumienie podpisane przez Woroncowa przewiduje:

- a) wybudowanie linii kolejowej z Iranu do jednej z republik azjatyckich ZSSR, prawdopodobnie do Turkiestanu,
- b) otwarcie unieruchomionego od kilku lat gazociągu z Iranu do ZSSR — IGATT I — i przekształcenie go w naftociąg łączący złoża irańskie w Agha Jari z Morzem Czarnym (tranzylem przez Baku nad Morzem Kaspijskim) o pojemności transportu około 700.000 baryłek dziennie, tzn. około 40 % eksportu ropy irańskiej,
- c) wybudowanie nowego naftociągu z Iranu do jednego z portów Morza Czarnego,
- d) zawarcie między Iranem i ZSSR układu o przyjaźni i współpracy gospodarczej i wojskowej, coś na kształt układów Kremla np. z Syrią czy... Irakiem.

Do tej informacji trzeba podejść z całą ostrożnością, ale według wspomnianej agencji ZSSR już korzysta z informacji stacji obserwacyjnej i nasłuchowej, zainstalowanej nad Zatoką Perską przy pomocy ekspertów sowieckich.

Cztery punkty, a ile przyjemności? I jakie perspektywy?

Umowy gospodarcze i wojskowe, to nic nowego także w stosunkach między Iranem a ZSSR. Znamienne gesty odnotowaliśmy już także we wspólnej przeszłości tych dwóch rewolucyjnych krajów. Związek Sowiecki już przedtem ofiarował np. wolny przelot nad ZSSR (i Bułgarią — ale to nieważne) dla samolotów irańskich linii lotniczych na wypadek, gdyby zachodnie szatany zablokowały korytarze nad Europą; Moskwa także, gdyż sama wolała pozostać w cieniu, nakłoniła niektórych swych sojuszników do sprzedaży Iranowi broni sowieckiej, na co Libia, Syria, Korea Północna, Czechosłowacja oraz Polska z przyjemnością dały się namówić, jako że nie można pozostawić rewolucji islamskiej samej w biedzie, co znaczy w wojnie z Irakiem, któremu taką samą broń te same państwa oraz ZSSR już zupełnie otwarcie także sprzedawały.

Warto jednak przyjrzeć się uważnie temu, co Woroncowa podpisał. Można wtedy stwierdzić, że w stosunkach ZSSR - Iran skończyła się faza gestów, a zaczęły schody — to znaczy sprawy bardzo poważne. Tak poważne, że jeżeli dojdzie do całkowitej realizacji wymienionych projektów (co naturalnie nie jest pewne), zmieni to — nie waham się powiedzieć — stosunek sił w świecie, no i nasze własne położenie, co mnie osobiście bardzo blisko obchodzi.

Równiejszy szatan

Jaki w tej spółce przeciw naturze jest interes Iranu? Duży i ważny. Podsumujmy w skrócie.

Po pierwsze, cóż to za przyjemność dla szyickich rozrabiaczy móc przeciwstawić sobie oba supermocarstwa. Ajatole robią wrażenie szalonych, ale w istocie to świetni dyplomaci i kupcy. Chomeini przywiózł z wygnania trzy wielkie namiętności: nienawiść do szacha, do prezydenta Iraku Saddama Husseina i do USA. Pierwszego załatwił, drugiego stara się załatwić i pozostał amerykański szatan. Chomeini rozumie, że choć wszystkie szatany są równe, to niektóre są równiejsze. Lepiej więc mieć jednego szatana po swojej stronie, nawet prowizorycznie, na wypadek gdyby doszło rzeczywiście do internationalizacji konfliktu.

Ale, po drugie, jeżeli dojdzie do uruchomienia jednego albo jeszcze lepiej dwóch rurociągów poprzez terytorium sowieckie, to ajatola nareszcie będzie mógł spać spokojnie: widmo blokady cieśniny Ormuz przestanie krążyć nad Iranem. Iran nie ma żadnych lądowych ujść dla swojej ropy i cały jej eksport, jedyne źródło dewiz niezbędnych na zakup broni, idzie przez terminale morskie, usytuowane nad Zatoką Perską. Wystarczy zablokować cieśninę Ormuz i Iran udusi się własną ropą. Stąd, wbrew powszechnemu mniemaniu, Iran — choć rozsypał miny — nie ma żadnego interesu w utrudnianiu żeglugi w cieśninie czy zatoce. Jeżeli ajatole atakują — jak to określają — „cele morskie”, to tylko w odpowiedzi na ataki Iraku, który dokładnie zna słabe punkty Iranu i bombarduje właśnie terminale naftowe. Otóż rurociąg przez ZSSR nie tylko uniezależniłby Iran od szantażu blokady, ale dałby mu nawet możliwość zwiększenia eksportu własnej ropy do wysokości eksportu ropy z Iraku, który właśnie dzięki rozbudowie lądowej sieci rozprowadzania ropy, m.in. poprzez Arabię Saudyjską, doszedł do bardzo wysokich wyników handlowych.

Stawka większa niż ideologia

No, a jaki jest interes ZSSR? Też duży i też ważny. Ale inaczej. Moskwa gra o wielką stawkę. Oczywiście, tak jak USA, ZSSR chce swobody żeglugi, chce uniknąć eksplozji tak blisko jej granic, chce uniknąć (to złe miejsce, zły moment i zły powód) starcia oko w oko z USA. Z drugiej jednak strony Moskwa widzi po raz pierwszy szanse wejścia na teren Środkowego Wschodu, gdzie była nieobecna najpierw z powodu imperialistów brytyjskich, a potem — amerykańskich. Stąd, kiedy irańskie pociski i miny ugodziły kolejno dwa statki sowieckie, konteiner i tankowiec, Moskwa — odmiennie od USA — zachowała umiar i spokój, nadstawiła drugi policzek, bardzo dyskretnie wysłała maleńką flotę, aby nie uchodzić za prowokatora. Najwyższy Sowiet nie zebrał się, aby przesłuchać personel Kremla, prasa mimo *glasnosti*

nie obrzuciła ajatolów obelgami, a tylko kiwała głową ze zrozumieniem. Nowa myśl polityczna Gorbaczowa triumfowała. Nadchodziła godzina rewanżu. Rozumowanie Moskwy było proste, ale poprawne.

Po pierwsze, byłoby dziwne gdyby Kreml nie starał się wykorzystać bałaganu w Waszyngtonie, zamieszania wywołanego kompromitującą aferą *Irangate*, konfliktem Reagana z Kongresem, gaf wojskowych USA np. czterotygodniowej zwłoki w wywieszeniu amerykańskiej flagi na kuwejckich tankowcach czy — historia po prostu komiczna — nagłego odkrycia przez połączone sztaby sił zbrojnych USA tajnej broni Iranu tzn. min morskich, mimo że wybuchały już chyba w XIX wieku, jeżeli nie wcześniej. To samo dotyczy bardzo wesołej, gdyby nie tak smutnej, kolejnej fazy rozlatywania się sojuszu zachodniego: najpierw wszystkie kraje paktu atlantyckiego kolejno odmówiły udziału w armadzie, po czym zaczęły — spokojnie, bez paniki — wysyłać swe poławiacze min w sześciotygodniową podróż do Zatoki Perskiej, ale z zastrzeżeniem, że chodzi tu o akcję indywidualną, a nie o skoordynowaną akcję sojuszników. Cała operacja przypominała raczej wyprawę poławiaczy pereł niż poławiaczy min i to mimo, iż właśnie Japonia i kraje Europy zachodniej są odbiorcami miejscowej ropy, a Amerykanie nie mają właściwie poważniejszych interesów handlowych zaangażowanych w tym rejonie.

Dlaczego — pytają nie bez racji w Moskwie — nie skorzystać z okazji i nie zasiał nowych zwątpień w łonie sojuszu atlantyckiego? Poważne głosy, m.in. Zbigniew Brzeziński w wywiadzie z brukselskim *Le Soir*, postulowały wycofanie części wojsk amerykańskich z Europy i przeniesienie ich tam, gdzie interes USA tego wymaga, m.in. do Zatoki Perskiej. Choć Brzeziński trafnie przewidział rozwój wypadków, ZSSR nie przeciwstawił się tej koncepcji: w Moskwie wiedzą, że jeżeli wojska amerykańskie wyjdą z Europy, to wcale jeszcze nie znaczy, że dotrą do Zatoki Perskiej.

Po drugie, jak się okazuje, zanim jeszcze doszło do zaręczyn Woroncowa i ajatoli, ZSSR — pośrednio lub bezpośrednio — już sprzedawał Iranowi poważne ilości broni. Moskwa wie, że dostawy broni przynoszą duży dochód, także polityczny. Otóż oczywiście Moskwa ma zamiar takie korzyści jak najszerzej zbierać, tym bardziej że Teheran płaci gotówką. A poza tym okazało się, że wśród dostawców broni dla Iranu figurują także Chiny, które zaopatrzyły ajatolów w rakiety ziemia-morze *Silkworm*, rozmieszczone wzdłuż cieśniny i nakierowane na „obiekty pływające”. Jest to dla ZSSR nieprzyjemna informacja. Moskwa naturalnie nie chciałaby pozostawić Chińczyków samych z ich zyskami politycznymi nad cieśniną Ormuz.

Po trzecie, tanim kosztem kilku deklaracji sentymentalnych i garści rakiet ziemia-powietrze ZSSR uzyska (dzięki m.in. linii kolejowej) dostęp do „ciepłych mórz”, co było marzeniem wszystkich carów. Niektórzy fachowcy twierdzą np., że agresja w Afga-

nistanie była m.in. podyktowana zamiarem Moskwy utworzenia sobie za wszelką cenę dostępu poprzez terytorium pakistańskie do portów nad Oceanem Indyjskim. Proszę spojrzeć na mapę. Strategia Moskwy oparta była o imperatyw posiadania granicy z Beludżystanem, prowincją Pakistanu, której ludność znana jest z arsenału broni w każdym domu, z braku sympatii dla władz centralnych i z aspiracji autonomicznych. Jest to mieszanek wybuchowa w przenośni i dosłownie. Otóż po 700 latach teraz jest to rzecz dokonana: Rosjanie tu już dotarli. Z baz sowieckich zainstalowanych na granicy Afganistanu i Beludżystanu jest wszystkiego 560 kilometrów, to znaczy, nie spiesząc się, 30 minut lotu odrzutowcem wojskowym do wód arabskich.

Ewentualność mocnego i trwałego usadowienia się w Iranie zerwała tamy fantazji w Moskwie, gdzie zaczęto śnić o kontroli 60 % światowych zasobów nafty, w tym ponad połowy zaopatrzenia Japonii i RFN. Ale po co marzyć — fakty wystarczą: już dziś, choć Moskwa ciągle daleko, szantaż sowiecki skłonił emiraty arabskie, Kuwejt i Arabię Saudyjską do odrzucenia nieśmiałych propozycji amerykańskich zainstalowania wzdłuż brzegów Zatoki Perskiej małych baz logistycznych dla „sił szybkiej interwencji” USA. Można sobie wyobrazić, jak będzie działać szantaż sowiecki, kiedy „technicy” z KGB i armii czerwonej zaczną budować kolej żelazną poprzez Iran i dotrą do wybrzeży Iranu nad „ciepłą” zatoką irańską.

Według moich informacji, zaczerpniętych z najlepszych źródeł, stratedzy sowieccy upodobałi sobie dwa mało znane maleńkie porty irańskie o nazwie Szachbahar i Gawater. Kremlowi nie chodzi naturalnie o założenie tam Klubu *Méditerranée*, ale bazy floty wojennej. Dlaczego akurat tutaj? Ano bo — jak się dowiedziałem z lektury właściwych tekstów — oba te maleńkie porty mają to do siebie, że o niewiele ponad 100 metrów od brzegu dno morskie nagle obniża się do 180 metrów głębokości. Inaczej mówiąc, wystarczy wybudować 100-metrowe moło (dla techników to głupstwo), aby móc zakotwiczyć największe nawet okręty wojenne i zapewnić im niezbędny serwis reperacyjny i zaopatrzeniowy, czyli utworzyć małym stosunkowo wysiłkiem wielką bazę floty z czerwoną flagą. Kontrolujmy emocje, inaczej ktoś mógłby wyobrazić sobie, jak bardzo ulepszyłoby to położenie strategiczne ZSSR, który dysponuje już bazami w Wietnamie, Adenie, Etiopii, nie mówiąc o Władywostoku czy Sachalinie...

Po czwarte, możliwości szantażu bardzo poważnie wzrosną. Wyobraźmy sobie, że rurociągi są już w akcji i że płynnie nimi irańska ropa. Ale przecież kurek od rurociągu będzie zainstalowany gdzieś na terenie ZSSR. Co za możliwości manipulacji na wypadek np. gdyby Iran zechciał eksportować do ZSSR nie tylko ropę, ale także rewolucję szyicką?! Dlaczego w stosunku do szyitów w Iranie ZSSR miałaby się zachować bardziej subtelnie niż wobec szyitów na służbie Iranu, ale działających w Bejrucie? Jak pamiętamy, kiedy w 1985 roku szyici w Bejrucie porwali dy-

plomatów sowieckich i jednego zamordowali, ambasada ZSSR zorganizowała „kontr-uderzenie”, kazała swoim ludziom porwać czterech szczytów — agentów Teheranu: jednego zamordowano, po uprzednim wykastrowaniu, a resztki posłano rodzinie. Efekt był natychmiastowy: trzech Sowietów całych i żywych powróciło do ambasady. W Iranie będzie podobnie — Sowietci nie znają się na dobrych manierach, decyduje skuteczność.

Po piąte, w toku tej samej operacji Moskwa zapewni sobie możliwie najlepsze, w każdym razie lepsze od Amerykanów, pozycje wyjściowe do epoki post-Chomeini. Nawet on musi przecież przejść na łono Allaha i zasiąść obok Mahometa. Niezależnie od wstydlivej afery *Irangate*, Reagan na pierwszy rzut oka trafnie postępował, starając się o kontakt z frakcjami w Teheranie, które zaczęły niechybnie się rozdzielać po śmierci Chomeiniego. Ale Reagan zachował się jak amator. Posłał do Teheranu McFarlana i pułkownika Northa — też amatorów, na fałszywych paszportach, z biblią i tortem w darze dla Chomeiniego. Mówiąc w skrócie — stał się łupem ajatolów, którzy w ten sposób dostali w łapy już drugiego prezydenta USA. Rosjanie posłali oficjalnie ministrów i prawdziwych fachowców, a przed oczyma olśnionych ajatolów migotali nie biblią, a rurociągiem i pociągami. Naturalnie nie wiadomo, co przyszłość przyniesie. Po Stalinie frakcje w Moskwie też się mordowały, a przecież cele polityki sowieckiej się od tego nie zmieniły. Już dziś jednak widać, że w Iranie Rosjanie będą bliżej centrum wydarzeń niż Amerykanie. I szybciej będą mogli reagować.

Po szóste, Moskwa zakłada — i słusznie — że im większe będą wpływy sowieckie, tym mniejsze będą wpływy amerykańskie. Dlatego Moskwa wszelkimi środkami kontruje politykę USA polegającą, według Moskwy, na posługiwaniu się napięciem w Zatoce Perskiej jako pretekstem uzasadniającym wzmocnienie obecności wojskowej USA w tym rejonie. Dla ZSSR nie jest to wyłącznie gra dyplomatyczna. Moskwa stara się uniknąć nożyc, w które byłyby zamknięta między z jednej strony powstańcami w Afganistanie, zbrojonymi przez Amerykanów, a z drugiej strony tymi samymi Amerykanami w Zatoce Perskiej, uzbrojonymi po zęby. Proszę spojrzeć na mapę, a wszystko będzie jasne. Moskwa nie chce dopuścić do powstania w zatoce czegoś w rodzaju drugiego frontu. Chyba, że dla USA...

Po siódme, kraje Zatoki Perskiej posiadają 57 % światowych rezerw nafty, co zapewnia im 70 (słownie — siedemdziesiąt) lat możliwości wydobywczych. Otóż średnia światowa zapasów ropy nie przekracza lat 33, a ZSSR ma przed sobą jedynie 13 lat produkcji. Oczywiście można sobie wyobrazić nowe odkrycia, uruchomienie ogromnych skarbów Syberii, ale geologowie są bardzo sceptyczni, no i już wiadomo, że w każdym razie zakłada to zastosowanie technologii, jakiej Rosjanie jeszcze nie opanowali. Wynika z tego, że świat — a więc i Rosjanie — będą w coraz

większym stopniu apelować i korzystać z rezerw Zatoki Perskiej: zapotrzebowanie na tę ropy wzrośnie do 1990 roku o jedną trzecią, a potem — do roku 2000 — o następne 75 %. Otóż Moskwa wyraźnie uznaje — i ja się z nią zgadzam — iż warto uczynić niewielkie koncesje ideologiczne, zapomnieć (nie pierwszy raz) o wymordowaniu komunistów irańskich, jeżeli taka ma być cena, za którą Rosja uzyska wygodne miejsce przy naftowym stole ostatniego dziesięciolecia XX wieku.

Jeżeli chodzi o ZSSR, to nie trzeba nawet wspominać o zapatrzeniu przemysłu czy wojska. Wystarczy wspomnieć o wyroku motoryzacyjnym: Moskwa nie może uniknąć tego etapu. Otóż warto wiedzieć, co to znaczy. W 1985 roku poruszało się po ZSSR 11.700.000 pojazdów mechanicznych, a ich produkcja nie przekraczała 1.300.000. W USA natomiast w tym samym roku były zarejestrowane 132 miliony pojazdów, a produkowano ponad 8 milionów rocznie. Jest to dystans na pewno ogromny, nie do wytrzymania dla superpotęgi, a jego nadrobienie będzie wymagało sporych nakładów finansowych i bardzo dużo benzyny.

Po ósme — ostatnie i chyba najważniejsze — w wyniku nie-spójnej polityki USA i faktycznej dymisji państw Europy zachodniej, Związek Sowiecki jest dziś jedynym mocarstwem posiadającym mniej lub bardziej normalne stosunki z obu wojującymi stronami. Oznacza to wiele rzeczy i nasuwa liczne refleksje. Najważniejsza to ta, iż dzięki sprytnej i dalekowzrocznej dyplomacji ZSSR zdobyć może faktyczny monopol na pośredniczenie w procesie zawieszenia broni czy negocjowania pokoju czy też choćby utrzymywania tajnych kontaktów między mordującymi się wzajemnie synami Mahometa. Moskwa stała się w ten sposób niezbędnym czynnikiem każdego procesu politycznego na Środkowym Wschodzie.

Gorbaczow nie miałby nic przeciwko zorganizowaniu konferencji pokojowej i podpisaniu pokoju między Iranem a Irakiem w Moskwie. Oczywiście ktoś mógłby zaoponować przeciwko takiej perspektywie. Pokój na Środkowym Wschodzie to przecież sprawa ONZ-tu, to Rada Bezpieczeństwa przy udziale ZSSR wezwiała do rozejmu. Tak — może na to odpowiedzieć Gorbaczow, który jak wszyscy jego poprzednicy lubi porównywać się z prezydentami USA — to prawda, z dwoma jednakże zastrzeżeniami. Po pierwsze, pokój co prawda nie na Środkowym, a na Bliskim Wschodzie też był sprawą ONZ-tu, a przecież został podpisany w Camp David pod Waszyngtonem, pod patronatem prezydenta Cartera. Po drugie, prezydent Reagan głosił, że Nikaragua to sprawa najbliższego zaplecza Stanów Zjednoczonych. Iran — powiada Gorbaczow — to sprawa najbliższego zaplecza ZSSR: 1.000 km wspólnej granicy, wspólne interesy gazowo-naftowe.

Churchill określił kiedyś ZSSR jako „giganta o zatkanych nozdrzach”, mając na myśli *handicap*, jaki stanowi dla tego ogromnego kraju-kontynentu brak dostępu do ciepłych mórz. „Przy pomocy siły wojskowej — powiedział Raymond Aron — nie można

osiągnąć wszystkiego, ale bez siły wojskowej nie można osiągnąć niczego". Dzięki swej sile wojskowej i swej dyplomacji, teraz lub w najbliższej przyszłości, nozdrza sowieckie będą mogły szeroko i spokojnie oddychać.

My natomiast — znacznie mniej szeroko i znacznie mniej spokojnie.

Leopold UNGER

Pisane 30 sierpnia 1987 roku

Na marginesie Ankiety "Kultury"

R.C.M.: dnia 26 lipca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czym wytłumaczyć, że sowietologowie traktują Kreml, jakby leżał na księżycu? Z dwunastu kremlinologów *Kultury* tylko dwóch robi aluzję do związków imperium ze światem zewnętrznym, przy czym jednak Niemcy zdają się w ogóle nie istnieć, a Ameryka z reguły ukryta jest pod mitologicznym „Zachodem”. Pomija się nie tylko historię Rosji jako supermocarstwa, ale wstydliwie ukrywa centralny temat, wokół którego obracają się te wszystkie refleksje, mianowicie czy Rosja musi pozostać imperium „niewoli”, jak to przewidywał Tocqueville, czy też możliwa jest jej „konwergencja” z Zachodem, imperium „wolności”?

Dlaczego nikt nie przypomina dyskusji amerykańskich z lat 1943-1947, gdy ta sprawa została rozstrzygnięta „prowizorycznie”, ani późniejszych prób porzucenia tego rzekomego prowizorium? Ostatecznie, rosyjskie supermocarstwo jest tworem polityki amerykańskiej która a) mogła zapobiec jego powstaniu, ale b) zrobiła wszystko, by je utrzymać. Dlaczego traktować Amerykę, jakby i ona leżała na księżycu?

Czyż trzeba przypominać rolę Niemiec w decyzji odroczenia doktryny Tocqueville'a, jaka zapadła w Teheranie w roku 1943, tj. decyzji oddzielenia Prus od Rzeszy i wywołania w ten sposób niewygodnej zimnej wojny, która jedyna mogła utrzymać podział Niemiec? Niewygodę wyrównała wprawdzie niespodziewana korzyść: dzięki zimnej wojnie supermocarstwa mogły podzielić między siebie prawie wszystko, czego nie podzieliła wojna. W ten sposób stała się ona etapem na drodze do... świata tocqueville'owskiego!

Rok 1980 był nie tylko rokiem „polskiego Sierpnia”, ale także momentem, gdy doktryna „finlandyzacji” Europy zachodniej zo-

stała sformułowana bez ogródek, a gazociąg syberyjski wysunięty jako jej symbol. W kremlinologii polskiej, jak ją prezentuje *Kultura*, ten aspekt skurczył się do dwóch aluzji. Jan Zielenka pisze: „Można przypuszczać, że poszczególne kraje Europy i Japonia rozwiną bezwarunkową współpracę gospodarczą z obozem wschodnim. Natomiast Waszyngton obstawiać będzie za polityką restrykcji w stosunkach handlowych z członkami RWPG. Tym samym Moskwa bez żadnych warunków dostanie kolejne kredyty i nowoczesną technologię z Japonii, Niemiec czy Włoch, a na Zachodzie pogłębi się rozłam pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi”. Jest to wcale wyraźna aluzja do finlandyzacji! Natomiast „Zet” zapytuje — w związku z niedoszłą interwencją sowiecką po Sierpniu — „Na ile miała być zachowana samodzielność państwa polskiego?... Czy byłaby zachowana administracja czysto polska?...” i czyni w ten sposób aluzję do znanej czytelnikom *Kultury* doktryny Sonnenfeldta, z której — jak zobaczymy — teoretyk finlandyzacji robi niezbędny element tej ostatniej.

Wkrótce po Sierpniu, bo w jesiennym numerze *Foreign Policy*, ukazuje się studium prof. Immanuela Wallersteina pt. „Friends as Hoes” (Przyjaciele jako wrogowie). Zacytujmy:

„Sojusze, które powstały po drugiej wojnie światowej rozpadają się. Konflikt chińsko-sowiecki niekoniecznie jest korzystny dla Stanów Zjednoczonych jako mocarstwa światowego: unie możliwia on konsolidację stabilności przy pomocy porozumienia politycznego (*a political deal*) z Sowietami, a gdy Stany Zjednoczone pogodziły się z Chinami, Europa zachodnia i Japonia nie mogły po prostu utrzymać swego starego sojuszu z Ameryką, ale były zmuszone to *reconsider all the options*... Wywołane przez konflikt ruchy wyzwolenie w Trzecim Świecie oderwały go od światowego systemu sojuszy... Rozprzężenie systemu światowego nie może być opanowane przez Stany Zjednoczone albo Rosję Sowiecką”. Tyle opis, a teraz środki zaradcze:

„Największym rynkiem lat 80-tych, a jeszcze bardziej 90-tych, będą kraje socjalistyczne. Spór chińsko-sowiecki toczy się o to, kto będzie beneficjentem, kto się zmodernizuje!... (Natomiast) najtrudniejszym problemem polityki amerykańskiej w nadchodzącym dziesięcioleciu będą sprawy wewnątrz-zachodnie (*West-West issues*) wyrastające z zagrożenia gospodarczego i politycznego Ameryki przez najpoważniejszych rywali Stanów Zjednoczonych — zachodnią Europę i Japonię. W istocie wysiłek przymuszenia sojuszników Ameryki (*to constrain US allies*) zapowiada się jako główna troska amerykańskiej polityki zagranicznej (*the priority concern of US foreign policy*). Wreszcie — finlandyzacja:

„Głównym problemem lat 80-tych będzie kwestia, kto ma eksportować bezrobocie do kogo?... Europa zachodnia i ZSSR mają sobie wiele do zaoferowania... Jeżeli tych dwoje będzie zmierzało do *a de facto structure of cooperation* (nieformalnego układu współpracy), która nie przesądzałaby sprawy sojuszu wojskowych, Sowiety mogłyby uzyskać *the capital equipment* potrzebny do poprawy ich „długoterminowej” pozycji w gospo-

darce światowej... Zapewniłoby to też Sowietom bezpieczeństwo od strony groźnej rzekomo „struktury kooperacji” amerykańsko-chińskiej... (Wreszcie coś dla nas!) Porozumienie Sowietów z Europą zachodnią... mogłoby również udaremnić rewoltę Europy wschodniej przeciw ZSSR”.

[Porozumienie to] „może jednak być pociągające także dla Europy zachodniej. Przemysł zachodnioeuropejski znalazłby rynek zbytu, surowce rosyjskie stałyby się dostępne — co najmniej przez krytyczny okres 20-tu do 30-tu lat — a Rosja sociecka i kraje Europy wschodniej mogłyby służyć jako geograficznie wygodny i politycznie przymusowy (*geographically convenient and politically constrained*) rezerwuuar względnie taniej siły roboczej... Ta współpraca umożliwiłaby 'reintegrację' (tj. ponowne zjednoczenie) Europy, a w każdym razie zbliżenie obojga Niemiec... Zapewniłaby ponadto Europie zachodniej trwałość pokoju socjalnego, a wreszcie zahamowałaby częściowo ideologiczną ekspansję Sowietów”.

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?, jak mówią Wiedeńczycy. W dalszym ciągu Wallerstein rozpatruje złowrogię dla Trzeciego Świata, ale korzystne dla kondominium, skutki finlandyzacji Europy zachodniej, a także jej konsekwencje dla światowego kapitalizmu, co przysporzy Ameryce *the biggest traumas*, zwłaszcza w związku z nieuniknioną redystrybucją bogactw. Jak widzimy, wszystko jest przewidziane: reforma kondominium, ale także jej koszt.

To raz, a po wtóre: o przyszłości Polski myślą nie tylko Rosjanie, myślą o niej też Amerykanie, i to w tym samym kontekście! Publicystyka przywykła nazywać ten kontekst „geopolityką”.

Łączę wyrazy poważania

Jan ULATOWSKI

Sprawy i troski

Polacy we Włoszech

Prasa włoska, a z nią cała opinia społeczeństwa włoskiego, jest zaniepokojona stale powiększającą się liczbą uchodźców z Polski. Liczba Polaków szukających we Włoszech azylu powiększa się z każdym dniem. Używając określenia „azyl polityczny”, zdajemy sobie sprawę z tego, że jest to tylko określenie problemu, a nie stanu faktycznego. Polacy uchodzący z Kraju często nie zdają sobie sprawy z tego, czym jest azyl polityczny, mają obawy, że jeżeli będą prosić o azyl — w przyszłości poniosą konsekwencje tego kroku, gdy wrócą do Polski. Nie przesadzimy bowiem jeżeli określimy procent uchodźczych z Kraju z powodów czysto politycznych na zaledwie kilka. Większość stanowią ludzie pragnący jeżeli nie dorobić się, to zarobić na Zachodzie i w bliższej lub dalszej przyszłości wrócić do Polski. Rozczarowanie będzie im towarzyszyło i w momencie oczekiwania na wyjazd do kraju stałego osiedlenia, i w czasie ich tam pobytu. Normalny emigrant z Kraju nie zdaje sobie niemal całkowicie sprawy z tego, że początki zawsze i wszędzie są trudne, i że tak będzie po ich decyzji. Wiele już na ten temat pisano w wydawnictwach książkowych i periodycznych, nie jest to więc rzecz nowa.

Nową natomiast rzeczą jest gwałtowne zwiększanie się liczby nie wracających do Kraju. We Włoszech — bo praktycznie w Europie tylko Włochy przyjmują uchodźców, pomimo swojej trudnej sytuacji ekonomicznej — widać to bardzo wyraźnie. I tak według oficjalnych danych włoskich na koniec sierpnia bież. roku liczba uchodźców wynosiła: Albańczyków — 89, Bułgarów — 52, Czechów — 198, Jugosłowian — 16, Rumunów — 337, Węgrów — 169, Polaków — 6.441, uchodźców innych narodowości było około 100.

Liczba Polaków z każdym dniem wzrasta. Pozornie zadziwiająca jest łatwość, z jaką władze PRL wydają obecnie paszporty uprawniające do wyjazdu za granicę. Wydaje się, że nagłe odkręcenie śruby wyjazdowej jest celowe, ale to już inny problem.

Znaczna część uchodźców przybywa do Włoch w przekonaniu, że znajdują się pod skuteczną opieką Kościoła. Papież z jednej strony upomina przyjeżdżających tu turystów i pielgrzymów, aby wracali do Kraju, a z drugiej zaś stwierdza, że odsyłanie uchodźców do krajów ich pochodzenia byłoby niehumanitarne. Ale takie czy inne stanowisko tych czy innych czynników na Zachodzie nie wstrzymuje dalszej fali uchodźców. Bywają okresy, że z niektórych grup pielgrzymich czy turystycznych pozostaje około 100 osób dziennie. Bywa, że do Kraju wraca z wycieczki czy pielgrzymki (częściej z tej pierwszej) tylko kierowca i oficjalny kierownik grupy, a wszyscy inni pozostają we Włoszech. Ośrodki grupowania uchodźców — Latina i Capua — już nie wystarczają, włoski Czerwony Krzyż oddał do dyspozycji polskich uchodźców szereg swoich ośrodków wakacyjnych. Bardzo często budzi to u Włochów duże niezadowolenie, tym bardziej, że zachowanie Polaków nie zawsze jest właściwe. Na szczęście góruje nad tym wszystkim włoska decyzja udzielania gościny absolutnie wszystkim, którzy o nią poproszą.

Sytuacja nie tylko Polaków ale i Włochów jest bardzo trudna, tym bardziej, że uchodźcy absolutnie nie mogą pozostać we Włoszech na stałe, a emigracja do dziś przyjmujących krajów osiedlenia jest bardzo ograniczona. Można tu brać pod uwagę Stany Zjednoczone, Kanadę i Australię, bo tylko te kraje przyjmują imigrantów, zresztą w bardzo ograniczonych ilościach. Okres oczekiwania na wyjazd do wybranego na stałe kraju jest bardzo różny, i nie wiadomo czy ulegnie zmianie na lepsze.

Witold ZAHORSKI

OD REDAKCJI

Nota Witolda Zahorskiego — który z tytułu swej pracy w Rzymie zna wyjątkowo dobrze całą sprawę — wymaga paru uzupełnień. Sytuacja jest niewątpliwie trudna, masowe uchodźstwo z Polski (w znakomitej większości przypadków nie z powodów politycznych) może budzić niepokój, ale jest faktem i tak trzeba się do niego odnosić. Nie wolno odmawiać nikomu prawa do poszukiwania poprawy swego bytu poza granicami własnego kraju, wolno natomiast — a nawet należy — informować chętnych do wyjazdu o tym, jakie oczekują ich trudności i przeszkody (dużą rolę miałyby tu do spełnienia polskie radiostacje na Zachodzie). Toteż wypowiedź biskupa Szczepana Wesołego na konferencji prasowej w Rzymie wzbudziła zrozumiałe zdziwienie: osobiście zabrzmiiała sugestia biskupa polskiego pod adresem władz włoskich, by ograniczyły wydawanie wiz włoskich w Warszawie; jeszcze osobiście dość sowiecka z ducha propozycja, by kierownicy pielgrzymek zabierali uczestnikom paszporty aż do chwili powrotu do Polski. Kościół zrobiłby lepiej, używając

swoich wpływów dla ułatwienia i przyspieszenia uchodźczej procedury wyjazdowej z Włoch do USA, Kanady i Australii, a przede wszystkim przyczyniając się do opieki nad emigrantami, zamiast zostawiać tę troskę wyłącznie Włochom.

JERZY MILEWSKI W JAPONII

Niedawna wyprawa generała Jaruzelskiego do Japonii skończyła się dla niego podwójnym fiaskiem: nie tylko nie załatwił w Tokio niczego pozytywnego (szczególnie świeżych kredytów japońskich, na które tak bardzo liczył), lecz na dodatek został kompletnie zignorowany przez japońskie związki zawodowe. Żeby odpowiednio wyważyć i zbalansować wizytę Jaruzelskiego, przedstawiciele pięciu głównych federacji związkowych Japonii — Sohyo, Domei, Churitsu Roren, Shinsanbetsu i Zenmin Rokyo — zaprosili w tym samym czasie do Japonii kierownika Biura „Solidarności” za granicą Jerzego Milewskiego, organizując dla niego szereg spotkań i odczytów na temat „Solidarności” i sytuacji w Polsce. Jeszcze przed przybyciem generała do Tokio, z inicjatywy Ośrodka Badań Polski w Tokio, grupa ok. 50 intelektualistów z szerokiego kręgu życia społeczno-politycznego Japonii — solidarnie z przedstawicielami federacji związkowych — wystosowała do rządu PRL petycję, w której m.in. domagano się:

- Natychmiastowego przywrócenia statusu prawnego i wszystkich praw związkowych dla „Solidarności”;
- Zaprzestania wszelkiego rodzaju politycznych i gospodarczych represji i szykan wobec „Solidarności” oraz innych ugrupowań opozycyjnych w Polsce;
- Powrotu do litery i ducha tzw. „porozumień gdańskich” z sierpnia 1980 roku.

Jedną kopię petycji wręczono również premierowi Nakasone tuż przed jego spotkaniem z Jaruzelskim.

Sekretarz generalny OBP, Mizutani Takeshi, przeprowadził z Milewskim 30 czerwca wywiad na temat aktualnych problemów „Solidarności” w Polsce, którego tekst ukazał się w sierpniowo-wrzesniowym numerze wydawanego przez Ośrodek miesięcznika *Porando Geppo*.

W pierwszej części wywiadu Milewski odpowiadał na pytania dotyczące sytuacji, międzynarodowego wsparcia i pomocy finansowej dla „Solidarności” za granicą. Zwrócił przede wszystkim uwagę na fakt, iż „Solidarność” związana jest głównie z międzynarodowym ruchem związkowym. Przywódcy partii politycznych i rządów na Zachodzie się zmieniają, a z nimi polityka wobec „Solidarności”. Jednakowoż wsparcie ze strony związków zawodowych jest rzeczą trwałą, bez względu na takie czy inne koniunkturalne oscylacje międzynarodowego położenia „Solidarności”. Dotyczy to również pomocy finansowej, która w obliczeniu długofalowym jest dla „Solidarności” sprawą nader ważną. Od czasu powstania Biura „Solidarności” za granicą w Brukseli w roku 1982, planowane założenia corocznej pomocy wahają się w granicach 1 miliona dolarów, z czego jednak tylko połowa zostaje w rzeczywistości zrealizowana. Spodziewaną pomoc na rok 1988 oblicza Milewski na około 1 milion 300 tysięcy dolarów: 1 milion z USA, 200 tysięcy z Europy Zachodniej, a 100 tysięcy z Japonii. Jeśli chodzi o Japonię, Milewski podkreślił głównie polityczne znaczenie tej pomocy dla świadomości „Solidarności” i ludzi pracy w Polsce.

Janusz MONDRY

Kraj

Uwagi o niezależnym obiegu wydawniczym

Od dłuższego czasu zarówno wydawcy jak czytelnicy obserwują spiętrzenie się niekorzystnych zjawisk w dotychczasowym obiegu niezależnym. Oczywiście czynniki zewnętrzne kształtujące go na co dzień, jak zaopatrzenie w sprzęt i papier, działalność policji, zamożność i zainteresowania czytelników itp. nie wyjaśniają coraz mniejszej dostępności dobrej i dobrze wydanej książki przy zalewie publikacji marnych i niechlujnie wydanych, zaniku pism i niestrawności ich treści. Nie sposób normalnymi ograniczeniami wyjaśnić spadku opłacalności działalności wydawniczej, narastania marnotrawstwa i szerzenia się działań pozornych.

Ilość chaotycznych i niedojrzałych przedsięwzięć wydawniczych rośnie, a renomowane wydawnictwa popadają w marazm. Rynek wydawnictw istnieje, ale negatywne sprzężenia zwrotne przeważają nad pozytywnymi: trudności w kolportażu odstręcają od ryzykowania wielkich nakładów i zamrażania dużych sum na coraz dłuższe okresy. Obracanie małymi nakładami podnosi ceny, co odstręcza czytelników, a nieobecność dobrej książki w masowym nakładzie nie sprzyja rozrastaniu się struktur kolportażowych. Z kolei zanik kolportażu... itd. W sumie na rynku ostaje się kiepska i droga książka byle jak kolportowana, a raczej „upychana”. Wszystko inne zanika — przynajmniej dla szeregowego czytelnika. W pierwszym rzędzie znikają grube miesięczniki i kwartalniki o dodatkowych kosztach redakcyjnych. Równie trudno jest wydawcy sprzedać aktualny numer, jak czytelnikowi znaleźć go na skrzynce. Pisma nie są więc ani drukowane ani czytane, a ich redakcje zaczynają żyć życiem równoległym do wydawnictwa i czytelnictwa. Na nowe tytuły praktycznie nie ma miejsca. Ten zanik ze względu na ciągłość tytułów, łatwo jest zauważyć i pokazać na przykładach. Dużo trudniej wysledzić, że nie dochodzi

do wydania dobrych książek; można tylko mieć ogólne wrażenie o pogorszeniu się wydawnictw na rynku i czytelnicy takie wrażenie mają. W atmosferze zniechęcenia różne podmioty obiegu zaczynają mieć pretensje do siebie nawzajem, a myślenie życzeniowe wypiera wgląd w realia.

Autor notatki w *Tygodniku Mazowsze* („SOS dla czasopism”, T.M. nr 189 z 26 listopada 1986) winę za zły stan rzeczy przypisuje złej woli wydawców, którzy drukują tylko takie książki, „o których wiadomo, że rozejdą się za każde pieniądze”, a pozbywają się pism ze względu na koszty redakcyjne, terminowość i niedoceniając zasług pism dla rozwoju ruchu związkowego. Wychodzi więc na to, że ideałem wydawcy powinno być ponoszenie zbędnych kosztów drukowania tego czego nie sposób sprzedać, dodawanie sobie kłopotów i docenianie politycznego znaczenia. (Taki idealny wydawca istnieje i jest nim „Książka i Wiedza”). W następnym numerze *Tygodnika Mazowsze* poligraf odpięta te zarzuty jako nierzetelne i żali się, że do kłopotów poligrafii doszedł jeszcze jeden — zawiedzeni redaktorzy. Nostalgicznie wspomina, że dawniej redaktorzy „nie ograniczali się do pisania, a sami drukowali i kolportowali...”. Nietrudno domysleć się, kogo i o co oskarżają czytelnicy: redaktorów o nudę, wydawców o ceny i jakość, o kolporterów o brak dobrych książek i wciskanie „chłamu”. Niezależni kolporterzy zaś, postawieni między młotem a kowadłem, ograniczają działalność albo już zbankrutowali (patrz rozmowa pt. „Smutne ale prawdziwe”, T.M. nr 203, list do redakcji, T.M. nr 202 z 11 marca 1987).

Trudność rozpatrzenia się w wewnętrznym kryzysie niezależnego obiegu wynika stąd, że nie ma takiego stanowiska, z którego można by obserwować jego całość i wyciągać na tej podstawie niezawodne wnioski. Dowodzenie zaś trafności diagnozy licznymi i wymownymi przykładami ocierać się musi o plotkarstwo i donosicielstwo. Dlatego wypadnie nam tu mówić raczej o naszym sposobie myślenia o niezależnym obiegu i najogólniejszych jego mechanizmach, niż o konkretnych faktach i liczbach.

Model funkcjonowania naszego niezależnego obiegu powstał w pionierskich czasach przedsierniowych i utrwalił się w okresie ekspansji pierwszych lat osiemdziesiątych. Przedsiębiorczość, romantyzm i opłacalność podziemnego obiegu koncentrowały się wtedy wokół drukarni. Odpowiedź na pytanie co drukować nie spędzała nikomu snu z powiek, zaś o zbyt można się było nie martwić. Mimo, że kolportaż — zwłaszcza w stanie wojennym — bywał kłopotliwy i niebezpieczny, wydawnictwa rozchodziły się jakby „same”. Ten model funkcjonowania jest dziś nieaktualny i można się już tylko spierać, czy jest przestarzały czy też na odwrót — niedościgniony. Z czasem baza techniczna niezależnego

obiegu „znormalizowała się” i utrwałała. Jako całość stała się niezniszczalna metodami policyjnymi. Pod względem łatwości drukowania podziemie wydawnicze dalej kwitnie. Natomiast pytanie co drukować (czy też przedrukowywać) stało się palące, zaś pytanie jak to rozkolportować i utrzymać się ze sprzedaży swego produktu stało się problemem numer jeden niezależnych wydawców. Nagle bowiem okazało się, że w odróżnieniu od tekstu, maszyny i zapasu papieru, pełna sieć kolportażu jest tym składnikiem niezależnego obiegu, który nie jest kwestią doraźnej przedsiębiorczości. Nie można w jej posiadanie wejść z dnia na dzień, kupić za żadne pieniądze ani też dostać w prezencie. Jest ona przecież swoistą mini-strukturą społeczną rządzącą się własnymi prawami i funkcjonującą jakby w innej przestrzeni społecznej niż podziemne drukarnie. Uwiad i niedorozwój kolportażu jest, moim zdaniem, centralnym zjawiskiem kryzysu, jaki dotyka dziś niezależny obieg wydawniczy.

Przyjrzyjmy się zatem od nowa mechanizmom niezależnego obiegu i naszym o nich wyobrażeniom.

Niezależny obieg składa się z trzech różnych typów działań — niezależnie od tego na ile są wyróżniane, jak nazywane i instytucjonalizowane. Nazwijmy je tu ogólnie „przedsięwzięciami”:

1. przedsięwzięcia wydawnicze to: pisanie, tłumaczenie, redagowanie, przygotowanie do druku oraz gromadzenie środków finansowych,
2. przedsięwzięcia poligraficzne polegają na organizowaniu, zaopatrywaniu i utrzymaniu w ruchu drukarni i introligatorni jako jednostek produkcyjnych,
3. przedsięwzięcia czytelnicze: kolportowanie na wszystkich jego etapach, poszukiwanie, zamawianie i kupowanie określonych książek i czasopism, pożyczowanie ich do różnych celów.

Każde z tych przedsięwzięć ma specyficzne cele, interesy i uwarunkowania. Każde ma własne finanse. Pomimo nakładania się na siebie i łączenia ról przez ludzi i instytucje można je zawsze od siebie logicznie oddzielić. Swoisty rynek tekstów, kredytów i fundacji, papieru i sprzętu poligraficznego a także kompletnych „mocy przerobowych” istnieje równolegle do rynku gotowych nakładów sprzedawanych i nabywanych hurtowo lub detalicznie. Spontaniczną improwizację zastąpił, jeśli nie profesjonalizm, to przynajmniej zaawansowany podział pracy obejmujący cały kraj, różne środowiska i tysiące ludzi działających najczęściej wycinkowo.

Jak się do tego mają „firmy” czyli podziemne oficyny wydawnicze podpisane na gotowym druku? Na początku trzeba zaznaczyć, że „firmy” nigdy nie były tego obiegu wyłącznymi podmiotami, a jedynie pewną instytucjonalizacją działań możliwych i sensownych na szerszym zapleczu i w szerszym środowisku.

Ostatecznie zaś rola „firmy” sprowadza się co najmniej do istnienia jednej kasy, której wpływy i rozchody wiążą ze sobą różnorodne przedsięwzięcia w jeden mniej lub bardziej spójny ciąg działań. Bowiem już ich rola jako znaku handlowego adresowanego do czytelnika jest iluzoryczna. Nie polega na informowaniu o przedsięwzięciu wydawniczym, a raczej na maskowaniu materialnego kształtu ruchu wydawniczego: kto pisał, kto redagował, skąd wzięł papier, gdzie drukował i jak obracał pieniędzmi. W tym sensie nazwy i znaki „firm” są więc przede wszystkim jawnymi, publicznymi symbolami tych szczególnych działań, które muszą pozostawać tajne z powodów pozawydawniczych. Pomimo tego „firmy” postrzegane są nadal jako wyłączny podmiot niezależnego obiegu, a sam obieg jako pole działania „firm” wydawniczych. „Niezależny obieg” zostaje znaczeniowo sprowadzony do „ruchu wydawniczego”, a nasze myślenie odpowiada czasom romantycznym, kiedy to siła przedsięwzięć poligraficznych była bezpośrednio tożsama z interesem ogólnospołecznym, gdy najważniejsze było takie ich wyposażenie i zorganizowanie, by mogły sprostać społecznemu zamówieniu i szybko pokonywać bariery jakości, wysokości nakładu i poziomu edytorskiego. Środowiskowe otoczenie wydawnictw „ssało” nakłady, pomagało i podziwiało, motywowało do pracy. Cel jakim był rozwój silnego, wydajnego wydawnictwa zgodnie łączył działania rynkowe i nierynkowe, motywacje ideowe i finansowe, kompetencje merytoryczne i zdolności manualne oraz interesy wydawców, drukarzy i czytelników. Symbolem tej tajnej jedności był manifestowany publicznie szyld firmy.

W dzisiejszym „znormalizowanym” obiegu „firma” jako instytucja nic szerszego już nie spaja i nie wyraża sposobu istnienia całego niezależnego obiegu. Często samo jej istnienie jako ośrodka rozliczeń finansowych i jako publicznego szyldu jest tylko ubocznym efektem wewnętrznych mechanizmów drugiego obiegu: „trzeciego” rynku sprzętu i papieru, „czwartego” dna kontaktów i „piątej” warstwy umów i rozliczeń. Jako jedyny jawny i publiczny podmiot „firma” jest o tyle też bytem pozornym w stosunku do tajnego obiegu i realnych interesów, jakie go napędzają.

Aby prześledzić konsekwencje tych cokolwiek anachronicznych i pozornych ram instytucjonalnych niezależnego obiegu, należy przyjrzeć się realnemu znaczeniu „firm” jako ośrodków finansowych obiegu i jako publicznych szyldów podziemnej działalności.

Dotacje do działalności wydawniczej towarzyszyły niezależnemu obiegowi od początku, były oczywiste i niezbędne. Darowizny przedmiotowe zaopatrywały w niedostępny inaczej sprzęt, pomagały pokonywać bariery techniczne, odtwarzały bazę techniczną po wypadkach. Kredyty i dotacje pieniężne inwestowane w lokale, samochody i papier pozwalały ten sprzęt lepiej wykorzystywać. Trudno było spoznać, w której chwili dotacje zaczęły być trakto-

wane jako główne remedium na kłopoty rynkowe i organizacyjne i zaczęły działać antyefektywnościowo. Z punktu widzenia samego przedsięwzięcia wydawniczego i poligraficznego w ogóle nie może być mowy o efektywności, jako że poniesione w tej fazie nakłady można porównywać dopiero z faktycznymi wpływami z rozkolportowanego nakładu. Rola dotacji w obiegu jako całości nie jest więc prosta.

Nie sposób odmówić racji przedstawicielowi Społecznej Rady Wydawnictw Niezależnych, który w wywiadzie dla *Tygodnika Mazowsze* (nr 91 z 10 grudnia 1986) stwierdza, że „nie da się stworzyć enklawy działania praw rynku w kraju, gdzie te prawa w ogóle nie istnieją”, tak samo jak przedstawicielowi Funduszu Niezależnych Wydawnictw, który dodał, że „każde wydawnictwo na świecie jest gotowe dopłacać do pozycji jego zdaniem ważnych dla życia kulturalnego czy społecznego. Nawet Hoover czy wydawnictwa harwardzkie zdobywają na taki cel pieniądze z zewnątrz”. Z drugiej strony jednak, konsekwentna rezygnacja wydawnictw z samofinansowania uruchomiła pewne nowe mechanizmy w skali obiegu jako całości. Szyldy i znaki firmowe tajnych przedsięwzięć drukarskich stają się naturalnie jedynymi odbiorcami dotacji — bo tylko one są publicznymi podmiotami tajnego obiegu. Nie ma jak być dotowany anonimowy czytelnik, sieć kolportażu, konkretna książka, tajna drukarnia czy określona transakcja nabycia papieru, bowiem tylko „firma” jako instytucja jest możliwym do uchwycenia adresatem. Nie chodzi o to, że firma nie włoży tych pieniędzy w drukarnię, papier czy kolportera a kupi wille swoim dyrektorom, co wszak równie dobrze może zrobić z zysku jak z dotacji, lecz o to, że trafność i sensowność przedsięwzięcia wydawniczego i poligraficznego przestaje zależeć od przedsięwzięcia czytelniczego i przestaje się z nim wiązać. Chroniczny uwiąd kolportażu powoduje, że firmy wydawnicze zmieniają orientację z rynku czytelnika na rynek dotacji, na którym jest o co konkurować. Do czytelnika dostęp jest trudny, wpływ pieniędzy z kolportażu — powolny i niepełny. Ponadto czytelnikowi jest w dużej mierze obojętne, pod jakim szyldem ukazała się poszukiwana przezeń książka. Konkurencja znaków firmowych na rynku czytelnika mogłaby przynosić pożytek tak poszczególnym firmom jak i całemu obiegowi dopiero przy szerokiej dostępności różnych pism i książek wydanych przez różne oficyny — z czym jest właśnie bardzo źle i co leży poza horyzontem codziennego działania wydawcy i drukarza. Z punktu widzenia pojedynczej firmy o wiele skuteczniej jest zatroszczyć się o swoje miejsce na rynku dotacji. O powołaniu na tym rynku decyduje sprostanie oczekiwaniom i wyobrażeniom dawców, kierujących się niewątpliwie najlepszą wolą i wiedzą. Ale trudno oczekiwać, by wybiegała ona daleko poza to, co w niezależnym

obiegu jest publicznie jawne: szyldy firm, ich dorobek, jakość okazowych egzemplarzy, zręczność reklamy. Jak w każdym rozdzielnictwie, podmiotowe kryteria biorą górę nad możliwością sprawdzenia przedmiotowych pożytków.

Nasz dzisiejszy „rynek czytelnika” jest w istocie rynkiem dotacji. Tylko tym można wyjaśnić, na przykład, dziwaczny zwyczaj opatrywania ostatniej strony czy okładki książki listą dotychczas wydanych pozycji. Nie jest to przecież oferta handlowa pod adresem czytelnika — znakomita większość tych książek nie jest nigdzie dostępna. Jest to raczej lista „zasług dla kultury” budująca siłę „firmy” na rynku dotacji. Niezależny obieg wydawniczy na naszych oczach wkracza we właściwą realnemu socjalizmowi sferę bytu pozornego. Pozorne mnóstwo wydawnictw, pozornie silnych i zasłużonych drukuje pozorne nakłady, które są potem niby kolportowane, kupowane i czytane. Przedstawiciel Funduszu Niezależnych Wydawnictw, który podjął się sterowania strumieniem dotacji uprzedza możliwe pretensje: „oczywiście, że monopolizujące akcje wywołują sprzeciw. Mam jedną właściwie radę dla każdego wydawcy, który chce się liczyć i mieć dostęp do funduszy — musi założyć dużą firmę”. Emocje wokół „siły” i zasług firm odwracają uwagę od sprawy kluczowej, jaką jest to, że im firma bardziej renomowana i bardziej dotowana, tym mniej ma potrzebę docierania do czytelników poprzez coraz bardziej kłopotliwy kolportaż. Upraszczając, można by powiedzieć, że każda złotówka dotacji pozbawia czytelników złotówki w postaci towaru dotowanej firmy.

Pomiędzy tajną drukarnią a trwałym miejscem niezależnego wydawnictwa na półce z książkami, w piwnicy czy na śmietniku rozpościera się szara, niezinstytucjonalizowana sfera czytelnictwa. Struktury kolportażowe są jej najważniejszymi, ale nie wyłącznymi składnikami. Kolportaż jako przedsięwzięcie na poły jawne nie mógł zinstytucjonalizować się w „firmy” kolportażowe na wzór tajnych przedsięwzięć wydawniczych i poligraficznych. Szyldy i nazwy służyłyby tu tylko policji, dlatego działalność ta musiała pozostać anonimowa i publicznie nieobecna. Tymczasem przedsięwzięcia kolportażowe posiadają, prócz szyldów, wszelkie cechy osobnych firm; są silne swym zasięgiem i pojemnością, a z drugiej strony towarem oferowanym czytelnikowi. Patrząc poprzez szyldy, wygląda to tak jakby firmy wydawnicze dysponowały strukturami kolportażowymi. Rzeczywistość jest bliższa sposobowi widzenia czytelnika, dla którego różne struktury kolportażu zapewniają dostęp do magazynów różnych oficyn wydawniczych.

W sytuacji podobnej do kolportażu znajdują się także inne elementy sfery czytelnictwa. Nie wykształcił się rynek zlecania druku przez czytelników i środowiska o specyficznych zainteresowaniach, sieć wymiany między wydawnictwami, kredytowanie dru-

ku i subskrypcja, nie przetrwały biblioteki i wypożyczalnie, rozproszone są archiwa, nie ma zbiorczych informacji o nowościach wydawniczych. Zupełnie brak bibliografii i katalogów, a recenzje i przeglądy wydawnictw są przypadkowe i niezauważalne. Nie istnieje mechanizm wymuszania wznowień i reagowania na ujawnione już potrzeby czytelników. Brakuje wszelkich form pośrednictwa i okazji publicznego rozmawiania o sprawach obiegu. Brakuje w tej całej dziedzinie interesowności i przedsiębiorczości, nie brakuje natomiast związanych z podziemnym drukarstwem ambitnych planów i wzniosłych słów o ratowaniu kultury narodowej.

Ruch wydawniczy nie jest w stanie wejść na te pola, które przeciwnik sam mu zostawia: dzieci, młodzież, wieś, skrypty akademickie i inne wyspecjalizowane dziedziny. Wcale nie z braku kompetencji. Nawet zwykła gazetka listonoszy, miesięcznik adwokatów czy kwartalnik filozofów nie mają szansy powstać i utrzymać się, jeśli kilku listonoszy, adwokatów czy filozofów nie wyremontuje starego powielacza i nie przejdzie od początku do końca tych wszystkich prób i błędów, jakie były udziałem wydawców *Biuletynu Informacyjnego* czy *Robotnika*. Zalew wydawnictw niekontrowersyjnie słusznych i umiarkowanie ciekawych, obliczonych na średniego, typowego odbiorcę jest zmorą naszego kurczącego się rynku i wyrazem jego słabnięcia. Po prostu, tak jak optymalizowana jest cena, tak samo optymalizacji podlega treść wydawnictw, by mogły przebić się przez ogólny, niewydajny kolportaż do przypadkowego odbiorcy. Mniej ambitne a bardziej zainteresowane opłacalnością produkcji wydawnictwa (a więc nie te renomowane) kuszone są w ten sposób do zanizania poziomu i żerowania na najpowszechniejszych sentymentach i najprostszych skojarzeniach potencjalnych nabywców. W efekcie, niezależny obieg nie przełamuje monopolu zsowietyzowanej kultury, lecz zaczyna lansować odwrotne i dopełniające go widzenie świata. Staje się niegroźnym *folklorem* ubezwłasnowolnionego społeczeństwa.

Do takiej folkloryzacji prowadzi uwiad i strukturalny niedorozwój wszystkiego, co — krótko mówiąc — stanowi o kulturowym istnieniu słowa drukowanego niezależnie od jego materialnego istnienia w postaci farby pokrywającej papier. W tym sensie istnienie silnego „ruchu wydawniczego” przy braku odpowiednio wykształconych przedsięwzięć czytelnicznych sprawia, że „ruch” ten nie przekształca się w dostatecznej mierze w „obieg”. Oczywiście nie ma co mówić o strzelaniu, jeśli w ogóle nie ma armat: papieru, maszyn, lokali i gotówki — tego wszystkiego czym stoją dziś firmy wydawnicze. Ale dzisiejsza sytuacja wygląda tak, że armaty są, a pociski różnego kalibru jakimi zioną drukarnie przeżywają przypadkowych odbiorców na wylot i grzęzną gdzieś bez echa. Pod względem czytelnictwa, więzi między wydawcą a czytelnikiem nasz obieg wydawniczy, którego dziesięciolecie właśnie

świętujemy, wciąż jeszcze nie wyrósł z epoki ulotkowania. Tymczasem rozbudzeni odbiorcy, którzy nie chcą już czytać wszystkiego i tyle czego a nie mają towarzyskich koneksji z „ruchem wydawniczym”, mogą liczyć już na coraz mniej.

Niedorozwój tej szarej strefy czytelnictwa, którą dawniej wypełniało spontaniczne działanie małych środowisk powoduje, że kulturotwórcza rola niezależnego obiegu maleje. Wydaje się być mniejsza dziś — w czasach niezniszczalnej bazy technicznej i milionowych obrotów — niż była w czasach, gdy cała produkcja „Nowej” stała jednym powielaczem. Jako że niezależny obieg w masowej skali pozostał praktycznie jedynym wcieleniem niezależnego społeczeństwa, jego popadnięcie w przytulny folklor i dobrowolne zejście z narodowej sceny jest klęską w wymiarze niesprowadzalnym do losów samego „ruchu wydawniczego”. Jest zamknięciem uszu i ust nowym pokoleniom, zerwaniem ciągłości doświadczeń społecznych dla tych, dla których uczestnictwo z rodzicami w mszy za Ojczyznę i słuchanie wspomnień z internatów okaże się zbyt wąskim polem.

Wstępny raport Społecznej Rady Wydawnictw Niezależnych z grudnia 1986 roku, poświęcony w znacznej mierze właśnie znaczeniu wydawnictw niezależnych napisany został w tonie hurraoptymistycznym i myli się zasadniczo w tym jednym punkcie, w którym stwierdza narastanie i umacnianie się *więzi* (nie sprecyzowano czyjej — Rady?, ruchu wydawniczego?) ze społeczeństwem. Więź o jaką tu może chodzić to właśnie więź tworząca się przez *obieg*, bez której największy nawet dorobek „ruchu wydawniczego” pozostaje bezpłodny. Na tym przykładzie widać, jak anachronizm patrzenia na niezależny obieg przez pryzmat „firm” uniemożliwia dostrzeżenie jego folkloryzacji, postawienie właściwej diagnozy i znalezienie skutecznego sposobu przeciwdziałania, choć nie brakuje po temu ludzi, funduszy i możliwości organizacyjnych. Plany w tej dziedzinie grzeszą socjalistyczną gigantomanią: modne są wielkie organizacje gospodarcze, hierarchiczne struktury, powoływanie ciał i komisji, podział terytorialny kraju między renomowane firmy. Nierealność tych planów polega nie na braku środków, lecz na bezpłodności myśli oderwanej od realiów i szubującej w świat pozorów.

Pomysł z tajną Społeczną Radą Wydawnictw Niezależnych, polegający na tym, że ogłosiła się ona sama zbiorem „przedstawicieli środowisk o uznanym autorytecie społecznym i moralnym” jest tego oderwania niepokojącym przejawem. Chętnie wierzę w dobrą wolę i kompetencje każdego, kto robi coś konkretnego w podziemiu, ale coś takiego jak „tajny autorytet” to funkcja już całkiem mglista. Rozumiem powody mnożenia się tych chorów anielskich: rozdawnictwo pieniędzy jest w ogóle złem koniecznym, a ich dzielenie zajęciem szczególnie niewdzięcznym. Jeśli zaś

przyjmuje się, jak przy dotacjach podmiotowych, cokolwiek pozorny kształt instytucjonalny niezależnego obiegu, to do dzielenia pieniędzy potrzebna jest instytucja jeszcze bardziej pozorna, zaś do firmowania tego podziału — taka która cała jest wyłącznie własnym szyldem. Stąd logika: „ogłosiłem się, więc jestem”. We wspomnianym raporcie i wypowiedzi udzielonej *Tygodnikowi Mazowsze* odnaleźć można zapowiedź tych wszystkich konsekwencji jakie pociąga za sobą wstąpienie w świat pozorów: dekretowanie rzeczywistości (teza o umacnianiu się więzi i znaczenia), traktowanie jej jako własnej emanacji (dorobek ruchu a nie wielo-podmiotowy obieg). Następnie zaś próby jej zhierarchizowania i uporządkowania (I i II liga) a na koniec perswazje i zakłęcia w stosunku do odpornej materii (sposób rozpatrywania zjawisk negatywnych).

Jak można zatem przeciwdziałać folklorystyce obiegu niezależnego? Głoszona przez liberałów teza, że tylko mechanizm rynkowy jest remedium na wszelkie nieprawidłowości wywodzi się wprost z ich chlubnych założeń ideologicznych, ale też o tyle właśnie pozostaje bezsilna wobec rzeczywistości. Zaistnienia zdrowego rynku nie sposób uchwalić ani nakazać. Można natomiast pokusić się o spowodowanie zmiany funkcjonowania tych elementów „pozarynkowych”, które i tak są w nim już obecne, a mianowicie dotacji. Odrzuciwszy anachronizm prostego utożsamienia dobra „firmy” z dobrem obiegu, należałoby rozejrzeć się za tym, kto i jak mógłby bliżej i konkretniej wyrażać interes potencjalnego czytelnika. Na pewno więc należałoby zmienić miejsce, w którym do obiegu dochodzi pozarynkowa pomoc z zewnątrz. Winna nim być ta sfera obiegu, która rozciąga się od pojawienia się gotowego nakładu po jego ostateczne detaliczne rozsprzedanie. Chodziłoby więc o zastąpienie, czy też tylko zrównoważenie dotychczasowych dotacji podmiotowych dla „firm” dotacjami przedmiotowymi do konkretnych tytułów będących już w kolportażu. Do kas „firm” pieniądze dochodziłyby nie wprost, a jedynie poprzez kolportaż i wiązałyby się z ułatwieniem zbytu tytułów dotowanych, lepszymi cenami i ogólną poprawą koniunktury. Dysponentem dotacji do konkretnego nakładu byłiby kolporterzy wszystkich szczebli, pośrednicy, środowiska i instytucje zamawiające druk i podejmujące się jego rozkolportowania. Kolportaż stałby się zajęciem atrakcyjnym dla każdego i kogokolwiek, kto ma po temu jakieś możliwości. Cena detaliczna książki mogłaby być równa a nawet niższa od jej ceny hurtowej o wartości dotacji udzielanych przez kolportaż. Określona dotacja przywiązana byłaby do określonego nakładu nie zaś do jakiegoś podmiotu i ostatecznie przypadłaby każdemu, kto pośredniczyłby w jego zbycie. Weźmy za przykład przypadek najprostszy, gdy dotacja do

danej pozycji byłaby równa wartości dotychczasowej marży hurtowej. Wydawca otrzymywałby cenę hurtową, kolportaż utrzymywałby się z dotacji, a czytelnik płacił cenę detaliczną obniżoną do ceny hurtowej. Dysponujący dotacją kolportaż mógłby też płacić wydawcy za poszukiwaną książkę więcej niż cena hurtowa, rezygnując z części swej marży i utrzymując cenę detaliczną dla czytelnika. W innym skrajnym przypadku cała dotacja wpływałaby na obniżenie ceny detalicznej. Kolportaż byłby po prostu dystrybutorem większej lub mniejszej dotacji między trzy przedsięwzięcia i trzy kasy: kieszeń producenta, pośrednika i nabywcy, zaś raz przyznana dotacja mogłaby w praktyce obiegu ulegać redystrybucji. W obecnym systemie dotacji podmiotowych dla wydawcy, obniżka ceny bądź zwiększenie marży kolportażowej nie podejmowane są w ogóle lub podejmowane są za późno i nie są w stanie przeciwdziałać trafieniu wydawnictwa na śmietnik. Natomiast upowszechnia się zwyczaj „sprzedaży wiązanej” oraz doliczanie marży kolportażowej ponad cenę detaliczną wyznaczoną przez producenta. Nie można takich praktyk jednoznacznie potępiać, gdyż najczęściej chodzi nie o osiągnięcie jakiegoś nadzwyczajnego zysku, lecz o prostą opłacalność kolportażu w obecnych mechanizmach obiegu.

Trudno jest oskarżać wydawców o postawę komercyjną. Wyłansowali oni i na ogół przestrzegają tzw. przeliczników cenowych, stając w ten sposób na straży interesów czytelnika. Ale zwykle nie zależy im na szerokim zbycie aż do tego stopnia, by dbać o należyty procent marży kolportażowej i obniżać próg jej udzielania. Znajdując się bowiem z jednej strony pod naciskiem własnych kosztów i inwestycji — a z drugiej będąc rozliczani przez opinię publiczną z ceny detalicznej, w pierwszym rzędzie minimalizują marżę kolportażową, podcinając w ten sposób ogólną opłacalność kolportażu. Nic więc dziwnego, że najlepiej działa on w skali życia towarzyskiego małych środowisk. Wraz z kolportażem nieuchronnie cały obieg ewoluuje z powrotem do takich form. W sumie wychodzi więc często na to, że czytelnik chroniony jest przed drogą książką — brakiem dostępu do książek w ogóle. Największa troska o czytelnika ze strony wydawcy pozostanie iluzoryczna, dopóki kolportaż nie stanie się dla wydawcy kontrahentem zdolnym z jednej strony coś mu narzucać, a z drugiej — coś gwarantować. To zaś wymaga zainicjowania jakiejś formy instytucjonalizacji przedsięwzięć czytelniczych wobec firm-wydawców. System dotacji przedmiotowych dysponowanych przez kolportaż mógłby spełnić taką rolę — o ile oczywiście jego realizacja nie rozpoczęłaby się od powoływania jakiejś „demokratycznej reprezentacji” kolporterów i czytelników. (Zamieszczony w *Tygodniku Mazowsze* nr 207 list od powstającego klubu kolporterów, który ogłasza się „jedynym gronem, które zna i reprezentuje

stanowisko społeczeństwa w sprawach wydawniczych" każe się poważnie martwić taką możliwością). Chodzi o instytucję w sensie ogólnego narzędzia przystającego do mechanizmów rynkowych. Dysponentami dotacji powinno zatem być możliwie wielu spośród tych, którzy mogą występować wobec wydawcy w roli zleceńodawcy i gwarantować mu zbyt, a więc niezależni hurtownicy, struktury międzyzakładowe, zorganizowane środowiska, instancje związku, działający w porozumieniu detaliści itp. Zresztą system dotacji przedmiotowych zapewne dopiero stworzyłby pole działania wyspecjalizowanych firm kolportażowych, które dotąd nie miały warunków i kapitałów do rozwinięcia się ponad poziom detalu.

Być może dotacje przedmiotowe powinny trafić również bezpośrednio do samych wydawców — wszak firmy wydawnicze również same zajmują się kolportowaniem swoich produktów — byleby wartość dotacji przedmiotowej potwierdzona została odpowiednią obniżką ceny wynikającej z obowiązującego przelicznika. Przyznanie dotacji nie łączyłoby się z zakupem danej pozycji przez dysponenta dotacji i miałoby charakter tylko uznaniowy. W takim przypadku nie udałoby się uniknąć istnienia centralnej instytucji, która oceniałaby przedstawione jej przez wydawnictwa gotowe pozycje i mogła przydzielać na nie dotacje samym wydawnictwom. Różnica między podmiotowym dotowaniem wydawnictw byłaby w tym przypadku taka, że dotowany byłby konkretny tytuł w określonym nakładzie, nie zaś samo istnienie czy niewymierna „jakość” firmy, zaś dotacja trafiałaby ostatecznie do kieszeni czytelnika.

Być może optymalnym rozwiązaniem organizacyjnym całego systemu dotowania przedmiotowego byłoby powołanie Funduszu Obiegu Niezależnego, który opracowałby proste zasady dotowania przedmiotowego, stosował je sam do tytułów zgłaszanych doń przez wydawnictwa oraz przelewał część swych funduszy i kompetencji na inne podmioty działające w sferze kolportażu.

Upowszechnienie się dotacji przedmiotowych mogłoby doprowadzić do pozytywnego sprzężenia tych mechanizmów, których łączne działanie ma obecnie skutki raczej negatywne. Pojawienie się tańszej książki byłoby bodźcem dla ożywienia kolportażu, a możliwość uzyskania dotacji — bodźcem do organizowania się i włączenia do pracy nowych kolporterów. Dla wydawcy zmniejszałoby się ryzyko wydawnicze i finansowe, mogłyby wzrastać nakłady, zmniejszać się koszty jednostkowe, a sprawniejszy kolportaż pozwalałby na szybszy obrót kapitałem. Wzrosłaby elastyczność działania całego obiegu. Uruchomienie dotacji przedmiotowych nie musiałoby eliminować dotychczasowych dotacji podmiotowych. Te ostatnie powinny raczej przekształcać się w łatwo dostępny kredyt. Mechanizmy rynkowe i nierynkowe niezależ-

nego obiegu znalazłyby w ten sposób swe właściwe miejsca; ponieważ całość niezależnego obiegu wymaga zewnętrznego finansowania, mógłby utrwalić się następujący podział: kredytowanie druku i dotowanie kolportażu. Dotąd bywa raczej odwrotnie: drukuje się na podmiotowej dotacji dla firmy, a kolportaż siłą bezwładu wymusza kredyt z kasy wydawcy. Bowiem niesamodzielność finansowa kolportażu powoduje, że wartość druków zalegających magazyny i skrzynki obciąża obecnie kasy przedsięwzięć wydawniczych i poligraficznych. Podmiotowe dotacje dla tych przedsięwzięć przeradzają się więc w kapitał zamrożony w towarze, który nikogo nie interesuje. Jest niechodliwy ze względów merytorycznych bądź, co gorsza, organizacyjnych. Firma „zaliczyła” sobie pozycję wydawniczą, drukarz wziął zapłatę, kolportaż zaś ma z tym tylko kłopot — nie ma więc komu i jak się wysilić, by magazyny rozładować. Nic dziwnego, że czasem po latach odkrywa się skrzynki z całym nakładem oczekiwanego ongiś numeru miesięcznika albo z dużą ilością książki, której pojedyncze egzemplarze kiedyś dosłownie wyrywano sobie z rąk.

Niezależnie od oceny trafności proponowanych tu środków zaradczych należy przyjąć, że na obecnym etapie „znormalizowania” obiegu marnotrawstwo i nieefektywność mają swe główne źródło w ukształtowanej już mechanice całości tego obiegu. Poszukiwanie środków zaradczych należy zatem zacząć od wyświeślenia i podsumowania jego funkcjonowania. Byłoby to lepsze uczczenie dziesięciolecia niezależnego obiegu niż sporządzanie list „dobrej roboty”. Te ostatnie należałoby raczej przerobić na jedną choćby wyczerpującą bibliografię. I niechby ktoś na niej zarobił.

L. L.

Warszawa, styczeń-sierpień 1987 r.

Tekst „Uwagi o niezależnym obiegu wydawniczym” podpisany L.L. pojawił się w Warszawie w styczniu 1987 roku w kilkunastu powielonych egzemplarzach. *Tygodnik Mazowsze* w nr. 209/210, zamieścił przedręcznie wyimki z tego tekstu pod tytułem „O dobro czytelnika”. Powyższa wersja jest nową redakcją tekstu.

Tekst pt. „Smutne ale prawdziwe — z rozmowy z kolporterką z *Tygodnika Mazowsze* nr 203 ma duży walor dokumentalny i byłby cenny, cały bądź w skrócie, jako aneks bądź przypis do „Uwag”.

SMUTNE, ALE PRAWDZIWE

(Z ROZMOWY Z KOLPORTERKĄ)

Zajmuję się kolportażem wydawnictw niezależnych od początku stanu wojennego. Do połowy roku 1984 nie miałam kłopotu ani z dostawami, ani

ze zbytym książek, a głównym moim problemem była sprawność obrotu: żeby nie nie leżało u mnie dłużej niż 2-3 dni. Rozprowadzałam wtedy do 100 egzemplarzy poszczególnych tytułów. Dziś, obracając się w tym samym środowisku, mogę sprzedać do 10 egzemplarzy i to tylko najciekawszych pozycji. Wykruszyli się ludzie młodzi, którzy pozakładali rodziny i ledwo zipsa z pieniędzmi oraz najstarsi czytelnicy, których zmęczyły mały i zły druk. Nawet najwytrwalsi klienci nie biorą wszystkiego. (...)

Największą zakałą kolportażu są jednak czasopisma. Przychodzą zawsze za późno (nawet i w rok od zamknięcia numeru), a materiał w nich zawarty w większości jest już nieaktualny. (...)

Obieg niezależny nie tylko przestaje pełnić rolę więzi i mobilizować ludzi, lecz przeciwnie — zniechęca do opozycji. Ludzie są znudzeni nieciekawymi tekstami, ale zarazem mają wyrzuty sumienia i wstydzą się odmawiać zakupu. W związku z tym unikają kolportera, nie przychodzą na spotkania i w ten sposób wykruszają się z ruchu.

Jeśli chodzi o nas, kolporterów, to odczuwamy przede wszystkim zmęczenie sprawami finansowymi, bo nie obchodzi się bez deficytów i trzeba dokładać z własnej kieszeni. Męczy również konieczność wypychania ludziom na siłę książek, do których samemu nie ma się przekonania, świecenie oczyma za różne brakoróbstwa i nawalanki. Dodatkową nieprzyjemnością jest fakt, że książki coraz dłużej zalegają w punkcie, co przysparza ryzyka i zdemotywania. Satysfakcja wynika z przekonania, że bądź co bądź bierze się udział w historii, no i jeśli uda się zdobyć dla kogoś upragnioną książkę.

Spadek zainteresowania ze strony czytelnika zbiegł się z wieloma negatywnymi zjawiskami po stronie wydawcy. Ruch wydawniczy miota się chyba między postawą naiwnie komercyjną — wydać szybko, byle jak i dużo zarobić, a postawą naiwnie ideologiczną — ignorować czytelnika i wydawać bez rozeznania rynku. Następuje inflacja publikacji niezależnych i niewykluczone, że dotychczasowa publiczność odrzuci je niemal całkowicie, jeśli nie zostaną wprowadzone w czyn jakieś roztropne zmiany w polityce wydawniczej. Pamiętamy, że w klasycznym samizdacie teksty były rozmnażane przez samą publiczność — to, co podbiło czytelnika było przez niego przepisywane i reprodukowane tak długo, póki trwało zainteresowanie. Niezależny ruch wydawniczy nie ma takich samoczynnych regulatorów i dlatego jest tu potrzebny większy profesjonalizm. Obecnie, kiedy już sam fakt jego istnienia przestał być cudownym zjawiskiem, przed którym pada się na kolana, należałoby zająć się repertuarem wydawniczym, jakością produktu i zdobywaniem sobie odbiorców. (...)

Kolporter ma na ogół pojęcie, jakie tytuły są poszukiwane. Może więc jego opinia powinna mieć jakiś wpływ na repertuar, czy choćby nakłady? Pewnym pośrednikiem mogłoby tu być publikowanie zapowiedzi wydawniczych, omawianie i rekomendowanie przygotowywanych pozycji, tak żeby czytelnik mógł je z góry zamawiać. Warto by też ukształtować jakąś równowagę między wznowieniami a nowościami, bo jednak zapotrzebowanie na pozycje o trwałej wartości jest wyższe niż podaż. Powinna powstać lista *The best of the best* i te właśnie książki powinny być co jakiś czas wznowiane, a może nawet i dotowane pod warunkiem, że będą rozpowszechniane w nowych środowiskach. Gdy środowiska czytające ulegają naturalnej erozji, trzeba równolegle obmyślać jakieś sposoby pozyskiwania nowych czytelników i rozszerzania zasięgu wolnego słowa wśród tych, którzy nie mieli jeszcze okazji korzystać z jego dobrodziejstw. Myślę tu przede wszystkim o młodzieży i o wsi.

Notatki z Polski

CZERWIEC — LIPIEC 1987 ROKU

Tym razem Jan Paweł II przyjechał do kraju, gdzie od dłuższego czasu widoczny jest wyraźny spadek nastrojów społecznych, zaś apatia i zniechęcenie stanowią problem zarówno władzy, jak i opozycji. Były jednak trzy miasta, gdzie witano Go jak dawniej: przede wszystkim „rodzinny” Kraków; dalej Tarnów, dokąd ściągnęły setki tysięcy chłopów; wreszcie Gdańsk, który na jeden dzień stał się znowu stolicą „Solidarności”. Nieestety, wszędzie wraz z Papieżem pojawiały się takie ilości milicji, jak w najgorszym okresie stanu wojennego, a w Gdańsku nawet większe. Miała to być jawna demonstracja siły, tak że nawet tajniacy manifestacyjnie zaznaczali swoją obecność, poruszając się w zwartych grupach. Jednocześnie przez cały czas pielgrzymki trwała akcja policyjna zmierzająca do tego, by utrudnić dotarcie na msze i spotkania papieskie szczególnie działaczom „Solidarności”, ale też po prostu wszystkim, którzy tam zmierzali. Towarzyszyło temu zatrzymywanie i rewidowanie ludzi w poszukiwaniu transparentów, w czym niestety współdziałała niekiedy kościelna służba porządkowa. Najbardziej bulwersujący przykład takiej współpracy to „mieszane załogi” gazików — księża i milicjanci — poprzedzające w kilku miejscach pojazd papieski.

Od pierwszych godzin pobytu Jana Pawła II w Polsce rozwinęły się obawy — które i my w tym miejscu formułowaliśmy — że pielgrzymka będzie miała charakter wyłącznie „państwo-kościelny”, zaś społeczeństwo pozostanie na uboczu, jako bierny widz tej normalizacyjnej imprezy. Już spotkanie na Zamku z Jaruzelskim jasno wykazało, do kogo i po co przyjechał Papież. Padły słowa o prawach człowieka, o wolności stowarzyszeń i wypowiedziane swoich poglądów, wreszcie o prawie wszystkich Polaków do stanowienia o losach Ojczyzny. Z każdym dniem widać było wyraźniej, że tutaj władzy nie uda się uzyskać spodziewanych korzyści. Rzucały się w oczy łamańce propagandowe prasy, by uciec od cytowania czy interpretowania Ojca Świętego. Relacje z trasy pielgrzymki od pewnego momentu zaczęły przypominać beztreściowe sprawozdania z pobytu w Polsce jakiegokolwiek oficjalnej osobistości. Jednocześnie generałowi Jaruzelskiemu coraz bardziej rzedła mina. Bo cóż by miał oznaczać niespodziewany przyjazd do Częstochowy Barcikowskiego i Cioska, jeśli nie próbę wywarcia wpływu na dalszy przebieg wizyty? Kilka dni po jej zakończeniu Jaruzelski skarżył się na spotkania z przedstawicielami ZSL i SD, że nie tak to sobie wyobrażał, a winę ponosz — jego zdaniem — doradcy Papieża: ks. Tischner, Tadeusz Mazowiecki i... prezydent Reagan. Jak dalece Jan Paweł II nie dał władzy nic, co mogłaby zdyskontować, niech

świadczy fakt, że zaniepokojeni tym biskupi prosili go, by chociaż do pożegnalnego przemówienia dołączył jakieś pozytywne akcenty. I rzeczywiście dodany został fragment o budowie kościołów. Przedmiotem najróżniejszych spekulacji było nerwowe zachowanie gen. Jaruzelskiego na lotnisku, które nie pozostawiało wątpliwości, że w ostatniej rozmowie usłyszał od Ojca Świętego nie to, co chciałby usłyszeć.

Papież przyjechał z ważkim przesłaniem dla polskiego Kościoła, polskiego społeczeństwa i „Solidarności”. Musiał mieć świadomość — jak zauważył jeden z komentatorów *Tygodnika Mazowsze* — że „w polskim Kościele zaczęły dominować dość miernej próby rozważania taktyczne, pojawiło się rozumowanie, że skoro 'Solidarność' słabnie, to może lepiej trochę zapomnieć, odsunąć się od niej”.

Słowa Ojca Świętego do duchowieństwa, hierarchii i kleryków mówiły wprost, jakim chciałby widzieć polski Kościół. I tak niejednokrotnie przywoływał postać ks. Jerzego Popiełuszki jako wzór kapłana i męczennika, a fakt, że słowa te kierował do wstępujących na drogę kapłaństwa ma szczególną wymowę. Wielką wagę ma też niewątpliwie przemówienie na konferencji episkopatu Polski, gdzie przypomina, że rolą Kościoła jest też „uczestnictwo w stanowieniu o sprawach własnego społeczeństwa, również w zakresie politycznym”. Ale Jan Paweł II mocno podkreśla też, że rola polityczna Kościoła jest służebna „wobec takich zadań, jak podmiotowość społeczeństwa”. I dlatego na przykład nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Stolicą Apostolską a władzami PRL nie jest celem samym w sobie i może nastąpić dopiero wówczas, gdy będzie to krok zrozumiały dla polskiego społeczeństwa — w grę nie wchodzi żadna tajna dyplomacja, żadne praktyczne handlowanie czy przetargi. Dalej: jeżeli Papież mówi, że Kościół winien być Kościołem ubogich w każdym sensie tego słowa, znaczy to również tyle, że ma stać nie po stronie możnych tego świata, ale po stronie prześladowanych i pozbawionych siły.

Jan Paweł II sam zresztą jakby wskazuje tu drogę, kiedy podczas mszy na Zaspie zwraca się wprost do tych, którzy niosą dziedzictwo „Solidarności”: „Mówię do Was, a także w pewnym sensie za Was”. Wszystko, co powiedział o „Solidarności”, niosło potężny ładunek optymizmu i nadziei. Nie zajmując się żadnymi szczegółowymi sprawami, pozwolił ludziom uprzytomnić sobie wielkość tego, co robią, w czym uczestniczą. Pokazał też, że nie jest to martwe dziedzictwo jednego tylko narodu, przeciwnie — że ma ono wymiar uniwersalny i sięga w przyszłość. „Jeżeli dotąd zdarzało się, że przywiązanie do 'Solidarności' stawiało się dla kogoś sprawą żenującą i kłopotliwą — powiedział Zbigniew Bujak dla *Tygodnika Mazowsze* — po tej wizycie na pewno tak nie będzie”.

Na dwa jeszcze wątki papieskiego nauczania warto zwrócić uwagę. Spotkanie z ludźmi kultury pokazało, że Jan Paweł II jest zainteresowany dialogiem z całą kulturą, a nie z jakimś jej

katolickim wycinkiem i tak chciałby widzieć polski Kościół: jako przestrzeń wolności dla twórców, której nie mogą znaleźć gdzie indziej. Odwiedziny w kościele Bazylianów grekokatolickiego obrządku oraz spotkanie z żydowską wspólnotą wyznaniową — to z kolei wskazanie, jak powinny się kształtować stosunki polsko-ukraińskie i polsko-żydowskie.

Treści papieskiego nauczania, nazwane „nową katechezą polskiego Kościoła”, odebrane zostały jako tak radykalne, że wzbudziły niepokój części hierarchii kościelnej. Na spotkaniu z konferencją episkopatu jeden z obecnych miał powiedzieć: „Ojciec Święty wyjeżdża, a przecież my zostajemy...”.

Jak na razie kierunek polityki państwa wobec Kościoła jest wciąż niejasny. Nie daje się zauważyć wyraźnych sygnałów zaostreżenia — poza chwilowym zacieśnieniem cenzury bezpośrednio po pielgrzymce — ale też nie widać żadnych specjalnych symptomów otwarcia. Można by co prawda interpretować w ten sposób przybycie Czyrka do warszawskiego KIK-u 11 lipca, gdyby nie fakt, że w pięciogodzinnej dyskusji z przedstawicielami Klubów Inteligencji Katolickiej nie powiedział niczego istotnego ani wiążącego. Nikt nie umiał znaleźć odpowiedzi na pytanie, jaki był cel tego spotkania. Propagandowo nie zamierzano go wykorzystywać — Czyrek nie wyraził ochoty ogłoszenia wspólnego komunikatu, a Urban wręcz wyparł się, że odbyło się ono z inicjatywy władz. Czyrek musiał się natomiast nasłuchać krytycznych i bezkompromisowych sądów na temat stanu państwa i stosunków między władzą a społeczeństwem.

Wbrew przewidywaniom pesymistów, że po wyjeździe Papieża nastąpi „przykręcenie śruby”, jak i nadziejom związanym z przeciekami o możliwości odblokowania ustawy o związkach zawodowych i dopuszczenia pluralizmu związkowego — nie zaszły ostatnio żadne zasadnicze zmiany. Nie można przecież uznać za objaw liberalizacji — choć tak władza chciałaby to przedstawić — kilku gestów o socjotechnicznym w gruncie rzeczy charakterze. Rzeczywiście tygodnikowi *Ład* od momentu, gdy przeszedł znów w ręce Janusza Zabłockiego, pozwala się o wiele więcej niż innym pismom katolickim. Na przykład była to jedyna gazeta, w której ukazały się pełne teksty homilii papieskich w takiej wersji, w jakiej zostały wygłoszone, podczas gdy *Tygodnik Powszechny* musiał się zadowolić wersją przywiezioną z Watykanu. Trudno oprzeć się wrażeniu, że przywileje dla *Ładu* mają podsycać środowiskowe antagonizmy. Dalej: po trzech latach pertraktacji ukazał się wreszcie pierwszy numer pisma *Res Publica*, które miało stanowić przeciwwagę dla drugiego obiegu, być dowodem na to, że i oficjalnie można głosić niezależne poglądy. Jak na taką zapowiedź i tak długie oczekiwanie, numer nie przynosi żadnych rewelacji. Zarazem te wypowiedzi, które można uznać za credo redakcji, mają dwuznaczną wymowę, jak choćby postulat „starannego oddzielania postawy moralistycznej od politycznej”; stwierdzenie, że „antytotalizm grozi zagubieniem poczucia rzeczywistości” czy sformułowanie, że „w sferze publicznej nie

ma miejsca na luksusowe poczucie słuszności" (Paweł Śpiewak w rozmowie redakcyjnej zatytułowanej „Czas polityki?”). Wreszcie do zjawisk tej samej kategorii zaliczyć należy obietnice powołania nowego pisma *Kraj*, organu grupy dialogowej „Consensus”, któremu — jak już dziś się głosi — wolno będzie pisać znacznie odważniej. Intencja jest wszędzie ta sama: przyciągać ludzi środka i środowiska opiniotwórcze, zacierać podziały ideowe, wystawiać świadectwo liberalizmowi władz.

Kolegia ciągle skazuje na wysokie grzywny za niezależną działalność (podczas samej tylko wizyty Papieża stanęło przed nimi co najmniej kilkadziesiąt osób), nie zaprzestano rekwirowania samochodów, a ostatnio pojawili się znowu więźniowie polityczni. Jak na razie są to osoby, co do których władza może się tłumaczyć, że znalazły się w więzieniu z powodów innych niż *stricto* polityczne. Tak więc Bogusław Szybalski z Elbląga, zatrzymany przy przewożeniu żukiem maszyn poligraficznych, oskarżony został o próbę przekupienia milicjanta. Z kolei pod sfingowanym zarzutem łapownictwa siedzi w Gdańsku podoficer Służby Bezpieczeństwa Henryk Piec, w sprawie którego „Solidarność Walcząca” oświadczyła, że podjął pracę w Urzędzie Spraw Wewnętrznych w roku 1984 na polecenie tej organizacji. Tu trzeba przypomnieć, że już blisko trzy lata przebywa w więzieniu skazany na 6 lat również za łapownictwo współpracownik „Solidarności”, kapitan SB Adam Hodysz. Odrębną kategorię więźniów stanowią trzej uczestnicy Ruchu „Wolność i Pokój”, którzy dostali sankcję za odmowę służby wojskowej. Jeden z nich, Piotr Różycki z Bydgoszczy, 27 lipca skazany został na 2 i pół roku więzienia — jest to pierwszy polityczny wyrok od amnestii we wrześniu ubiegłego roku.

Od pewnego czasu w środowiskach niezależnych pojawiły się próby myślenia w kategoriach całego bloku i budowania więzi między opozycją w różnych krajach. Jednym z głównych wątków lipcowego posiedzenia Tymczasowej Rady „Solidarności” była dyskusja o wpływie reform Gorbaczowa na sytuację w Europie Wschodniej. W czerwcu i lipcu bież. roku odbyło się też kilka akcji w obronie represjonowanych: „WiP” kilkakrotnie upominał się o aresztowanego za odmowę służby wojskowej Węgra Zsolta Keszthelyi i członków Moskiewskiej Grupy Budowy Zaufania Lwa Kriszewskiego i Michaiła Kopota, którym grozi proces; z kolei węgierski Komitet Obrony Zsolta Keszthelyi zaprotestował przeciwko wyrokowi na Piotra Różyckiego. Akcja na rzecz ułaskawienia skazanego na śmierć studenta z Alma-Aty Ryskulbekowa przybrała w Polsce dość duże rozmiary, zebrano już dziesiątki podpisów pod petycjami do władz ZSSR. W obronie Ryskulbekowa wystąpiła też opozycja węgierska.

Na uwagę zasługuje również inicjatywa pod nazwą Krąg Przyciągłości Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, powołana w czerwcu bież. roku, której patronują z jednej strony przedstawiciele Karty 77, z drugiej — między innymi Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Jacek Kuroń, Józef Pinior.

Są to oczywiście wciąż jeszcze początki, ale wiele wskazuje na to, że współdziałanie będzie się rozszerzać. Już na połowę sierpnia planowane jest spotkanie przedstawicieli polskiej, czeskiej i węgierskiej opozycji.

(ja)

OŚWIADCZENIE W SPRAWIE WYWIEZIONYCH POLAKÓW

Suwałki, 2 sierpnia 1987.

W lipcu 1945 roku na polskich ziemiach przygranicznych Suwalszczyzny, między Puńskiem a Dąbrówą Białostocką, wojskowe władze radzieckie przeprowadziły wśród ludności polskiej masową akcję zatrzymań. Objęła ona wiele setek osób. Zabieranych z domów wyjaśniano, że po sprawdzeniu dokumentów zostaną zwolnieni. Los tych ludzi nie jest do dziś znany — nikt z nich nie powrócił ani nie dał znaku życia. Podejmowane przez rodziny próby poszukiwań nie dały rezultatów.

W lipcu 1987 roku na uroczysku Wielki Bór przy drodze Rygol-Giby odkryto masowe groby. Wzbudziło to poruszenie w wielu rodzinach. Zapytany w dniu 21 lipca 1987 o los zaginionej ludności Suwalszczyzny, rzecznik prasowy rządu uchylił się od odpowiedzi.

Pragnąc pomóc rodzinom w ich staraniach o powrót zaginionych lub ustalenie ich losu, w przekonaniu, że wyjaśnianie „białych plam” w historii stosunków polsko-radzieckich leży w interesie obu krajów, powołujemy Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w lipcu 1945 roku.

Komitet będzie dążył do ułożenia kompletnej listy zaginionych, ustalenia ich losów i umożliwienia powrotu do domów. Komitet apeluje o pomoc w działaniu do władz PRL, ZSSR, Kościoła, Czerwonego Krzyża, wyspecjalizowanych instytucji polskich i międzynarodowych oraz wszystkich ludzi dobrej woli.

Prosimy o przekazywanie informacji na ręce:

PIOTRA BAJERA, SUWAŁKI, UL. REJA 76 m. 2, telefon: 620 05.
MIROSLAWA BASIEWICZA, POCZTA POGORZELEC, WIEŚ BIAŁOGÓRY.

STANISŁAWA KOWALCZYKA, SUWAŁKI, UL. SZYMANOWSKIEGO 6 m. 13.

Podpisano: OBYWATELSKI KOMITET POSZUKIWAŃ
MIESZKAŃCÓW SUWAŁSZCZYZNY ZAGINIONYCH
W LIPCU 1945 ROKU.

Suwałki, 2 sierpnia 1987 r.

INFORMACJA NR 1 OBYWATELSKIEGO KOMITETU POSZUKIWANIA MIESZKAŃCÓW SUWAŁSZCZYZNY ZAGINIONYCH W LIPCU 1945 R.

Publikujemy wstępną listę części osób zabranych w dniach 12-14 lipca 1945 przez funkcjonariuszy wojskowych władz radzieckich w celu sprawdzenia dokumentów, którzy zaginęli bez wieści:

Wieś Białogóra: Adaszko Zygmunt, Cieślukowski Stanisław, Marcinkiewicz Stanisław, Gutowska Bronisława, Mieczkowski Antoni, Mieczkowski Wincenty.

Wieś Daniłowce: Biziewski Antoni, Czekajło Wiktoria, Kamiński Ludwik, Laskowski Stanisław, Laskowski Bronisław, Michalski Stanisław, Michalski Wincenty, Przykopski Antoni, Przykopski Franciszek, Węgrzynowicz Marian.

Wieś Sumowo: Mullner Waclaw, Mullner Bolesław, Mullner Albin, Mullner Antoni, Myszczyński Edmund, Myszczyński Mieczysław, Myszczyński Witold, Rapczyński Stanisław, Rupiński Józef, Rupiński Witold, Siderewicz Stanisław.

Wieś Białowiesie: Konopko Franciszek, Konopko Stanisław, Moroz Józef — ojciec, Moroz Józef — syn, Paszkiewicz Antoni, Paszkiewicz Franciszek, Plewiński, Rapczyński Franciszek, Rewiński, Święcicki Dominik, Święcicki Szymon, Święcicki Wincenty.

Następne informacje będą zawierały dalsze nazwiska oraz uzupełnienie danych. Prosimy o pomoc w zbieraniu informacji.

Prosimy przekazywać informacje na ręce: Piotra Bajera, Suwałki, ul. Reja 76 m. 2, tel.: 620 05, Mirosława Basiewicza, poczta Pogorzelec, wieś Białogóra, Stanisława Kowalczyka, Suwałki, ul. Szymanowskiego 6 m. 13.

Podpisano: Obywatelski Komitet Poszukiwania Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 r.

NIE TYLKO O PIELGRZYMCE...

(Z rozmowy ze Stefanem Kisielewskim)

WOLA: — Jakie trzy pomysły polityczne ostatnich kilku lat uznałby Pan za najlepsze?

ODPOWIEDŹ: — Niestety przychodzą mi na myśl tylko pomysły rządowe...

WOLA: — ?

ODPOWIEDŹ: — Pierwszy to dokonanie stanu wojennego właśnie bez przelewu krwi. Drugi bardzo dobry pomysł to amnestia 11 września... Trzecim jest obecna polityka prokościelna...

WOLA: — No właśnie... Czy Kościół zrezygnował z opozycji?

ODPOWIEDŹ: — Częściowo chyba tak. Czy tylko taktycznie — tego nie wiem... Bo jednak kardynał Wyszyński od czasu do czasu wtrącał jakąś krytykę komunizmu, mówił np., że w Polsce mamy kapitalizm państwowy, że komuniści nie potrafią czynić ziemi sobie poddaną itd. Natomiast prymas Glemp zrezygnował z tego ostatniego niemal zupełnie... Kościół potrafi pomóc organicznie, ale sobie. Społeczeństwu już raczej tylko duchowo... Dlatego też bardzo ciekawi mnie wizyta Papieża, zwłaszcza wobec tego, co dzieje się w Rosji.

WOLA: — Czy ma Pan jakieś nadzieje z nią związane?

ODPOWIEDŹ: — Mam dużo lęków. Na przykład że będzie to „opium dla ludu” i lud to opium chętnie zażyje... Tylko obawiam się, że ustrojowo, społecznie i gospodarczo niewiele to społeczeństwu może dać. A więcej Jaruzelskiemu. W *Przeglądzie Powszechnym* była niedawno ankieta: „Czego oczekują od wizyty Papieża?”. I ja napisałem, oczywiście z całym szacunkiem, iż oczekuje, że będzie mniej mówił niż ostatnim razem... Ostatnio Papież mówił bardzo dużo i właściwie każdy mógł coś dla siebie znaleźć. A tym razem, to mam nadzieję, że powie coś bardzo konkretnego, co zostanie jako slogan... jako wskazanie, drogowskaz, otucha... Tylko co to może być?

(WOLA nr 19 (225) z 1 czerwca 1987 r.).

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
Ukazuje się
w Berlinie Zachodnim
od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM4,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/782 93 84.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Ludzie, którzy twierdzą, że „podróże kształcą” być może mają trochę racji. Pozwalają w każdym razie spojrzeć na świat z innego punktu widzenia. Dawno już przyglądam się sowieckiemu światu z Europy. Znalazłszy się na jakiś czas za oceanem, staram się spojrzeć nań oczyma Amerykanów. Co do jednej gazety, radio, telewizja i rozmowy nie pozostawiają wątpliwości: Związek Sowiecki jest w modzie. Jak napisał *New York Times* 16 sierpnia: „W tym roku sowiecki znaczy tyle co *sexy*”. I rzeczywiście, każdy szanujący się sowietolog był, jest albo wybiera się do Moskwy. Jeżdżą tam też businessmeni, wieczni optymiści, zwabieni, być może, także niedawnymi reklamami w *Wall Street Journal*, za które sowieccy urzędnicy handlu zagranicznego zapłacili 350 tys. dolarów. Po Stanach Zjednoczonych rozjeżdżają delegacje walczących o pokój sowieckich dzieci, pisarze, artyści, politolodzy itd. „Nowe myślenie polityczne”, jak Moskwa nazywa politykę uwodzenia Stanów Zjednoczonych, przynosi owoce. Nie wszystko może jeszcze przebiegać tak, jakby chciała Moskwa, ale sukcesy są widoczne gołym okiem. Jeden z czołowych „uwodzicieli”, Georgij Arbatow, dyrektor Instytutu Badania Stanów Zjednoczonych i Kanady, w odpowiedzi na artykuł amerykańskiego dziennikarza Stroba Talbotta w *Ogońku* (oba artykuły nr 31/1987) wyraża nadzieję, że sowiecka *pieriestrojka* spowoduje amerykańską *pieriestrojke*, tj. gruntownie zmieni stosunek Stanów Zjednoczonych do ZSSR. Arbatow wspomina, jak zażartował niedawno w rozmowie z Talbottem: „Poczekajcie, a zrobimy wam prawdziwą przykrość — pozbawimy Amerykę odwiecznego wroga”. Arbatow uważa, że jeśli Ameryka przestanie uważać ZSSR za odwiecznego wroga, po prostu się rozpadnie: „trzechsetmiliardowy biznes wojskowy pójdzie z torbami, skończą się dochody, wpływy i władza kompleksu wojenno-przemysłowego”, runie polityka zagraniczna, ponieważ „polityka paktów” okaże się niepotrzebna, bo i po co pakt (Arbatow ma na myśli Pakt Atlantycki), skoro nie ma wroga?

Można by naturalnie spytać Arbatowa, co się stanie z Paktem Warszawskim, jeśli nie stanie „amerykańskiego wroga”, ale tok jego rozumowania jest w tak oczywisty sposób fałszywy i kłamliwy, że z góry wiadomo, jaka będzie odpowiedź. Wystarczy powiedzieć, że Arbatow pozwala sobie stwierdzić — w odpowiedzi na zastrzeżenia Talbotta — że słynna leninowska formuła „kto kogo?” nie odnosi się do polityki zagranicznej.

Harvard i jego wspaniałe biblioteki sprzyjają badaniom tego, co naprawdę dzieje się w Związku Sowieckim: wszystkie gazety, czasopisma i książki mam pod ręką. W zalewie przemówień, referatów, artykułów i wywiadów widać, jakie kwestie szczególnie zajmują przywódców, dziennikarzy i czytelników.

Nieoczekiwanie, tzn. wbrew zamiarom władzy, palące aktualności nabrała przeszłość. Rok temu Michaił Gorbaczow na spotkaniu z pisarzami zaproponował, by dyskusję o historii odłożyć do lepszych czasów, a tymczasem nie odwracać uwagi narodu od ważniejszych spraw. Zapomniał widać, że era *pieriestrojki* przypadła na okres obchodów 70-lecia władzy sowieckiej. Wypada zatem mówić o przeszłości, a tu natychmiast rodzą się wątpliwości. Zanim bowiem ludzie przejdą do kwestii „co robić?”, pytają „kto winien?”. Odpowiedź na to pytanie nie przychodzi sowieckim historykom łatwo. Kłopot w tym, że nie sposób pogodzić dwu wykluczających się wzajemnie pojęć, mianowicie „jawności” i sowieckiej historii.

Historycy sowieccy nagle (?) odkryli, że kłamali. Na zebraniu w Akademii Nauk doktor nauk historycznych Kłopotow oświadczył: „*Pieriestrojka* nauki historycznej nie będzie możliwa, jeśli nie wyleczymy się ze starej choroby — nawyku pisania i mówienia nieprawdy” (*Woprosy istorii KPSS* nr 7/1987). Członek-korespondent Akademii Nauk ZSSR Poliakow oznajmił: „Ubiegłej jesieni napisałem artykuł, w którym dowodziłem, że prawda jest w historii niezbędna” (*Literaturnaja gazeta* z 29 lipca 1987). Sowieccy historycy powtarzają jeden za drugim, że trzeba pisać prawdę.

Ci sami historycy jednak tak przywykli łąć i od czasu do czasu kajać się, że chyba nie zdają sobie sprawy, jak dziwnie brzmią ich apele o prawdę. W świecie niesowieckim historyk badający przeszłość może błędnie zinterpretować jakiś dokument, może przeoczyć jakieś ważne źródło, natomiast nie zrozumie nawet, co znaczy „prawda” o przeszłości. Wiktor Szklowski powiedział kiedyś: nie istnieje prawda o kwiatach, istnieje botanika. Tylko od sowieckich uczonych wymaga się „prawdy o kwiatach”. Mówiąc dziś „trzeba pisać prawdę o przeszłości”, chcą powiedzieć tyle, że należy pisać o wszystkich ważnych postaciach historycznych i o wszystkich faktach, niezbędnych dla zrozumienia przeszłości. J. Poliakow stwierdził na przykład, że w większości „ogólnych” podręczników historii (które *nota bene* sam pisał lub redagował) „nie znajdzie się nawet nazwisk wszystkich przewodniczących Rady Komisarzy Ludowych i Rady Ministrów ZSSR, chociaż na przestrzeni ubiegłych siedemdziesięciu lat było ich tylko dziesięciu”.

Dwa wydarzenia historyczne wzbudzały tego lata szczególne zainteresowanie; ich interpretacja pokazuje, że sowieccy historycy nie mogą obejść się bez kłamstwa. Pierwszym wydarzeniem był pakt między Stalinem a Hitlerem w 1939 roku, który otworzył drogę drugiej wojnie światowej. Demonstracje w Rydze, Wilnie i Tallinie 23 sierpnia podkreśliły niespodziewaną aktualność paktu. Demonstranci (po kilka tysięcy ludzi w każdym mieście) chcieli oddać hołd pamięci ofiar represji, jakie w 1940 roku — po włączeniu Nadbałtyki do ZSSR — spadły na tamtejszą ludność. Milicja i KGB nie rozpuściły pochodów, zadowalając się fotografowaniem uczestników. W następnych dniach prasa sowiecka przypisała demonstracje w republikach nadbałtyckich knowaniom zachodnich radiostacji, działających z poduszczenia „służb specjalnych”.

W lipcowym numerze organu KC KPZS ukazał się obszerny artykuł Jaruzelskiego, w którym autor również pośrednio wspominał o pakcie Ribbentrop-Mołotow. Pierwszy sekretarz daje przy tym dowód niemal doskonałego opanowania sztuki eufemizmu: „Posunięciem wojskowo-politycznym ówczesnego kierownictwa, spowodowanym zaistniałą sytuacją, towarzyszyła antyleninowska frazeologia*, sprzeczna z prawem Polski do niezawisłości”. Tak oto Jaruzelski mówi o czwartym rozbiore Polski, dokonanym przez „ówczesne kierownictwo”, tj. Stalina i Hitlera. Dalej Jaruzelski wspomina „błędą ocenę wojny obronnej Polski przeciw agresji hitlerowskiej, wojny uznanej za obustronnie imperialistyczną”. Błąd ten skorygowano wkrótce po jego popełnieniu. Po napaści Hitlera na Związek Sowiecki pisano tak: „Anglo-francusko-amerykańscy i polscy imperialiści oddali naród polski na pastwę najeźdźców i okrutnego ucisku” (W. T. Fomin, *Imperialistyczna agresja przeciw Polsce w 1939 g.*, Moskwa 1952, str. 169). Teraz (ale jeszcze przed *pieriestrojką*) pisze się tak: „Naród polski pierwszy stawiał zbrojny opór agresorom, którzy wywołali drugą wojnę światową. Była to od początku walka sprawiedliwa, wyzwolenicza, antyfaszystowska” (*Wtoraja mirowaja wojna, kratkaja istoria*, Moskwa 1984, str. 43).

Jaruzelski nie powiedział absolutnie niczego nowego, pozwolono mu jednak nazwać decyzje Stalina „błędą oceną” oraz użyć formuлки „antyleninowska frazeologia”.

Sowieccy historycy nie mogą napisać prawdy o pakcie Ribbentrop-Mołotow dlatego, że był on wymierzony zarówno w Polskę, jak i w kraje nadbałtyckie. W przypadku Polski można zważyć winę za „antyleninowską frazeologię” na Stalina, podkreślać różnice między szlachetnym polskim narodem a jego niecnym rządem i tłumaczyć układ między Stalinem a Hitlerem anglo-francusko-amerykańskimi machinacjami. O krajach nadbałtyckich niczego takiego powiedzieć się nie da, skoro zaszła w nich w 1940 roku

* Jaruzelski ma zapewne na myśli słowa Mołotowa o Polsce, „tym pokracznym bękarcie traktatu wersalskiego”.

— jak twierdzi sowiecka historiografia — „rewolucja społeczna”.

W związku z demonstracjami w Nadbałtyce sowieckie gazety wspomniały układ między Moskwą i Berlinem, podpisany w sierpniu 1939 roku, podkreślając, że był to „pakt o nieagresji”. Ani słowem nie wspomina się podpisanych równocześnie tajnych protokołów dotyczących Polski i Nadbałtyki. Nikt też z żadnych prawdy historyków sowieckich nie piśnie słówka o drugim pakcie między Hitlerem a Stalinem, podpisanym 28 września 1939 i zatytułowanym „Umowa o przyjaźni i granicach”. Litewski historyk prof. Rubertas Ziugžda zapewnia, że „w toku pertraktacji w Moskwie Niemcy musiały zrezygnować z pretensji do państw nadbałtyckich i Ukrainy Zachodniej” (*Izwiestia* z 22 sierpnia 1987). Bardzo już niemłody litewski historyk nie może nie wiedzieć, że tajny protokół umowy zmieniał klauzule układu sierpniowego: nowa transakcja przewidywała, że Litwa przypadnie Związkowi Sowieckiemu, natomiast Niemcy dostaną Lublin i część województwa warszawskiego, które według poprzedniego paktu miało przypaść Stalinowi.

Innym wydarzeniem zakazany dla prawdziwych badań historycznych jest kolektywizacja. Jeszcze całkiem niedawno, w 1986 roku, wszystko było jasne: „Leninowski plan uspołecznienia został zrealizowany w polityce powszechnej kolektywizacji, którą partia urzeczywistniła z bezprzykładną odwagą...” (D. I. Ortenberg, *Tie pamiatnyje gody*, Moskwa 1986). W ostatnich czasach spotyka się próby (były już takie w okresie odwilży) oddzielenia „leninowskiego planu uspołecznienia” od kolektywizacji, nazywanej „odstępstwem od leninowskiego planu”. Podobnie jak w latach 1960-tych, przywracaniem prawdy historycznej zajmują się nie historycy, ale pisarze. Opublikowana w piśmie *Don* (nr 1, 2, 3/1987) powieść Borisa Możajewa „Mużiki i baby” (część II) wzbudziła żywe zastrzeżenia ortodoksyjnych myślicieli. Opisując zagładę wsi i lepszej części chłopstwa, Możajew kontynuuje tradycję Tiendriakowa, Załygina, Jaszyna, tworzy jednak szczególną koncepcję polityczną. Członek Akademii Rolniczej W. Tichonow pisze w przedmowie do powieści: „Narodowi przeciwstawia się grupa niedojrzałych społecznie, niewykształconych i nieświadomych skutków swoich działań politycznych awanturników... Fragmenty przemówień Preobrażeńskiego, Kaganowicza są organicznie wplecione w tkankę powieści i pokazują, że ‘na samej górze’ są siły, gorliwie wcielające w życie awanturnicze idee polityczne”. Kolektywizacja opisana jest jako awanturnictwo „wcielone w życie” przez trockistę Preobrażeńskiego oraz Kaganowicza, naznaczonego immanentnym złem z racji pochodzenia. Powieść wzbudziła jednak zastrzeżenia nie z powodu koncepcji, a dlatego, że zbyt realistycznie pokazuje okropności kolektywizacji.

O inicjatorze i organizatorze kolektywizacji, Stalinie, nie wspomina ani Możajew, ani akademik Tichonow, ani doktor nauk historycznych W. Daniłow. W artykule „Przyczyny i nauki kolektywizacji” (*Prawda* z 9 sierpnia 1987) Daniłow, specjalista od dziejów ZSSR, pisze, że 5 stycznia 1930 roku „powzięto uchwałę

o tempie kolektywizacji". W. Tichonow pisze: „Kolektywizację, czyli radykalną społeczną przebudowę wsi, łamiącą wiekowe normy życia chłopstwa, usiłowano zrealizować w kilka dni”. Daniłow pisze: „powziął uchwałę”. W. Tichonow: „usiłowano zrealizować”. Kto „powziął uchwałę” i kto „usiłowano zrealizować”? Nie wiadomo. Za to Daniłow zauważa z zadowoleniem: „W marcu 1930 roku KC WKP(b) podjął zdecydowane środki dla poprawy sytuacji”. Tajemnicze złe siły jak zawsze narobiły szkód, ale na szczęście istniał KC, żeby wszystko naprawić.

Tymczasem członek Biura Politycznego i sekretarz KC KPZS Ligaczow patrzy na przeszłość zupełnie inaczej: „Jeśli chodzi o lata 1930-te, to kraj wybił się wtedy na drugie miejsce w świecie pod względem wysokości produkcji, przeprowadził kolektywizację rolnictwa, wspiał się na niebywałe wyżyny w dziedzinie kultury, szkolnictwa, literatury i sztuki”. Zdaniem Ligaczowa kolektywizacja należy do największych sukcesów władzy sowieckiej.

Kwestia kolektywizacji jest tak aktualna z powodu nieustających dyskusji o konieczności reformy ekonomicznej. Liczne nowe ustawy, dyrektywy, wskazówki, jak umocnić i rozluźnić nie dały na razie żadnych rezultatów. Prasa gospodarcza, w której zabierają głos liczni dyrektorzy przedsiębiorstw, świadczy o tym, że aparat gospodarczy jest w popłochu. Są ustawy, ale brak instrukcji; kiedy wreszcie przychodzą instrukcje, okazują się sprzeczne z ustawą; liczne ustawy przeczą sobie nawzajem. Akademik Abel Aganbegian, jeden z doradców ekonomicznych Gorbaczowa, tak przedstawił „wielki projekt”: „Chcemy zamienić stary mechanizm gospodarczy na inny, w którym planowy rozwój gospodarczy (najważniejsza zasada gospodarki socjalistycznej) i centralizm demokratyczny (najważniejsza leninowska zasada rządzenia) realizowane byłyby w inny sposób i w innych formach” (*Ogoniok* nr 29/1987). Innymi słowy: stare zasady w nowym opakowaniu, lub, jak ktoś gdzieś powiedział, stare wino w nowej beczce. Czy jest to możliwe?

W potoku gazet i czasopism, które dzień w dzień zalewają czytelnika sowieckiego, największe zainteresowanie budzą niespodziewanie „zwolnione” przez cenzurę arcydzieła literatury rosyjskiej (w *Nowym mirze* ukazał się poemat Nikołaja Klujewa „Pogorielszczina”, napisany sześćdziesiąt lat temu) i artykuły kilku ekonomistów.

W poprzednim przeglądzie pisałem o artykule Szmielewa. Niedawno nadszedł z Moskwy stenogram przemówienia, które wygłosił na zebraniu aktywu Komsomołu Uniwersytetu Moskiewskiego ekonomista A. Strielanij, członek kolegium redakcyjnego *Nowego mira*, kierownik działu naukowo-gospodarczego. Strielanij dość otwarcie mówi o obecnej sytuacji w ZSSR. O prasie: „Prasa kłamie od dziesięcioleci, a ludzie mimo to mają do niej pozytywny stosunek, chociaż wszyscy wiedzą, że kłamie... Prasa sama z siebie nie może u nas być prawdziwą. To, co się dzieje, jest wynikiem nowego nastawienia kierownictwa... Potrzebujemy prasy niezależnej od biurokracji partyjnej i aparatu państwowego...”.

W tym miejscu mówcy przerwał okrzyk: „To nie jest możliwe”. Strielanij odparował: „Jeśli chcemy jeść nasz własny chleb, a nie amerykański, musimy mieć niezależną prasę”.

W dalszym ciągu Strielanij mówił o cenzurze, która nadal istnieje, choć w złagodzonej formie. W każdym wydawnictwie siedzi redaktor polityczny, zbrojny w „księgę zapisów” Rady Ministrów.

Odnosnie *pieriestrojki* ekonomista powiedział: przemiany idą teraz z góry. Stopniowe reformy gubią rewolucje. Przepaści nie przeskakuje się na raty. Stoimy nad przepaścią. Wprowadzając po Kronsztadzie NEP Lenin dokonał jednego zdecydowanego skoku. Przy rewolucjach nie należy oglądać się na boki... Stopniowe reformy zgubią Gorbaczowa i *pieriestrojkę*.

Nerwowe i emocjonalne przemówienie Strielanego oddaje atmosferę moskiewskich dyskusji. Ciekawą próbę analizy sytuacji podjął w dwóch artykułach profesor ekonomii na Uniwersytecie Moskiewskim, Gawrił Popow. Prof. Popow podszedł do obecnych wydarzeń jakby z boku. W piśmie *Nauka i żizń* (nr 4/1987) analizuje „z punktu widzenia ekonomisty” (tak brzmi tytuł artykułu) powieść Aleksandra Beka „Nowoje naznaczenie”, napisaną w latach 1960-tych, opublikowaną na Zachodzie dwadzieścia lat temu, a w ZSSR w ubiegłym roku w piśmie *Znamia* (nr 10-11/1987). „Nowoje naznaczenie” opisuje dzieje stalinowskiego ministra Onisimowa, idealnego „żołnierza partii, żołnierza Stalina”. Kiedy w swoim czasie czytałem powieść Beka (opartą na biografii stalinowskiego ministra Tiewosjana), byłem pod wrażeniem uderzającego podobieństwa „żołnierza Stalina” do „żołnierza Hitlera”, ministra wojny Alberta Speera. Zestawienie powieści Beka z pamiętnikami Speera jest bardzo pouczające.

Popow uważa „Nowoje naznaczenie” za doskonałą analizę „mechanizmu rządów opartych przede wszystkim na metodach administracyjnych — Systemu Administracyjnego (SA)”. Powieść przedstawia „idealny System Administracyjny”, w którym człowiek jest „śrubką” (Onisimow jest przykładem takiej idealnej „śrubki”). Idealny system odnosi sukcesy: „Najlepsze czolgi w drugiej wojnie światowej, pierwsza w świecie rakieta kosmiczna, reaktory atomowe, wyrastające na Syberii elektrownie atomowe...”. Ale SA — ciągnie autor — nie jest wolny od niebezpieczeństw: „System wykoślawia osobowość człowieka, rola ludzi... sprowadza się do funkcji śrubek potężnego organizmu państwowego”. Okazuje się, że system nie może się rozwijać, ponieważ każdy naczelnik dysponuje tylko wykonawcami, podobnymi jak on „śrubkami”. AS nie jest dostosowany do innych decyzji niż wola polityczna, a co więcej przywódca systemu są coraz gorszego gatunku. AS nie potrafi sprostać wymogom postępu naukowo-technicznego. Popow zwraca uwagę na fundamentalną cechę AS: ponieważ to Góra decyduje, co należy uważać za postęp naukowo-techniczny i podejmuje subiektywne decyzje, system okazuje się zakładnikiem w rękach zagranicy: słuszne jest zawsze to,

co tam zastosowano. Ekonomista podkreśla, że obowiązkowym, nieuniknionym ogniwem SA jest „pod-system strachu”. W powieści uosabia go Beria. Popow jednak uważa, że błąd bohatera Beka polega na tym, że „utożsamiał SA z jedną jego konkretną formą — ze Stalinem, z Bериą. Zaniechanie tej FORMY Systemu Administracyjnego uznał za początek odejścia od jego ISTOTY”.

Drugi artykuł Popowa ukazał się w piśmie *EKO* (nr 1/1987). Artykuł zatytułowany jest „Fasada i 'kuchnia' wielkiej reformy”. Jak widać z tytułu, tematem artykułu są reformy Aleksandra II, przede wszystkim uwłaszczenie chłopów w 1861 roku. Jak łatwo się domyślić, czytelnik szuka i znajduje analogie do dnia dzisiejszego. Co skłoniło Aleksandra II do reform, zapytuje Popow. I odpowiada: klęska w wojnie (krymskiej — A.K.), obawa przed następnymi klęskami, obawa przed utratą prestiżu”. Można uważać za przypadek, że Ligaczow wyliczył następujące negatywy strony epoki Breżniewa (znalazł w niej także wiele stron pozytywnych): „spadło tempo rozwoju, pogorszyła się dyscyplina, mała międzynarodowy autorytet ZSSR” (*Prawda* z 27 sierpnia 1987). Idea reformy — pisze Popow — polegała na „takim uwłaszczeniu chłopstwa, które pozwoliłoby zachować cara, ustrój monarchiczny i aparat urzędniczy”. Autor podkreśla, że „z uwagi na główne rysy samodzierżawia reforma prawa pańszczyźnianego mogła być przeprowadzona tylko pod czynnym przewodem imperatora”. Szczególny charakter reformy z 1861 roku polega zdaniem Popowa na tym, że „nie stała się ona reformą kadr, ograniczając się zasadniczo do przesunięcia wewnątrz aparatu”. Reformy Piotra I doprowadziły do pełnej wymiany kadr.

Wreszcie Popow pisze o roli anonimowych ekspertów, którzy przygotowywali dokumenty do reformy i przekazywali gotowe materiały urzędnikom. „Dlaczego eksperci zgodzili się na taką rolę? — pyta ekonomista. — A dlatego, że sami nie widzieli żadnego realnego wariantu, którym można by zamienić prawo pańszczyźniane, poza wariantem, który urzeczywistniał car. Wydało im się więc, że wybór jest tylko taki: albo pisać przemówienia wielmożom, albo w ogóle nie uczestniczyć w tej pracy”. Istniała, owszem, trzecia droga — droga Czernyszewskiego i Herzena. Autor artykułu uważa, że eksperci uznali ją albo za niedopuszczalną, albo za praktycznie nierealną. W efekcie samodzierżawie przetrwało jeszcze ponad pół wieku.

Pieriestrojka, reforma — jakkolwiek byśmy nazwali proces, który służy generalnemu sekretarzowi do przejęcia pełnej władzy, chodzi w nim przede wszystkim właśnie o władzę. „Przetasowanie aparatu” przy zachowaniu starych kadr idzie opornie. W wielu przypadkach, zwłaszcza kiedy chodzi o republiki peryferyjne, przesunięcia, dymisje, nominacje i istota konfliktów docierają — przynajmniej częściowo — do wiadomości publicznej. Notatka w *Prawdzie* z 11 sierpnia 1987 zatytułowana „Żywiej, żywiej” poświęcona jest pracom plenum moskiewskiego komitetu partyjnego. Sensacyjny charakter opublikowanej informacji nie zwrócił moim zdaniem dostatecznej uwagi. Notatka informowała o fak-

cie, który wydaje mi się unikatem w całej historii ZSSR: „Główne przemówienie, które wygłosił zastępca członka Biura Politycznego KC KPZS, pierwszy sekretarz Moskiewskiego Komitetu KPZS B. N. Jelcyn, zostało za jednomyślną zgodą zebranych przerwane ostrą i rzeczową dyskusją i wznowione dopiero po wystąpieniach wszystkich, którzy uważali za stosowne wystąpić”. Jest to zdarzenie niebywałe — przerwano przemówienie Jelcyna, zebrani członkowie plenum skrytykowali swojego sekretarza, który dopiero potem dokończył, co miał do powiedzenia. Tekst notatki każe się domyślać, że Jelcyna krytykowano z jednej strony za to, że zbyt okrutnie poczynił sobie ze „swoimi”, a z drugiej strony za zbyt łagodny stosunek do „piany demagogii społecznej”. Jeden z mówców pouczają Jelcyna: „Trzeba się pozbyć tego metalu w głosie”, „tego wojskowego stylu pracy”, i „przejsć na rozumną pracę umysłową, nauczyć się słuchać i przekonywać”. W tym samym czasie „lud roboczy Moskwy” wyraził „słuszne oburzenie”, że stolica stała się „miejscem spędów ekstremistów, którzy wzniecają wrogość między narodowościami”. Moskwićzanie — powiedziano na plenum — „przypominają, że *glasnost* nie oznacza, że wszystko wolno”.

Borysowi Jelcynowi jest co zarzucać. Z nie wiadomo jakich powodów dopuszczono w Moskwie w ostatnich miesiącach do demonstracji żydowskich *otkazników*, stowarzyszenia „Pamięć” i krymskich Tatarów. Reakcja na te demonstracje była różna, faktem jednak jest, że się odbyły. Pierwszym skutkiem plenum była uchwała Mossowietu z 1 września br., zakazująca demonstracji w centrum Moskwy. Nie wiadomo jeszcze, jakie skutki będzie miało plenum dla pozycji Jelcyna.

W numerze 32 *Literaturnoj gazety* ukazał się satyryczny felieton A. Arkanowa „Salomon i świadomość”, pierwsza i niewątpliwie bardzo zjadliwa satyra na Gorbaczowa. Osądzicie Państwo sami. Oto już ponad czterdzieści lat planeta karłów znajduje się pod kontrolą Ziemi. Jedenastu namiestników jeden za drugim jeździło na tę planetę i wracali nie uporawszy się z zadaniem. „Koniec końców na Ziemi zbudowano elektronicznego namiestnika, wbudowano w niego bezgraniczną mądrość, zabójczą logikę, umiejętność nieomyślnej analizy i globalnej syntezy, za wszystkie właściwości nazwano go biblijnym imieniem 'Salomon' i odpalono na dziwną planetkę”.

Grunt to rozbudzić „inicjatywę i samoświadomość”, uznał „Salomon” i zabrał się do dzieła. Budził i budził, ale bez skutku. Któregoś dnia „Salomon” zwołał naczelników i oznajmił im, że nie lubi owacji. „Nie lubi owacji!... Nie lubi owacji!” — z zachwytem zakrzyknęli naczelnicy i zwołał spontaniczne zebranie. — „Nie lu-bi o-wac-ji! Nie lu-bi o-wac-ji! — skandowali wszyscy” Cokolwiek powiedział „Salomon”, zebrani podejmowali chórem i z zachwytem powtarzali. Wreszcie „Salomona” trafiła „nagła i niespodziewana...”. Kto nastał po nim i co było potem, nie wiadomo, pisze autor w finale opowiadania.

Nie chcąc kończyć tak minorową nutą, zacytuję wiersz jednego z najśłynniejszych „prawdziwie rosyjskich” poetów, Stanisława Kuniajewa, z którego wynika, że wszystko będzie dobrze. Wiersz zaczyna się tak: „Dobrze, że z nas północny lud / zgnilizny wróg to śnieg i chłód...”. Następnie poeta przechodzi do tonacji majorowej i dziękuje losowi: „Nie darmo w zwały lodu prze rosyjska karta: mróz równie straszny jest dla aids, co i dla Bonaparta”. Czego jeszcze się bać, jeśli zwyciężymy aids i Bonapartów?!

Adam KRUCZEK

8 września 1987

Kronika niemiecka

W krajowych podręcznikach szkolnych brak osobnego rozdziału poświęconego Powstaniu Warszawskiemu; zaledwie 2-3 kartki ograniczają się do politycznej interpretacji Powstania (o zabarwieniu negatywnym). Kazimierz Koźniowski w dyskusji telewizyjnej na ten temat: „Co to kogo obchodzi, co było 43 lata temu? Nie powinno się w ogóle tej rocznicy przypominać!”. W teście audycji Maria Fic (pedagog): „Wystarczy, iż absolwent szkoły średniej będzie wiedział, że było Powstanie Warszawskie i że było ono w Warszawie”. Goście *Telewizji Polskiej*, do których należał również Mikołaj Kozakiewicz — przy *votum separatum* Janusza Przymanowskiego — zaproponowali skreślenie tematyki Powstania ze szkolnego programu historii. ■ Wydział konsularny ambasady RFN w Warszawie przewiduje, iż do końca br. wyda ok. 500 tys. wiz obywatelom PRL. Większość Polaków jedzie do Niemiec lub Zachodnich z zamiarem podjęcia pracy „na czarno”, odwiedziny krewnych (w lipcu br. 1.149 osób) bądź zwraca się do władz z prośbą o azyl; policja zachodnioniemiecka przypuszcza, że kilkanaście tysięcy Polaków przebywa w RFN nielegalnie (bez zezwolenia na pobyt i zatem zameldowania w miejscu zamieszkania). Do RFN przybywają ostatnio obywatele polscy, którzy byli wielokrotnie karani za przestępstwa kryminalne. ■ W ostatnich latach do RFN wyjeżdżają przede wszystkim ludzie młodzi, wykształceni, o wysokich kwalifikacjach zawodowych. Według badań krajowych emigracja z pobudek narodowościowych obejmuje ok. 9,4 % wyjeżdżających, rodzinnych — 16 %, 25,5 % emigrujących pragnie poprawy warunków ekonomicznych. ■ Poznański Teatr Nowy występował w Monachium ze spektaklem *Modlitwa chorego przed nocą* (dyrekcja: Izabella Cywińska; reżyseria: Janusz Cywiński; muzyka: J. Satanowski). Spektakl przedstawia problem egzystencjalny w połączeniu z dylematem moralnych rozstrzygnięć w społecznym i historycznym kontekście. ■ *Die Mannequins und andere Erzählungen* (Manekiny i inne opowiadania) nosi tytuł zbioru opowiadań Brunona Schulza wydanego przez Jerzego Jarzębskiego we frankfurckim Suhrkamp-Verlag. Na niemiecki przełożył Josef Hahn. Obszerne i życzliwe omówienie Heralda Hartunga opublikowała *Frankfurter Allgemeine Zeitung*.

■ W Polsce przebywała oficjalna delegacja *Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP)* z jej przewodniczącym, Herbertem Miessem. Delegację przyjął generał Wojciech Jaruzelski. *DKP* liczy ok. 30 tys. członków; nie odgrywa żadnej roli w życiu politycznym RFN; wydaje tygodnik *Unsere Zeit*, który jest głównym źródłem informacji o Niemczech Zachodnich dla PRL-owskich korespondentów w Bonn, Eugeniusza Guza (*PAP*) i Daniela Lulińskiego. *DKP* istnieje dzięki pomocy finansowej reżymu wschodnioniemieckiego. ■ 1 mln DM otrzyma polskie rzemiosło z frankfurckiego *Deutsche Bank*. Kredyt umożliwi zakup maszyn, urządzeń i materiałów, niezbędnych do uruchomienia produkcji eksportowej. M.in. sfinansowany zostanie import urządzeń do formowania trocin w brykiety, których odbiorcami będą Austria i RFN. ■ *Wiersze suchych łez* — taki jest tytuł recenzji Tadeusza Nowakowskiego we *Frankfurter Allgemeine* ze zbioru wierszy Tadeusza Różewicza pt. *Überblendungen (Przyciemnienia)*, które ukazały się nakładem *Carl Hanser Verlag* (Monachium) w przekładzie Petera Lachmanna. Wybór liryki Różewicza zawiera 51 wierszy z lat 1955-1983. ■ Tegorocznym stypendystą *Towarzystwa Krzewienia Sztuki Współczesnej* w mieście Goslar (Dolna Saksonia) został Zygmunt Januszewski. Jest on znanym karykaturzystą, mieszka stale w Warszawie, w RFN zwrócił na siebie uwagę pracami drukowanymi w hamburskim tygodniku *Die Zeit* oraz udziałem w licznych wystawach. ■ Ryszard Karski (ur. w 1926 r.), b. prezes *Polskiej Izby Handlu Zagranicznego*, został mianowany nowym ambasadorem PRL w Bonn. Karski był w latach 1963-1966 zastępcą szefa polskiego przedstawicielstwa handlowego we Frankfurcie n/Menem, a w latach 1973-1978 ambasadorem PRL w Austrii. Ukończył *Politechnikę Warszawską* (1956). ■ Sławomir Mrozek otrzymał nagrodę im. *Franza Kafki*, przyznaną co dwa lata przez władze miasta Klosterneuburg (wspólnie z zachodnioniemieckimi fundatorami), gdzie zmarł autor *Zamku*, *Towarzystwo* jego imienia oraz *Stowarzyszenie Kultury i Sztuki Dolnej Austrii*. ■ W 1988 roku ponad 800 uczniów polskich techników rolniczych wyjedzie na 5-tygodniowe praktyki do NRD. Natomiast w polskich przedsiębiorstwach ogrodniczych odbywać będą praktyki studenci inżynierskich szkół z NRD. Z kolei w *Wyszej Szkole* w Miśni zorganizowane zostanie szkolenie przewodniczących rolniczych spółdzielni produkcyjnych i dyrektorów PGR-ów z Polski, a w Polsce odbędzie się seminarium dla dyrektorów wojewódzkich ośrodków postępu rolniczego i odpowiednich placówek z NRD. ■ Jürgen Weichardt z Oldenburga (Dolna Saksonia) ofiarował *Muzeum Narodowemu* w Krakowie kolekcję prac współczesnych grafików i malarzy RFN. Dar obejmuje 202 dzieł 85 artystów; są wśród nich rysunki, kolaże i malarstwo — wszystko z pracowni najwyżej cenionych artystów tego kraju. Wystawa kolekcji Weichardta otwarta zostanie w Krakowie w czerwcu 1988 roku. ■ Leonie Ossowski, znana pisarka niemiecka pochodząca ze Śląska, czytała w *Abendakademie* w Mannheim fragmenty swojej powieści pt. *Wolfsbeeren (Wilcze jagody)*; ciekawe zdarzenia z historii Śląska z lat 1918-1945. ■ Polacy chodzą zaroiści: „Nawet żołnierze nie mogą używać kremu do golenia” (*Życie Warszawy*). Minister handlu wewnętrznego Edward Grzywa zwrócił się z pilnym listem do ministra przemysłu chemicznego NRD oraz do prezesa *Asocjacji Przemysłu Biotechnicznego* Bułgarii o sprzedaż 400 ton kremów do golenia. Sytuacji nie ratuje planowany import 250 ton kremu z Niemiec Wschodnich. ■ Wydobycie węgla brunatnego w NRD systematycznie rośnie. W 1981 wyniosło ono 285 mln ton, w roku 1990 ma osiągnąć 330-335 mln ton. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* drukuje w odcinkach powieść Andrzeja Szczypiorskiego pt. *Die schöne Frau Seidenmann* (Początek, Instytut Literacki, Paryż 1986), która ukaże się nakładem *Diogenes Verlag* (Zurych 1988) w przekładzie Klause Staemmlera. ■ Z programu wrześniowego *Niezależnej Polskiej TV* (kablowej) w Berlinie: sylwetka Andrzeja Więckowskiego, wydawcy miesięcznika *Archipelag*; prezentacja kaset paryskiego *Video-Kontaktu*; w serii

Rozmowy z polskimi pisarzami producenci polskiego magazynu TV, Ewa Ślaska i Grzegorz Ziętkiewicz, przedstawia sylwetkę Adama Zagajewskiego; dalej reklama wydanej przez poznańską podziemną Agencję Fonograficzną ZAKRES kasety z nagraniem wieczoru Jacka Fedorowicza. ■ **Federalny Urząd Ochrony Konstytucji** (Kolonia) odnotowuje wzrost liczby członków różnych organizacji neonazistowskich (obecnie ok. 7 tys. członków). Prawdopodobnie dalszych ok. 23 tys. osób można zaliczyć do zdeklarowanej rzeszy pravicowych radykałów. ■ Herbert Czaja, przewodniczący Związku Wypędzonych (BdV), chadecki poseł do Bundestagu, przeprawił w wyborach do 20-osobowego zarządu krajowego CDU Badenii-Wirtembergii (24 miejsce spośród 25 kandydatów). ■ W Bonn zmarł Hans Hellmuth Ruete (72 lat), w okresie 1973-1977 ambasador RFN w Warszawie, zręczny dyplomata zaangażowany dla sprawy poprawy stosunków niemiecko-polskich. Utrzymywał kontakty z polskimi emigrantami, którzy działali na niwie pojednania polsko-niemieckiego. ■ Dzięki zabiegom Karla Dedeciusa Suhrkamp Verlag wydał wybór opowiadań Kornela Filipowicza pt. *Der Kater im nassen Gras* (Kot w mokrej trawie). Przekłóżył Klaus Staemmler. ■ **Galeria Studio im. St. Ignacego Witkiewicza** w Warszawie wystawiła rysunki i kolaże Heleny Bohle-Szackiej (Berlin Zachodni). **Polskie Radio** przeprowadziło z artystką dwa wywiady i życzliwie omówiło wystawę. Po opuszczeniu Polski po 1968 roku Helena Bohle-Szacka miała szesnaście indywidualnych wystaw, m.in. w Berlinie, Dortmundzie, Oldenburgu i Paryżu. Od piętnastu lat jest docentem na zachodniobermberskiej *Lette Schule*, gdzie uczy kompozycji graficznej oraz komunikacji wizualnej. ■ W warszawskim Urzędzie do Spraw Wyznań złożył wizytę dr Dieter Bach, dyrektor Akademii Ewangelickiej w Muelheim Kościoła ewangelickiego w Nadrenii. W listopadzie odbędzie się w Muelheim kolejne sympozjum, organizowane przez Polską Radę Ekumeniczną i Kościół ewangelicki Nadrenii. „Twardym rdzeniem” polskiej delegacji mają być: Wilhelm Szewczyk, Marian Podkowiński, Edmund Męclewski, Daniel Luliński i Eugeniusz Guz. ■ Dobiegła końca tegoroczna wakacyjna wymiana dzieci i młodzieży Polski i NRD. Zgodnie z dokładnymi ustaleniami podczas roboczo-wakacji odwiedziło NRD 165 tys. polskich dzieci i młodzieży („zakwalifikowanych” przez specjalne komisje), zaś w Polsce przebywało 150 tys. uczniów i studentów z NRD. Niemcy zarabiali w Polsce przeciętnie 6-7 tys. złotych, natomiast Polacy w NRD — od 200 do 300 marek. Dane nie świadczą o rentowności tego rodzaju wymiany młodzieży, np. PRL dopłaca do interesu ok. 900 mln zł. Do tego dochodzą pieniądze z funduszy województw, w których organizowane są obozy. ■ Po kilkuletniej przerwie została wznowiona wymiana urlopowa między związkowcami PRL i NRD. W bież. roku 70 tys. dobranych polskich związkowców wypoczywało w NRD, zaś do Polski przyjechała taka sama liczba związkowców NRD. ■ W budynku *Polonicum* (Uniwersytet w Moguncji), dr Andrzej Sulikowski (Uniwersytet Jagielloński) mówił o sytuacji literatury oraz kultury polskiej po *Solidarności*; przedstawił współdziałanie różnych obiegów literatury i informacji (niezależny, cenzurowany, emigracyjny), zwracając uwagę na zjawisko trwałego wniknięcia literatury nieocenzurowanej do humanistyki. Dr Sulikowski zwrócił uwagę, iż ze względu na rzetelność naukową trzeba koniecznie uwzględnić dorobek niezależnych ośrodków w badaniach historyczno-literackich i tym samym w dydaktyce. Prelegent podkreślił stosunkowo dużą niezależność naukową w ośrodkach uniwersyteckich, a szczególnie na *Uniwersytecie Jagiellońskim*, za kadencji rektora prof. Józefa Gierowskiego. Mówca zaznaczył, że przez dwa lata mógł w wykładzie monograficznym omawiać literaturę emigracyjną, uwzględniając problematykę stosunków polsko-sowieckich (bez najmniejszej autocenzury). Dr Sulikowski opisał też funkcjonowanie instytucji cenzury. Do ciekawego spotkania doszło z inicjatywy Marii Muskały, lektorki języka polskiego na *Uniwersytecie w Moguncji*. ■ 2 stycznia 1985 roku władze NRD ogłosiły rozszerzenie strefy wód terytorialnych

z 3 do 12 mil morskich. Nowa linia demarkacyjna obcina 9 mil kanału żeglugowego (pogłębnionego przez Polaków w latach 70-tych) portu szczyńskiego. Wschodni Berlin nie ograniczył się do formalnej aneksji. Żegluga na kanale nie została wprawdzie ograniczona, ale wydano zakaz kotwiczenia na redzie. Polskie statki rybackie i sportowe jachty są przepędzane przez NRD-owskie jednostki marynarki wojennej. Niemcy Wschodnie patrolują zagarnięty jednostronnie rejon wód terytorialnych również przy pomocy helikopterów. Kotwiczące statki handlowe i jachty są przeszukiwane. Wskutek ogólnej niepewności co do faktycznej przynależności wodnego korytarza do Swinoujścia i Szczecina w latach 1985-1986 port w Szczecinie utracił jedną czwartą swych obrotów, ok. 6 mln ton utraconych przeładunków. Podziemne pismo *Obraz*: „Od ponad dwóch lat tor wodny nie jest pogłębiany i grozi mu zamulenie. Za kilka lat Swinoujście przestanie być portem dla dużych statków, a jego ładunki przejmie szybko rozbudowujący się Rostock. (...) Poszerzając pas wód terytorialnych NRD wzięła pod swoją jurysdykcję tylko tor wodny do Swinoujścia, natomiast nie anektowała ani mili toru wodnego do portów RFN — Travemünde i Lubeki, mimo, iż odległość tej drogi wodnej od brzegów NRD wynosi mniej niż 12 mil morskich”. W latach 1985-1986 patrolowce NRD zaaresztowały ponad 70 polskich jachtów. Wiele z nich uszkodzono „nieumyślnie” w trakcie „zatrzymania i holowania do portów NRD, dotyczy to także statków rybackich” (pisze *Baltimore Sun*). Rzecznik rządu PRL Jerzy Urban jeszcze w marcu i kwietniu (po poruszeniu tej sprawy na łamach *Kultury*) zaprzeczał, jakoby na wodach na północ od Swinoujścia w ogóle doszło do jakichkolwiek incydentów. Dopiero w połowie sierpnia bież. roku Urban przyznał, że istnieje polsko-NRD-owski spór o korytarz wodny. **Warszawska Polityka** ostrożnie przebiega o projekcie stworzenia w tym rejonie strefy wolnocłowej. Z prawego punktu widzenia polsko-NRD-owska granica na Bałtyku nie została wyraźnie wytyczona (w 1951 roku we Frankfurcie n/Odrą opracowano jedynie dość płynny traktat o ustaleniu granicy w oparciu o obliczenie kąta, pod którym granica lądowa spotykała się z Bałtykiem). ■ Bońska centrala CDU już po raz drugi udostępniła swoje pomieszczenia na wystawę fotograficzną, obrazującą opór społeczeństwa polskiego i działania opozycyjne od 1970 roku po dzień dzisiejszy. Andrzej Wirga przedstawił program *Solidarności Walczącej*, obchodzącej swoje pięciolecie, zasady działania i osiągnięcia organizacji, która często uważana jest mylnie za radykalny odłam *Solidarności*, gdy tymczasem nie jest ona związkiem zawodowym a organizacją polityczną, za cel nadrzędny stawiającą sobie walkę o wolną i niezależną Polskę. Andrzej Wirga zaprezentował również list sympatyków *Solidarności Walczącej* w Związku Sowieckim do jej przewodniczącego, Kornela Morawieckiego. Poeta z Wrocławia, Lothar Herbst, prezes Oddziału Wrocławskiego rozwiązanego ZLP omówił rozwój niezależnej kultury, wydawnictw podziemnych i zwrócił uwagę na rozmiary działań opozycyjnych, których nie można już dziś łączyć tylko z *Solidarnością*. Po konferencji minister federalny pracy i spraw socjalnych, wiceprzewodniczący CDU dr Norbert Blüm otworzył wystawę obrazującą polski ruch opozycyjny, przygotowaną z materiałów *Niezależnej Agencji Fotograficznej DEMENTI*, działającej we Wrocławiu we współpracy z *Solidarnością Walczącą*. Przyjmując odznakę *Solidarności* minister Blüm powiedział: „Proszę traktować tę plaketkę w mojej klapie jako otwarte poparcie dla *Solidarności*, dla robotniczego ruchu robotniczego i wszystkich członków niezależnego związku. *Solidarność* w Niemczech nie zostanie zapomniana”.

Andrzej J. CHILECKI

* Szkoda, że *Wolna Europa* nie dała w tym dniu urlopu Jackowi Kaczmarskiemu, którego występ był zapowiedziany w programie wieczornym w dniu otwarcia wystawy.

Kronika ukraińska

W sierpniu 1987 roku *Literaturna Ukraina*, organ Związku Pisarzy Ukrainy, opublikowała list siedmiu pisarzy ukraińskich skierowany do Rady Ministrów ZSSR, w którym autorzy wzywają do zaniechania budowy elektrowni atomowej nieopodal Czechrynia na Czerkaszczyźnie. Pisarze motywują swoje stanowisko nie tylko troską o życie mieszkańców tego regionu, ale również względami narodowymi. Po wzniesieniu elektrowni Czechryń, dawna stolica Bohdana Chmielnickiego, znalazłaby się w strefie zamkniętej i nie można byłoby już odwiedzać miasta związanego z historią ukraińskich walk narodowowyzwoleńczych. ■ W sierpniu 1987 roku zakończył się proces byłego kierownictwa elektrowni atomowej w Czarnobylu. Rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Były dyrektor W. Briuchanow został skazany na 15 lat, zaś główny inspektor i jego asystent otrzymali po 10 lat obozu; trzy dalsze wyroki wyniosły: 5, 3 i 2 lata obozu. Dookoła Czarnobyla w promieniu 3 km ziemia zasypana jest piaskiem. 27 najbliższych miejscowości nigdy już będzie nadawało się do zamieszkania, natomiast do pozostałych ludzie będą mogli powrócić za 10-15 lat. Dla uciekinierów buduje się obecnie ok. 52 nowych osiedli. Na chorobę popromienną zmarł reżyser W. Szewczenko, autor filmu „Czarnobyl — kronika trudnych dni”. Film kręcono w okresie maj-sierpień 1986 roku, ale wyświetlono go publicznie dopiero w maju bież. roku. Dwaj operatorzy Szewczenki nadal przebywają w szpitalu. ■ Na międzynarodowym kongresie w Wiesbaden dr Fritz Kohlman ujawnił, że w grupie badanych przez niego 1.000 dzieci w wieku od 9 miesięcy do lat 16 z okolic Frankfurtu (ponad tysiąc km od Czarnobyla) średnia dawką napromieniowania w pierwszych tygodniach po katastrofie wyniosła 100-200 miliremów, tzn. była 10-20-krotnie większa od napromieniowania wywołanego jednym zdjęciem rentgenowskim. ■ Władysław Czornowil ogłosił w Moskwie list otwarty do Gorbaczowa, w którym domaga się likwidacji białych plam w historii Ukrainy poprzez opublikowanie prac proskrybowanych pisarzy, artystów i naukowców, zezwolenia na zorganizowanie partii opozycyjnej na Ukrainie oraz na wznowienie *Ukrajinskocho Visnyka*. Mimo braku odpowiedzi Czornowil opublikował nowy *Visnyk* w obiegu niezależnym. Pierwszy *Visnyk* ukazywał się w latach 1968-1972; na Zachodzie znanych jest tylko 7 numerów, ale ukazało się ich prawdopodobnie co najmniej 9. Pierwszym redaktorem *Visnyka* był właśnie Czornowil, za co skazano go w 1972 roku na 6 lat obozu pracy, a następnie, już na zsyłce, dołożono jeszcze 5 lat. W 1980 roku skazano kolejnych wydawców *Visnyka*: Ołeksandra i Witalija Szewczenków oraz Stepana Chmarę na kary od 5 do 7 lat obozu pracy. Obecnie wszyscy trzej są już na wolności. ■ 12 sierpnia 1987 roku Jospin Terelia, przewodniczący Komitetu Centralnego Katolików Ukraińskich, usiłował przekazać w Moskwie do Rady Najwyższej ZSSR następujące oświadczenie: „Do Ojca Świętego Jana Pawła II, Papieża Rzymskiego. My niżej podpisani, biskupi, księża, zakonnicy, zakonnice i wierni Kościoła katolickiego na Ukrainie, oświadczamy, że w związku z przebudową w ZSSR oraz korzystniejszymi warunkami, które obecnie powstały, a także w związku z jubileuszem tysiąclecia chrztu Ukrainy, uważamy dalsze przebywanie w podziemiu za niecelowe i dlatego prosimy Waszą Świątobliwość o sprzyjanie wszelkimi możliwymi sposobami sprawie legalizacji ukraińskiego Kościoła katolickiego w ZSSR. Jednocześnie zwracamy się za pośrednictwem Waszej Świątobliwości do rządu ZSSR z naszym oświadczeniem o wyjściu

z podziemia pewnej części ukraińskiego Kościoła katolickiego. Dnia 4 sierpnia roku Pańskiego 1987 w porozumieniu i z błogosławieństwem innych biskupów katolickich na Ukrainie podpisujemy to oświadczenie. Biskupi: Pawło Wasyliuk i Iwan Semedi; księża: Hryhory Budzynskij, Mychajło Hawryliw, Meletij Małynycz, Petro Zeleniuk, Iwan Senkiw, Taras Senkiw, Wołodymyr Wjityszyn, Pawło Madiar, Myron Beskid, 30 zakonników i zakonnic oraz 174 wiernych”. ■ W tym samym czasie Jospin Terelia w imieniu Komitetu Centralnego Katolików Ukraińskich oraz Stefania Petrasz-Siczko, ksiądz Hawryliw i ojciec Dionysij w imieniu Grupy Inicjatywnej na rzecz obrony praw wiernych i Kościoła na Ukrainie, wystosowali do M. Gorbaczowa list, w którym zwracają się o legalizację Kościoła grekokatolickiego, powołując się na politykę *glasnosti* i *periestrojki*. Piszą oni: „Budzi się teraz w nas nadzieja, że nowe kierownictwo kraju chce podnieść nasze społeczeństwo nie tylko pod względem ekonomicznym, ale również pod względem kulturalnym i moralnym”. Według autorów listu państwo może wyjść na przeciw sprawie odrodzenia moralnego bez narażania swoich interesów i dlatego proponują oni w tej sferze współpracę, zastrzegając: „My, katolicy obrządku wschodniego, nie reprezentujemy żadnej siły ani kierunku politycznego. Naszym głównym celem jest życie zgodne z zasadami Ewangelii, oddając Bogu co boskie, a cesarzowi co cesarskie”. ■ W roku bieżącym wydano już 8 numerów (ostatni jest 23) *Kroniki Kościoła katolickiego na Ukrainie*. W dużej części poświęcona jest ona dyskusji z oficjalną prasą, prowadzącą kampanię przeciw legalizacji Kościoła grekokatolickiego. Ciekawe, że władze zastanawiają się interesem rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, która „miałaby za złe rządowi decyzję o legalizacji”. Unici żądają natomiast nie tylko uznania postanowień tzw. Synodu lwowskiego z 1946 roku za niebyłe, jak to miało miejsce w Czechosłowacji w 1968 roku, ale także oficjalnych przeprosin i odszkodowań ze strony rządu ZSSR i Cerkwi rosyjskiej. ■ Lwowski mieszczyk literacki *Żowteń* (*Październik*) opublikował artykuł F. Bratyszana pt. „Ścieżki do źródeł”, w którym autor domaga się wydania pomników ukraińskiego piśmiennictwa historyczno-politycznego począwszy od kronik, a skończywszy na gazetach z XIX-XX wieku. ■ Jurij Jelczenko, nowy sekretarz KPU d/s ideologii, na zebraniu kijowskiej organizacji partyjnej Związku Pisarzy Ukrainy czynił mgliste obietnice wydania prac, które „z różnych przyczyn od długiego czasu nie były wydawane” oraz obiecywał rozwiązać kwestię opublikowania niektórych utworów literackich nacjonal-bolszewika M. Chwyłowocho oraz lewicowego socjaldemokraty W. Wynyzenka. Przyrzekł też wyremontowanie ukraińskich pomników architektury; na 4.500 takich obiektów w całej republice, 400 jest uszkodzonych a 700 znajduje się w stanie niezadowalającym. ■ *Radjańska Ukrajina* oraz *Kultura i Żyttia* zamieściły obszerne artykuły na temat nieoficjalnych grup młodzieżowych na Ukrainie. ■ W dniach 15-16 maja br. odbył się zjazd nauczycieli USSR, na którym I sekretarz KPU Szecherbički podkreślił konieczność polepszenia stanu nauczania zarówno języka rosyjskiego, jak też ukraińskiego. ■ Radio Kijów podało, że ludność Ukrainy liczy obecnie 51 mln osób, z czego 75 % stanowią Ukraińcy (w 1979 roku — 73,6 %). ■ Główną platformą zmagania o „przebudowę” na Ukrainie jest walka o zmianę statusu szkolnictwa ukraińskiego, którego obecny stan jest katastrofalny. Szkoły z ukraińskim językiem wykładowym stanowią wprawdzie 75,5 % wszystkich szkół republiki (utrakwistyczne — 2,5 %, rosyjskie — 21,7 %), ale w stolicach *oblasti* (województw) i w Kijowie szkoły ukraińskie stanowią tylko 16 % (utrakwistyczne — 12 %, rosyjskie 72 %). Do szkół ukraińskich uczęszcza jedynie 50,5 % uczniów, do rosyjskich — 48,7 %. W Kijowie, gdzie Rosjanie stanowią 22 % ludności, do szkół ukraińskich uczęszcza tylko 27 % uczniów. Ilość szkół średnich z ukraińskim językiem wykładowym przewyższa liczbę rosyjskich odpowiedników (z wyjątkiem Połtawy: 19 do 16) jedynie w stolicach *oblasti*, które przed wojną wchodziły w skład

państwa polskiego lub Czechosłowacji: we Lwowie (66 do 26), Tarnopolu (20 do 3), Stanisławowie (18 do 6), Równem (15 do 9) i w Użhorodzie (12 do 5). Rodzice masowo posyłają swe dzieci do szkół rosyjskich i zwalniają je z obowiązku nauki języka ukraińskiego (4 % uczniów już zwolniono). ■ Na posiedzeniu plenarnym Rady ZPU D. Pawlyczko wyraził przypuszczenie, że język ukraiński „przeżyje prawdopodobnie tylko w Kanadzie” i oskarżył aparat władzy ZSSR o „obojetność wobec języka ojczystego”. Autor „Soboru” Ołeks Honczar stwierdził zaś, iż istnieje niebezpieczeństwo przekształcenia się narodu ukraińskiego w „ludność Południowej Rosji”. Roman Kupeczyński omawiając na łamach *Suczasnosti* (nr 7-8/1987) problematykę językową, postawił za przykład Ukraincom społeczeństwo alternatywne „bratniej Polski”. Radził też, by Ukraińcy zaczęli budować niezależność, by mówili wyłącznie po ukraińsku i odmawiali używania języka rosyjskiego, zwłaszcza w miejscach publicznych: w pracy, na ulicy, w sklepach i urzędach. ■ W lipcu 1987 roku zwolniono ze specjalnego obozu w Kuczino Mykołę Horynia, literata, członka ukraińskiej Grupy Helsińskiej. M. Horyń należy do pokolenia tzw. *shestidesiatnykiv*; swój pierwszy wyrok otrzymał w 1965 roku — 7 lat obozu, drugi w 1982 roku — 10 lat obozu plus 5 lat zsyłki. ■ Zwolniono z obozu Kłyma Semeniuka, skazanego w 1984 roku na 7 lat (poprzednio więziony w latach 1952-1956 i 1958-1961) za napisanie „Posłania do robotników świata” i i współpracę z Wasylem Stusem. ■ Aresztowano grupę baptystów, m.in. Iwana Korotyca z Sum i Wasyla Hrycenkę z Połtawy. ■ Według Anatolija Koriagina w roku 1986 w szpitalach psychiatrycznych przetrzymywano 173 osoby z powodów politycznych. ■ Ludność wsi Hlybne i Nowo-Dmytriwskie w *oblasti* sumskiej wzięła udział w głosowaniu do Rady Najwyższej ZSSR 21 czerwca br. dopiero po wydaniu 1 kg cukru na osobę. ■ W ZSSR jest 300 tys. *magnetowidów*. Aparat produkcji japońskiej wraz z przystawką kosztuje na czarnym rynku 3 tys. rubli, zaś jedna kasetka z filmem zachodnim — 500 rubli. Produkcja sowieckich *magnetowidów* wynosi 20 tys. sztuk rocznie, ale co 4-ty aparat jest niesprawny. Kasety z sowieckimi filmami kosztują 80-100 rubli. W Kijowie otworzono jeden oficjalny videoklub, ale wiadomo, że działa wiele tajnych wypożyczalni. ■ W lipcu bież. roku zwolniono premiera Ukrainy i 7 członków Rady Ministrów, odszedł też republikański szef KGB. Sądzi się, że następcą Szczerbickiego zostanie Fedor Morhun, lat 63, I sekretarz *oblasti* połtawskiej, od 1976 roku członek KC KPZS. Ostatnio Morhun wypowiadał się za decentralizacją gospodarki i reformami Gorbaczowa. ■ Nie można otworzyć konsulatu USA w Kijowie, gdyż w mury jego budynku, podobnie jak w nowej ambasadzie w Moskwie, wmurowano urządzenia podsłuchowe. ■ W dniach 18-26 czerwca miała miejsce czwarta podróż pasterska do Polski arcybiskupa Myrosława Marusyna, sekretarza watykańskiej Kongregacji d/s Kościołów Wschodnich. Obecnie w Polsce wśród 400 tysięcy wiernych służbę duszpasterską pełni 60 księży grekokatolickich. ■ 7 czerwca 1987 roku wznowiono nabożeństwa w cerkwi pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego w Jarosławiu. Cerkiew została częściowo odnowiona dzięki życzliwości biskupa Ign. Tokarczuka oraz dzięki staraniom ks. mitrata T. Majkowicza i miejscowego duszpasterza grekokatolickiego ojca Jana Bałyka oraz pomocy miejscowej ludności grekokatolickiej. Dotąd Ukraińcy mieli nabożeństwa w kaplicy kolegiaty Jarosławskiej. ■

Józef DARSKI

Wywiady «Kultury»

Stosunki PRL - ZSSR

ROZMOWA Z MICHAŁEM JAGIEŁŁO*

MICHAŁ JAGIEŁŁO: — Najpierw może słowo o nowym typie stosunków PRL-ZSSR, nowym w porównaniu z poprzednimi okresami, a zwłaszcza latami gierkowskimi. Dotychczas stosunki między Polską a Związkiem Sowieckim były dość mocno kontrolowane przez centrum rządzące i właściwie nie było praktycznych możliwości nawiązywania bezpośrednich kontaktów między instytucjami naukowymi czy zakładami pracy. Wszystkie kontakty były planowane na wiele lat z góry przez Komitety Centralne obu stron. W tej chwili zaczyna się to zmieniać. Oczywiście nadal wychodzi się od porozumień na samych szczytach jednej i drugiej strony, ale Jaruzelski — z przyczyn głównie prestiżowo-psychologicznych — chce udowodnić Rosjanom, że potrafi przełamać pewne bariery w społeczeństwie polskim.

KRYSTYNA STYPUŁKOWSKA-SMITH: — Wiadomo jakiego typu.

M.J.: — No tak, niechęć do Rosjan i do Związku Sowieckiego. Ekipie Jaruzelskiego wyraźnie zależy na tym, aby stosunki między Polską a Związkiem Sowieckim zeszyły z piętra oficjalności na praktycznie każdy poziom gospodarczo-społeczny. Być może u podłoża tej decyzji leżą również względy ekonomiczne. Jest faktem bezspornym, że po wprowadzeniu sankcji Rosjanie dali na przykład naszemu przemysłowi włókienniczemu bawełnę, czyli surowiec, ale później 2/3 produkcji szło na ich rynek. Z jednej strony

* Michał Jagiełło, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR od 13 grudnia 1980 do 13 grudnia 1981 po tym dniu zwrócił legitymację partyjną. Od 1985 roku członek redakcji *Przeglądu Powszechnego* wydawanego przez Ojców Jezuitów w Warszawie.

jest to korzystne, bo maszyny nie stały, nie było zaburzeń społecznych z powodu bezrobocia, a mogły być; natomiast z drugiej strony jest to klasyczny przykład traktowania PRL-u jako dominium, jeśli nie wręcz kolonii — daje się towar, a bierze się produkt. Jeśli się zważy, że znaczna część tych maszyn była kiedyś kupiona za pożyczki zachodnie...

K.S.-S.: — *Za Gierka naturalnie.*

M.J.: — Naturalnie. „Dolarowe maszyny” bardzo szybko się zużywają, więc już mamy obraz tego co najmniej nierównego traktowania gospodarczego. Jednak względy gospodarcze nie są tu chyba najważniejsze. Są one z jednej strony płaszczykiem, a z drugiej jakby naturalnym motorem, wysysającym znaczną część Polaków w orbitę rosyjską. Nie jest to zresztą nowością, bo wiadomo co się działo w drugiej połowie XIX wieku — Żyrardów, Łódź produkowały perkaliki, które szły do Rosji i na Daleki Wschód. Jest to jak gdyby ciche nawiązanie do tego okresu, co zresztą w propagandzie czasami się podkreśla i przypomina.

K.S.-S.: — *Takie perkaliki Wokulskiego.*

M.J.: — Tak. Sprawa jest bardzo poważna i chyba dość niebezpieczna, bo jest i najwyższe przyzwolenie i wręcz nakaz rozwijania bezpośrednich więzi między województwami, zakładami pracy, instytucjami naukowymi. To po prostu idzie masowo.

K.S.-S.: — *Bezpośrednio do konkretnych rejonów i województw.*

M.J.: — Właśnie. W ogóle pewną nowością zarządzania Jaruzelskiego jest scedowanie na regiony i województwa bardzo wielu decyzji wykonawczych. Jest więc centralna dyrektywa i potem, jeżeli tylko mieścisz się w ramach tej dyrektywy, sekretarze wojewódzcy i wojewodowie mogą działać. Dojdzie więc do tego, że już nie tysiące, ale dziesiątki czy może setki tysięcy Polaków, a łącznie z ich rodzinami może nawet milion czy dwa, zaczną być żywotnie związani z ZSSR codziennymi interesami. Bo na przykład dyrektor fabryki lubelskiej, związanej z jakąś analogiczną fabryką w Charkowie, czy we Lwowie, bardzo szybko się zorientuje, że o jego karierze życiowej decyduje przede wszystkim jego opinia w ZSSR i jeśli dyrektor i sekretarz tamtejszego zakładu wystawią mu dobrą opinię, to jego lokalny sekretarz wojewódzki, choćby był o nim złego zdania, nie może mu zaszkodzić. A ponieważ przybiera to teraz masowe rozmiary, wygląda na to, że nie chodzi tylko o względy gospodarcze, ale że generał piecze też tu sobie własną pieczęć ideologiczną. To się rozszerza przecież

i na środowisko naukowe. Te tendencje będą prawdopodobnie narastały, bowiem wyróżniającą cechą ekipy Jaruzelskiego, która wydaje się bardzo zbieżna z cechami ekipy Gorbaczowa, jest niewypieranie się już pewnych faktów. W epoce gierkowskiej propaganda bądź zamazywała rzeczywistość, bądź negowała istnienie różnych faktów, które były niezgodne z doktryną. Teraz tego już praktycznie nie ma. Mówi się — zgoda, nie wszyscy nas kochają. I co z tego? System się nie zawali. Zgoda, znaczna część Polaków ma niechętny stosunek do Związku Sowieckiego i jest przekonana, że są traktowani jak kolonia czy półkolonia. My jednak powoli udowodnimy przez zwielokrotnione kontakty interpersonalne, wiążąc setki tysięcy ludzi z interesami sowieckimi, że ten kacap to taki człowiek jak i my, chętnie pije wódkę, można się z nim dogadać.

Słowem jest to prawdopodobnie bardzo poważna próba rozładowania antagonizmów polsko-sowieckich. Oficjalnie nazywa się to wintegrowaniem gospodarki polskiej, a domyślnie nie tylko gospodarki, lecz całej PRL w system Związku Sowieckiego. Są przykłady, że koncepcja taka może mieć sens, na przykład EWG. W naszym przypadku jest to jednak dalsze rozmazywanie społeczeństwa, rozmazywanie pewnych wartości, w których jakoś tam stanowimy o sobie, przynajmniej w warstwie duchowo-kulturalnej.

Jeśli moje domniemanie jest trafne, to czekają nas lata bardzo trudnego wyzwania. Być może wchodzimy w okres podobny do tego, jaki nastąpił po ostatecznym upadku nadziei 1905 roku, czyli lat 1907-1914. Przecież wiemy, jak mała częśćka poszła za Piłsudskim i jak się szerzyły nastroje ugodowe. Kto wie, czy nie wchodzimy znowu w taki okres. Szczególnie groźne jest, że nie bardzo można protestować przeciwko tym poczynaniom władzy, są one bowiem pozornie racjonalne. Kochajmy się, poznajmy się wzajemnie itd.

K.S.-S.: — *Naród się wzbogaci...*

M.J.: — Dokładnie. Pierwszym tego sygnałem było budowanie rurociągu przez polskich robotników. Już wtedy trzeba było zadać sobie pytanie, jaki w tym Rosjanie mają interes. Bo po pierwsze płacili bardzo dobrze, po drugie wpuszczali tysiące polskich robotników w swoje środowisko, co często prowadziło do dużego szoku kulturowo-politycznego w tamtych rejonach, mimo dość szczelnej izolacji (jeśli się miało tłumaczyć w postaci litra spirytusu czy wódki, to można było wszelkie bariery pokonać). Wiadomo było, że te Polaczkiszki zarabiają dużo więcej od miejscowego robotnika, że są lepiej żywieni, że spotykają się na porządku

dziennym z przejawami wręcz nędzy, bo szli przez tereny ubogie, chłopskie. Przecież Rosjanie wiedzieli, że ściąganie Polaków jest czymś innym niż sprowadzanie drwali bułgarskich, którzy masowo wyrabują drzewa na Syberii, Wietnamczyków itp. Jeśli więc zdecydowano się na Polaków, to nie dlatego, że byli niezastąpieni. Można było ich zastąpić kim innym.

K.S.-S.: — *Na przykład NRD-owcami.*

M.J.: — Naturalnie. Można było na przykład zrobić taką wymianę, że Polacy w NRD, a NRD-owcy częściowo w ZSSR. Prawdopodobnie Rosjanie kalkulowali, że opłaca im się nawet ponieść straty, nazwijmy je ideologiczno-prestiżowymi, tzn. że tysiące Polaków zobaczy, że w Rosji nie jest tak wspaniale, jak mówi oficjalna propaganda.

K.S.-S.: — *O czym Polacy wiedzą, ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć.*

M.J.: — Tak, bo równocześnie pewien zysk jednak pozostaje. Gdzie dorobiłem się? Na rurociągu, w Sojusie. To mi przypomnia, jak jeden z moich rozmówców powiedział mi, że zaprasza pewnego polskiego reżysera.

K.S.-S.: — *I to nie Porębę.*

M.J.: — Nie Porębę. Na moje pytanie „a czego będziecie od niego oczekiwać?” odpowiedział — „niczego”. — „Ale przecież masz w tym jakiś interes?” — „No tak, po prostu, zanim powie — ci wredni Rosjanie, to się zastanowi, jak popławi się u nas przez miesiąc w pełnym luksusie”.

Ja sam przedtem całej tej wielkiej akcji rurociągu ze strony rosyjskiej nie rozumiałem. Teraz łączę to w jakiś logiczny ciąg i zaczynam się niepokoić, bowiem w tej chwili w kontakty z Rosjanami wchodzi ludzie dotychczas bardzo odlegli od partii, na ogół bardzo dobrzy fachowcy, ludzie nastawieni pragmatycznie i pragnący się dorobić. To nie są już pracownicy wojska, MSW, aparatu partyjnego i młodzieżowego, czyli tradycyjna klientela sowiecka, ale na przykład kadra inżyniersko-techniczna. Może to też objąć młodzież, masowo. Na pewno będą duże ułatwienia, np. przy wymianie studentów. Wizyta Jaruzelskiego na Litwie, potem ministra kultury tamże są wyraźnym przygotowaniem do tego. Znikną więc pewne tabu. Dlaczego na przykład nie zrobić w Krakowie dni Lwowa, a w Warszawie dni Wilna i wzajemnie? Można będzie pozornie nieomal o wszystkim mówić i nie naruszyć to w niczym stabilności systemu. Polityka pójdzie prawdopodobnie

nie w tym kierunku. A jeśli zważyś trudności życia codziennego w Polsce, fakt, że coraz trudniej jest zdobyć jakąś sensowną pracę w Stanach Zjednoczonych i w świecie zachodnim, o ile w ogóle można ją dostać, to kontakt z Rosją stanie się również pewnego rodzaju wygraną.

K.S.-S.: — *Zwłaszcza, że w świecie zachodnim płaci się ogromną cenę, chociażby w postaci ciężkich warunków bytowych. Tam się baruje tylko z myślą, żeby coś zaoszczędzić na powrót do PRL.*

M.J.: — A tu w zasadzie jedziesz jako panisko, bo jak masz te 300-400 rubli w kieszeni i jeszcze w dodatku paszport zagraniczny, to jesteś panisko całą gębą. Wpuszczą cię do najlepszej restauracji, gdzie profesor uniwersytetu moskiewskiego może stać przed bramą i cieć go po prostu nie wpuści. Masz rację, tam nie będzie degradacji. Polak będzie miał za sobą walor i rubli, i paszportu, no i po prostu walor Polaka, czyli człowieka z fantazją, bo Rosjanie z jednej strony nas lekceważą, a z drugiej coś w nas ich jednak fascynuje.

Wydaje się, że ekipa Gorbaczowa, ekipa chyba pragmatyczna, będzie starała się nas takimi krokami wciągać w swoje objęcia coraz głębiej. Gospodarka jest już w to wciągnięta prawie całkowicie. Plan Gierka jak wiadomo się nie udał, choć wydaje się, że Gierek był tego niebezpieczeństwa świadomy. Wskazują na to choćby budowa rafinerii czy Portu Północnego.

K.S.-S.: — *Gierek chciał Polskę jakoś zabezpieczyć, nie chciał stawiać tylko na kartę rosyjską.*

M.J.: — Gierek grał kartą rosyjską, ale były to karty znaczone, tak dalece, że Rosjanie doskonale sobie z tego zdawali sprawę. Grał po prostu na konieczne minimum, a równocześnie starał się związać Polskę z Zachodem, a to przez pożyczki, a to przez licencje...

K.S.-S.: — *Wiemy, jak się to skończyło. Ale spójrzmy może teraz na drugą stronę, rosyjską.*

M.J.: — Moje informacje potwierdzają, że odbywa się tam niewątpliwie wielki festiwal środowisk twórczych. Natomiast nie zeszło to podobno na poziom ludu, który jest bierny, bo ma bardzo głęboko zakodowany Wielki Terror i po prostu boi się, czym się to skończy. Nie mam natomiast wątpliwości, że polityka Gorbaczowa znajduje wielu zwolenników w grupie 30-, 40- i młodych 50-latków. Wielu takich tam poznałem i oni się gotowali i pie-nili na to, że rządzą nimi głupi aparaczczyki. Te nowe nabytki

na pewno będą się starały rządzić bardziej elastycznie. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, aby to przekroczyło fazę rodzinnych czy spółdzielczych kawiarni, prywatnego zakładu szewskiego lub też brygadowego systemu rozliczania, a i to nie będzie chyba masowe.

K.S.-S.: — *Czyli troszkę ulżymy usługom, ale mowy nie ma o żadnych zmianach systemu, o to ci chodzi?*

M.J.: — Tak. To też jest ważne i ludzie odbiorą ten retusz kosmetyczny jako dość poważny oddech, ale w żadnym wypadku nie jest to zmiana systemu. Jest to dla mnie bardzo dramatyczna próba unowocześnienia systemu, usprawnienia go, co jest konieczne, żeby wyjść z obecnego impasu bez naruszenia tzw. pryncypiów. Jak wiemy, jest to właściwie niemożliwe. Albo — albo. Być może już najbliższy rok zadecyduje, czy choćby taki retusz jest możliwy. Zauważ, jak piekielnie nerwowo działa Gorbaczow. Ma się wrażenie, że ten człowiek nie ma zbyt wiele czasu na rozegranie partii i wie o tym. Jest to zupełnie nowy typ psychologiczny i charakterologiczny przywódcy sowieckiego. Dotychczas im się w ogóle nie spieszyło, taka tam była stabilność. Jemu się bardzo spieszy, jest nerwowy. Jak na razie wygrywa, robi duże czystki w aparacie, co jest niewątpliwie korzystne, część ludzi jawnie skorumpowanych odchodzi. Natomiast w polityce zagranicznej punkt po punkcie właściwie przegrywa. I na Bliskim Wschodzie, i w Afganistanie, gdzie niczego dotąd nie rozwiązał. Redukcja rakiet na jego warunkach też mu się prawdopodobnie nie uda, bo Europa Zachodnia nie zechce całkowicie zrezygnować z amerykańskiego parasola. Wygląda na to, że Gorbaczow już zaczyna trochę powielać samego siebie. Zresztą nie wiadomo, czy po roku nie osłabną sympatie nawet tej młodej czy średniej grupy, które go popierają, bo dostrzegają w jego polityce szanse dla siebie, czy nawet oni nie staną się bardziej sceptyczni. Bo jak się spojrzy na to z punktu widzenia ludzi, którzy mają współuczestniczyć w sprawowaniu władzy, to zwolnił on rzeczywiście jakiś poważny procent miejsc w aparacie, co jest kluczowe, ale to zostanie bardzo szybko zapełnione. A nie wprowadził przecież rotacji, nie wprowadził zasady, że władzę sprawuje się przez jedną albo dwie kadencje. Tego nie wprowadził i prawdopodobnie nie wprowadzi, bo to byłoby zbyt niebezpiecznym poszerzeniem bazy rządzącej. A jeśli nie wprowadzi, to nastąpiła tylko wymiana elit. Część poszła na emeryturę, część najbardziej skorumpowana musi odejść, na ich miejsce wskoczyły młode wilczki, młode wilczki się okopią na swoich pozycjach i już nie wpuszczą młodszych. A wskazują wilczki 40-, 45-cioletnie, mające przed sobą co najmniej dwadzieścia lat aktywności partyjnej.

K.S.-S.: — *I pierestrojka zacznie się szybko zacierać.*

M.J.: — Oczywiście nic prawie nie wiemy o rzeczywistych nastrojach społeczeństwa sowieckiego. Jedno jest pewne, że ogromna większość chce po prostu jako tako żyć. Naturalnie, inteligencja ucieszy się, jeśli zmieni się nieco ton prasy sowieckiej, jeśli o niektórych faktach będzie można pisać. Ale i to niesie ze sobą poważne niebezpieczeństwo, bo środowiska intelektualne i twórcze bardzo szybko zorientują się, że *głasność* i *pierestrojka* mają jednak granice, także w kulturze.

Z kolei dla tzw. szerokich mas jest to prawdopodobnie stosunkowo mało ważne. Dla nich jest ważne, czy będzie można skrytykować brygadzystę i lokalnego sekretarza. To ostatnie jest zresztą mało prawdopodobne.

K.S.-S.: — *Typ stosunków między władzą i obywatelami, między dozorem i robotnikami trzeba zachować, bo tej właśnie zmiany system by nie wytrzymał. A garstkę uprzywilejowanych można pieścić. Sowiecki establishment tak samo snobuje się na twórców jak każdy inny.*

M.J.: — Może więc nastąpić ogromne rozwarstwienie między inteligencją a robotnikami, a było ono i tak już bardzo poważne. Tzw. gorbaczowska rewolucja może doprowadzić do sytuacji wręcz dramatycznej, do powstania dwóch kompletnie nie korespondujących ze sobą społeczeństw — bardzo wąskiej grupki intelektualistów — która będzie hołubiona przez Gorbaczowa, bo to ona daje mu *publicity* na Zachodzie — i mas, które będą żyły nadal własnym życiem, swoim rytmem, z tym samym podziemnym nurtem gospodarki. Czyli jak wiemy z naszych doświadczeń, nawet biorąc tę poprawkę, że społeczeństwo sowieckie nie jest tak skore do buntów jak nasze, to niemniej jednak tamtejsza elita robotnicza, studenci, część inteligencji nieuchronnie popadnie w konflikt z samym Gorbaczowem, bo on nie jest w stanie dać tyle, ile im zapachniało. I Gorbaczow będzie mógł, jeśli dojdzie do konfliktu, wygrywać przeciw nim te prawosławno-sowieckie masy. Tylko że musiałby coś tym masom dać, niewielką nawet, ale jednak poprawę bytu codziennego, ulżenie na przykład kobietom, które są tam tak potwornie zniszczone i zaharowane.

K.S.-S.: — *Czyli to jest trochę wzorowane na Malenkowie, któremu zresztą, jak wiemy, się nie udało?*

M.J.: — Tak, wydaje mi się to niezwykle trafne. To jest kon-

tynuacja tej zduszonej już po pół roku próby reformy Malenkowa, która szła, jak wiesz, bardzo daleko. Ale prawdopodobnie masy są teraz bardzo zaniepokojone, ponieważ paradoksalnie Gorbaczow na razie im tylko coś odebrał. Odebrał, bo im poprzecinał utarte ścieżki. Dla społeczności lokalnych, które zawsze i wszędzie są społeczności zamkniętymi, a w Rosji szczególnie, poprzecanie wszelkich utartych więzi — nawet gdyby te więzi były przestępcze — jest pewnym szokiem. Jeśli się w tamtym systemie zna drogi i dróżki, jakimi należy się poruszać, jeśli się wie, w jaki sposób utrzymać się w atrakcyjnym miejscu pracy, komu dać niewielką łapówkę, z kim wypić wódkę, jak być dobrze z brygadzystą, w jaki sposób wykarmić krowę na działce przyzagraodowej, w jaki sposób zorganizować sobie lepszy telewizor, to jest to niezmiernie ważne, bo ułatwia życie, mało, po prostu je umożliwia. Akceptując niejednokrotnie ohydę, korupcję, nepotyzm i wszystko, co najgorsze można jakoś wyżyć. Nie lekceważyłbym przykładu Kunajewa. Drań, nepotysta, wszystko to prawda.

K.S.-S.: — *Niemniej jednak...*

M.J.: — Niemniej jednak, właśnie. Aż żal, że te rozruchy wybuchły w obronie takiego człowieka, ale co to oznacza? To znaczy, że coś ludzi tam dotknęło, po pierwsze w sposobie, w jaki został wyrzucony, po drugie przerazili się, że coś zostanie poucinane. Wiadomo nawet, co ich przeraziło, np. studentów. Można to przecież wywnioskować z oficjalnej oceny tych „zajść”, która piętnuje takie oto fakty: „Niedopuszczalne jest, aby studenci tworzyli jednorodną narodowośćowo piętra w akademikach”, to znaczy, żeby Kirgizi mieszkali razem, a Rosjanie osobno. Charakterystyczne jest też, że najbardziej aktywni byli studenci prawa: jednak coś tam o prawie rzymskim musieli przeczytać. Następna uwaga — pochodzący z odległych rejonów górskich. Znowu padło sformułowanie: „jednorodni narodowośćowo”, no bo na Boga, jak są auły to tadżyckie, kirgiskie itd. Czyli cała ta rewolta w Kazachstanie była nie tyle próbą obrony Kunajewa, co po pierwsze lękiem przed tym, że odejdzie coś, co na pewno było nienajlepsze ale znane, a po drugie, że zostanie zniszczone coś, co było namiastką mikroniezależności. Wydaje mi się, że dlatego przykład Kunajewa jest bardzo pouczający. Ludzie, skądinąd skompromitowani, są postrzegani jako ludzie, którzy jednak coś sensownego robią dla swego małego narodu czy rejonu. Już sam fakt, że jest miejscowy, że nie dopuszcza Rosjan, się liczy. Oczywiście, że obsadza stanowiska swoją rodziną, ale jeśli masz do wyboru teoretycznie kryształowych ludzi, wspaniałych komunistów, ale pochodzących z Moskwy, czyli ten zrzut desantowy lub nepotyzm,

ale lokalny, to nie wiem, co bym wolał i co bym wybierał, gdybym był Tadżykiem czy Ormianinem.

Więc Gorbaczow jak dotąd odebrał masom spokój, spokój życia codziennego. A co im da w zamian? Może to, że będą mogli oficjalnie postawić świeczkę na grobach tych, którzy poginęli w łagrach.

K.S.-S.: — *Nie jestem pewna, czy to aż taka rekompensata.*

M.J.: — Właśnie. Dla znacznej części narodu sprawa łagrów i stalinizmu jest sprawą wstydliwą i zarazem dwuznaczną. Bo jak wiadomo, nie da się stworzyć takiego systemu bez udziału społeczeństwa. Mało tego. Dość powszechne jest tam nastawienie „nie mówmy o tym”. Dziesiątki razy z tym się spotykałem. Wiesz, pobrudzony rubelek czy oczyszczony rubelek, ale w mojej studni. My sobie tego rubelka wyczyścimy, ale to MY go będziemy myli. Zbyt wielu ludzi było zaangażowanych czynnie po stronie kapo. Ktoś złożył donos, ktoś tylko przejął dom po zesłanym, ktoś futro. Wielu naukowców, dziś członków Akademii Nauk, przejęło stanowiska po kolegach, którzy byli odsunięci albo zesłani. Na pewno charakterystyczna dla części inteligencji jest postawa Gumilowa. Etnolog, etnograf, autor bardzo interesujących książek o przeszłości azjatyckich republik ZSSR i syn rozstrzelanego Gumilowa i Achmatowej. Czytałem z nim wywiad. On wspomina to i owo z niejaką goryczą, ale... było, przeszło. Widzisz, nawet on.

K.S.-S.: — *Czyli wciąż zadawiony, zabobonny lęk przed wypowiedzeniem pewnych rzeczy? Nie trzeba głośno mówić?*

M.J.: — Tak. Stąd Chruszczow jest przecież tak bardzo niepopularny i traktowany nie tylko dość dwuznacznie, ale w zasadzie negatywnie. Za ostro zrobił pranie brudów.

K.S.-S.: — *A więc to, co zwłaszcza na Zachodzie wydaje się niezwykle zdobyczą, że coraz częściej się mówi prawdę — to są dla obywateli ZSSR straszne doświadczenia?*

M.J.: — Mówi się ale, zauważ, w jakiej tonacji. Przeszliśmy przez straszne lata? Przeszliśmy. Znasz ten pseudofatalizm marksistowsko-leninowski typu — musieliśmy przez tę krew i błoto i kurestwo przejść, nie było wyboru, bo imperializm, bo błędy się nałożyły... Może ten Stalin rzeczywiście był..., no ale z drugiej strony wojnę wygrał.

K.S.-S.: — *Jak chociażby ten ostatni film sowiecki w TV, apoteozujący Stalina.*

M.J.: — To co dla części inteligencji, dla czołowych pisarzy i filmowców jest ogromnie ważne, to co jest ważne np. dla Bułata Okudźawy nie musi być wcale tak ważne dla podstawowych mas narodu, tu ja widzę bardzo wyraźną przepaść między czołową intelektualną a resztą społeczeństwa. I dlatego uważam, że Gorbaczow niewiele dał, a dużo zabrał. Zauważ zresztą rezerwę Jaruzelskiego i właściwie wszystkich KDL-owców. Żaden z przywódców nie poszedł w ślady Gorbaczowa. Może to być po prostu lęk, że jakby za daleko poszli, to musieliby wyciągnąć wnioski i ich stołki byłyby zagrożone.

K.S.-S.: — *A tu Passent czy KTT nawołują, idźmy dalej, idźmy dalej.*

M.J.: — Ci ludzie doskonale wiedzą, jak się to wszystko kończyło i ich poparcie jest też takie — ja cię popieram, jesteśmy za, ale nie biegnijmy za daleko, żebyśmy się nie musieli za szybko cofać. Równie dobrze może się to zakończyć powolnym gniciem tego, co robi Gorbaczow, tyle że będzie to gnicie po prostu bardziej znośne, bardziej efektowne i bardziej mydlące oczy Zachodowi.

K.S.-S.: — *I oczywiście mowy nie ma o consensusie całego społeczeństwa.*

M.J.: — Nawet pojęcie takie nie ma tam sensu. Tam jest społeczeństwo wielowarstwowe, żeby nie powiedzieć klasowe, o nie- zwykłe ostro zarysowanych przedziałach, które dramatycznie się pogłębiają. Oczywiście doceniam wartość nawet drobnych kroków pragmatycznych, ale... Zrezygnowanie ze stalinizmu było zamienieniem rewolweru na gazurkę. Następnym etapem jest, tak jak to się u nas odbywa, zamienienie gazurki na pałkę, taką twardą, a teraz podobno zamienia się pałkę twardą na pałkę ze sztucznego tworzywa, elastyczną. Owszem, jest różnica między rewolwerem a pałką elastyczną, nawet między gazurką a pałką. *No wsjo taki siekut.* Jeśli jest się tylko obywatelem, który robi swoje, idzie na pochód pierwszomajowy i w rocznicę rewolucji, idzie głosić, bo to jest po prostu rutynowe, nad tym się nie trzeba zastanawiać, śpi na zebraniu partyjnym i opłaca składki, albo nie jest partyjnym, ale popiera partię, to taki człowiek może się czuć bezpiecznie, nikt nie będzie go budził o 3-ej rano, żeby się pakował i jechał na Kołymę. Naprawdę tego praktycznie od 55-56 nie ma. Oczywiście, są obozy pracy, w „Czerwonej kalinie” Szukszyna jest nawet pokazane, że jednemu wolno ukraść pół fabryki, a drugi

ukradnie koło od traktora i też siedem lat łagru dostanie, wszystko to prawda. Ale zawsze można powiedzieć, że już nie za niewinność. Teraz będzie kolejna zmiana, której lekceważyć nie można, ale nie jest to żadna zmiana systemu.

K.S.-S.: — *Nawet 7 lat to już nie jest to samo co najpierw burtem 25, a potem za bezdurno drugie 25, jeśli kto przypadkiem przeżył. Strasznie jest tak mówić, ale jest różnica. No a z drugiej strony te wszystkie polsko-sowieckie współpracy są tym bardziej atrakcyjne, bo już nie jesteś uważany za volksdeutscha.*

M.J.: — Odideologizowanie jest niesłychanie ważne. Nie uchodzisz za volksdeutscha, nie „kolaborujesz z kacapami”, po prostu twój zakład utrzymuje fachowe związki z jakimś tam analogicznym zakładem w ZSSR. Ale za tym pójdą inne rzeczy, no bo niby dlaczego nie wymienić dzieci, dlaczego harcerze nie mogą się wymienić z pionierami? Będą takie akcje. Jest to może pewien pozytyw, ale nie bardzo nas jeszcze stać na to, aby dla dobra interesów rodzinnych czy w wielu domach kierowały się w naturalny sposób coraz częściej na Wschód.

K.S.-S.: — *A ludzie są zmęczeni, już po prostu nie mają siły, więc jak jeszcze można dzieciaki lepiej nakarmić, to... Część elity intelektualnej też doszłusuje, co dla panów G. i J. jest niezbędne, jako że to ona wytwarza niezbędny klimat.*

M.J.: — Dziś kontakty z Rosjanami są nawet do pewnego stopnia modne. Przecież można z nimi już prawie o wszystkim porozmawiać, już możesz „Doktora Żiwago” z nimi razem poczytać. Już nie boją się jak ognia Polaków, wpuszczania grup do Polski, nie przepytuje się ludzi jadących do Polski na prywatne zaproszenie. W tej dziedzinie na pewno nastąpi daleko posunięta liberalizacja. Polacy też nie będą już wracać stamtąd z uczuciem rany, jaki to cholernie totalitarny kraj, ja tu całuję polską ziemię. Ostatecznie są fajni, coś tam się u nich rusza. Coraz więcej mogą.

K.S.-S.: — *A ja nie mam przecież nic wspólnego z partią. Ja jestem tylko fachowcem, nie bratałem się z komunistami. Fachowe zwrócenie na Wschód, skądś to znamy. I tym razem może to być bardziej niebezpieczne niż postowanie do Dumy, na przykład.*

M.J.: — Tak się wydaje. Ważne, z jakiego poziomu się startuje. Te związki, które są teraz nakazywane, właśnie ponieważ są nakazywane, przychodzą za wcześniej. To znaczy, że postawa często aberracyjnie antyrosyjska, lekceważenie myśli, kultury, dziejów tego narodu pozostanie.

K.S.-S.: — *Może być najwspanialszy film sowiecki i cztery osoby na sali.*

M.J.: — Naturalnie, bo ruski. Ale nasilać się będzie praktyczno-pragmatyczna integracja z ZSSR. Człowiek będzie nadal operował stereotypami w warstwie filozoficzno-kulturowej, ale jednocześnie będzie się rozgrzeszał z tych kontaktów, bo on jest tylko fachowcem.

K.S.-S.: — *Będzie to także znaczyło — nie mogę się wychylić, bo nie pojedę do ZSSR.*

M.J.: — Ależ oczywiście, sama już tego doświadczyłaś. Nie mogę się kontaktować z Amerykanką, nie mogę nie pójść z mojego zakładu pracy na pochód 1-majowy, jeśli do Sojuza ma wyjechać 50 osób, a 500 chce. Tak przecież będzie.

K.S.-S.: — *I zacznie się po prostu wyścig do tych wyjazdów.*

M.J.: — Właśnie. Mnie to niepokoi i zacząłem analizować, jak to lawinowo zaczęło rosnąć, choć z dużymi oporami u ludzi świadomych. Znanemu nam obojgu X-owi też kazali nawiązywać natychmiast te „*swiazie*” z odpowiednim instytutem. — Proszę bardzo, możecie z Ałma-Atą. A tam są bardzo zdolni chłopcy, pracownicy, dociekliwi, mniej może w teorii, a raczej w badaniach doświadczalnych, w laboratorium. X zrobił więc zestawienie czołowych pism biologicznych za ostatni rok i wykazał, że prace sowieckie stanowią 15 %, reszta to wszystko świat zachodni. Wtedy mu nakazano w sposób zdecydowany zmniejszyć ilość wyjazdów na Zachód, co byłoby katastrofą dla jego dziedziny, i skupić się na tej wąskiej grupie w Ałma-Acie, z którą zresztą już ktoś inny współpracuje. X się postawił i wkrótce wyjechał na 3 miesiące na wykłady na Zachód. Zna język, ma tam kontakty, przyjaźnie. Ale gdyby nie miał kontaktów, a znajdował się dokładnie w takiej sytuacji, w jakiej się znajduje, że gwałtownie potrzebuje pieniędzy? Pewnie by nawiązywał *swiaz* z jakimś instytutem sowieckim, nie patrząc na jego wartość naukową.

K.S.-S.: — *Jak sam mówisz, zamysł powstał prawdopodobnie dość dawno, ale kiedy zaczęło się to na taką skalę?*

M.J.: — Rok temu, gwałtownie. Szło to szalenie opornie i obie strony zaczęły naciskać, żeby szybciej. I już na przykład trzysta przedsiębiorstw sowieckich i trzysta polskich, które są jakoś tam analogiczne, spotyka się, ustala, itd. A teraz będzie szło województwami. Coraz więcej roboczych decyzji będzie spoczywało

w rękach władz lokalnych. Jest to dowartościowywanie tych władz. Oni się czują potrzebni, bo czują się kimś, z tym że jest to właśnie bardzo piękna metoda manipulowania. Początkowo odgórna zgoda — niech Kościół z pieniędzy na fundację rolną wystawi gdzieś szkołę. Tak, ale ta szkoła nie może stać na dachu KC, tylko musi być na konkretnej ziemi w konkretnym województwie.

K.S.-S.: — *A w konkretnym województwie konkretny wojewoda może powiedzieć: nie widzimy takiej potrzeby, u nas jest pełne nasycenie. Wolno mu, bo mamy pluralizm, mamy samorządność i mamy decentralizację. Przerażające, jak się czyta prasę oficjalną. Ekipa Jaruzelskiego kupiła prawie wszystkie sformułowania „Solidarności”, choćby właśnie pluralizm.*

M.J.: — Przerażające. Porozmywane zostało wszystko. Trzeba mieć talent językowy na pograniczu genialności, jaki ma Karol Wojtyła, bo on mówi porozumienie, solidarność, consensus, i to brzmi właściwie.

K.S.-S.: — *Ale jak postuchasz Glempa, kiedy mówi to samo, nie mówiąc o księdzu Orszuliku... Nowomowa niejedno ma imię. Nie musi być partyjna.*

M.J.: — Tak, papież potrafi to robić, wydobywa autentyczny sens tych słów. Poza tym oni te słowa przejęli i to jest szatański pomysł. Chcecie mówić solidarność bez cudzysłowu? Będziemy mówili. Chcecie pluralizmu? No to go macie. Wszystko zostało przewrócone.

K.S.: — *Wystarczy poczytać, co pisze obecnie Trybuna Ludu czy Rzeczpospolita o rocznicach. Żadne tam już „kto się naprawdę ukrywał za robotniczymi plecami”. Nie odebraliśmy nic, wybraliśmy to co najlepsze z porozumień sierpniowych. Akceptujemy, mało, to my je wprowadzamy w życie.*

M.J.: — Wszystko masz. Monte Cassino? Masz. 11 listopada? Masz. O wojnie 1920 roku Jarema Maciszewski mówi — tragiczna wojna, niepotrzebna. Co prawda historyk nie może mówić co by było, gdyby było, ale gdybyśmy tak razem, no to... To uniknęlibyśmy strat. On już nie mówi, że to Polska napadła, zauważ. To jest ta nowa jakość. Teraz się mówi — „dramat obu stron”.

K.S.-S.: — *Doszło do...*

M.J.: — Tak, doszło do niepotrzebnej wojny. W telewizji już

tak szło w tym roku. Doszło do niepotrzebnej wojny, w której młoda republika z młodym państwem polskim niepotrzebnie... Kto? Co? Jak? Dlaczego? O tym ani słowa.

K.S.-S.: — *Ironia leży w tym, że kiedy mówiono, że burżuazyjna jaśniepańska Polska napadła na świetlany Związek Radziecki, to przynajmniej była jasna sprawa. Dzisiaj określenie jest omal w porządku i przy obecnym zmęczeniu społeczeństwa wątplię, czy wielu ludzi będzie łapać takie niuanse. Jedno słowo, drugie słowo.*

M.J.: — A ujawnianie tego jest niezmiernie trudne. Wtedy trzeba iść szalenie dosłownie, a jak dosłownie to cenzura nie puści. Już można nawet film o Rydzu Śmigłym pokazać.

K.S.-S.: — *Nekrolog Mikołajczyka w Tygodniku Powszechnym wydrukować.*

M.J.: — Nic prawie o 1920 roku, gdzie Rydz wspaniale się sprawdził jako dowódca. 17 września tknąć nie można. Czyli trzeba by napisać — kochani ludzie, uważajcie! A przecież część ludzi na pewno płacze, kiedy widzi film o Rydzu Śmigłym, bo jaki on by nie był, to im przypomina Drugą Rzeczpospolitą. No chociażby, nekrolog Mikołajczyka, dlaczego nie?

K.S.-S.: — *Wprawdzie w Tygodniku Powszechnym, ale zawsze był. A za rok może być o nim artykuł w Trybunie, że błędził, ale że był aż do pewnego momentu nasz.*

M.J.: — Zaczyna się siekanka życiorysowa, tak jak robią z Piłsudskim. Nie było? Już jest. Część Piłsudskiego jest w porządku, bo walczył z bronią w ręku. W „Zamachu” Filipskiego jest już nawet ten Piłsudski, który się „zamachnął” w maju, to już nie jest ten drań, bo to ma być przecież analogia do Jaruzelskiego, że w trudnej chwili, że armia... Czyli jest to kawałkowanie postaci, życiorysów i natychmiastowe przechwytywanie ludzi niezających, twórców, autorytetów moralnych.

K.S.-S.: — *Pewnie, zaprotestować nie zaprotestuję.*

M.J.: — I to wszystko się w jakąś taką kluchę wielką, taką gomułę zaczyna lepić. Do Wilna? Można będzie pojechać, dlaczego nie? Konwicky mógłby tam teraz „Dolinę Issy” kręcić. Z tym że dla nas nic z tego nie wynika, wręcz przeciwnie. Następuje zamazywanie, rozmywanie wszystkich konturów, wszystkich widocznych dotychczas granic. Dobrze, a jak głośno powiesz, że

coś jest nie w porządku, to znaczy że co? Lepiej w ogóle nie mówić? Lepiej tak jak było przedtem? Nie, ale krytykowanie tego co się robi ustawia cię w pozycji albo nieprzejednanego, albo Ciemnogrodu jakiegoś.

K.S.-S.: — *Albo uchodzisz za Matkę Boską, albo za Giertycha.*

M.J.: — To, to. Brakowało mi porównania. Może Cię zapytać taki Krawczuk — dobrze, więc jeżeli ja jako minister kultury pojechałem i byłem w Ostrej Bramie, to źle? Czy lepiej, żebym w ogóle nie jechał? Pewnie, lepiej że pojechał, ale to jest wciąż czy myć jedną rękę czy drugą, coś zamiast czegoś. Tylko pytanie, co z tego wyniknie?

K.S.-S.: — *Zwłaszcza, że jak długo się obecna ekipa tutaj utrzyma też nie wiadomo.*

M.J.: — To będzie znowu refleks tego, co się tam z Gorbaczowem będzie działo, czy będzie rzeczywiście rządził, czy zostanie ubezwłasnowolniony, jako ten dobrze ubrany chłopak, atrapa na Zachód, bo i tak może się stać.

K.S.-S.: — *Może, może. Atrapa udana. Żonę ma przystojną, ubrać się potrafi, nie żadna tam Nina Chruszczowa.*

Czy widzisz jakieś możliwości załamania się tego specyficznego Drang nach Osten?

M.J.: — Tylko w jednym wypadku. Gdyby się okazało, że tam nie ma zarobków. Jeśli się okaże, że są, pójdzie tu jak po maśle. To będzie metoda wejścia boczną furtką. Nie przez telewizję, Leniny tam różne, bo na to ludzie są od lat uodpornieni. Ale ruble są w porządku, pierścionek sowiecki jest w porządku.

K.S.-S.: — *Naród się wzbogaci, to da się go i rozmiękczyć za te zarobki ze wschodu.*

M.J.: — Zauważ, jaka nastąpiła przewrotka. Być może Rosjanie sobie pomyśleli, że w konkretnej dzisiejszej polskiej sytuacji oni mogą zaproponować nam coś, co dotychczas ofiarowywała tylko Ameryka. K czortu z ideologią. Tu już chodzi o walutę, o twarde. Nie zaimponują dzinsami, nowym typem samochodu, komputerem, ale żywym zarobkiem.

K.S.-S.: — *A wpuszczać mogą i będą dawać znacznie więcej niż Ameryka. Dziękuję ci za rozmowę.*

Rozmowę przeprowadziła
Krystyna STYPUŁKOWSKA-SMITH

Nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości...

(ROZMOWA Z KIEROWNIKIEM BIURA „SOLIDARNOŚCI”
W PARYŻU, PIOTREM CHRUSZCZYŃSKIM)

MARIA DE HERNANDEZ-PALUCH: — Zanim zostałem kierownikiem... Tak powinna się zacząć Twoja opowieść.

PIOTR CHRUSZCZYŃSKI: — Zanim zostałem kierownikiem, należałem do prowincjonalnej grupy członków Zarządu Regionu Mazowsze. Byłem delegatem z Łomży. Pochodzę z Poznania, ale pracowałem w Łomży jako asesor sądowy.

M.H.-P.: — W dniu wybuchu stanu wojennego znajdowałeś się we Francji prywatnie, czy służbowo?

P.C.: — Prywatnie. Miałem tu sporo przyjaciół z czasów studenckich. Był to mój trzeci pobyt we Francji. O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedziałem się, jak wszyscy, o siódmej czy ósmej rano, od przyjaciół... W tym samym dniu wziąłem udział w manifestacji. Przede wszystkim jednak słuchałem radia. Następnego dnia przeczytałem w *Libération*, że CFDT organizuje spotkanie na temat Polski. Poszedłem pod wymieniony adres. Wisiała tam karteczka, że CFDT oddaje do dyspozycji działaczy „Solidarności” przebywających we Francji lokal. Wszedłem. Jakaś dziewczyna podała mi listę do wpisania się. Pamiętam, że byłem na niej trzeci. Wiem, że w spotkaniu tym uczestniczyły jakieś osoby, które nie figurowały na liście i że było to otoczone jakąś tajemnicą. Powiedziano mi, że zwróć się do mnie o pomoc w odpowiednim momencie. Przyszedłem jednak na drugi dzień i siedziałem. Przychodziło mnóstwo ludzi, którzy chcieli, żeby im wytłumaczyć, co się stało w Polsce. Wtedy co godzinę podawano w dziennikach informacje o Polsce.

M.H.-P.: — Czy czułeś się przedstawicielem internowanych?

P.C.: — Nie, ale uważałem, że muszę coś robić. Potem poinformowano mnie, że będzie zebranie, na którym ma się ukonstytuować komitet. Uczestniczyło w nim ponad czterdzieści osób. Zobaczyłem wówczas po raz pierwszy Andrzeja Seweryna, Zbigniewa Kowalewskiego... Okazało się, że istnieje jakaś grupa konstytuująca komitet, a oni są jej członkami. Czekano jeszcze na przyjazd członków władz krajowych „Solidarności”. Niemniej deklaracja założycielska była już opracowana...

Na zebraniu okazało się, że owo ciało założycielskie składa się z pięciu członków, Jacka Kaczmarskiego, Andrzeja Seweryna, Zbigniewa Kowalewskiego, Sewka Blumsztajna (który miał dojechać) i jeszcze kogoś. Oni byli w kontakcie z CFDT i innymi francuskimi związkami. Na zebraniu przedstawili zasady naboru do komitetu „Solidarności”. Każdy miał powiedzieć, kim jest i musiał mieć dwie osoby z sali wprowadzające go oraz jedną z prezydium, która miała do niego zaufanie i wyrażała zgodę na jego wejście w skład komitetu. Przedstawiłem się i okazało się, że nikt mnie nie zna. Podziękowano mi więc i poszedłem sobie. Co śmieszniejsze, sam wprowadziłem dwie osoby, które, jak się potem okazało, zostały przyjęte. Po prostu przed zebraniem porozmawiały z Andrzejem Sewerynem, który uznał, że są godne zaufania i poparł je jako członki prezydium.

Ja tymczasem siedziałem w domu i czytałem gazety oraz słuchałem radia. Czułem się fatalnie. Wiedziałem, że mój powrót do PRL jest ryzykowny, bo byłem jednym z dwóch łomżyńskich ekstremistów. Poza tym samoloty i tak nie latały... Pojechałem do znajomych pod Paryż. Tam zatelefonowali do mnie ci znajomi, których wprowadziłem do komitetu. Było im jakoś niezręcznie, że oni zostali przyjęci, a ja nie. Na ich prośbę wróciłem do Paryża. Okazało się, że nikt nie zajmuje się rejestracją represji i represjonowanych. Zabrałem się więc do spisywania. Zakładałem karty wszystkich internowanych i uwięzionych.

M.H.-P.: — Skąd czerpałeś dane?

P.C.: — Najpierw z gazet, a potem dodatkowo od ludzi przyjeżdżających z Polski. Dane te wysyłał mi Francuzom, którzy chcieli pomagać i pisali do nas z prośbą o adresy. Ponieważ mówiłem po francusku, chyba po miesiącu zacząłem jeździć na mitingi. Trzy razy w tygodniu w różne strony Francji. Zainteresowanie było ogromne. Na każdym mitingu było od 300 do 500 osób, a zdarzało się, że i 3.000, kiedy miting był na stadionie. Prócz Francji jeździłem do Luksemburga, Portugalii... Byłem na kongresie związków zawodowych w Irlandii...

Po jakimś czasie Jacek Kaczmarski stwierdził, że nie może dłużej uczestniczyć w pracach komitetu, bo chce śpiewać. Podobnie aktor Andrzej Seweryn. Na ich miejsce weszli Barbara Szczepańska i Sławek Czarlewski, który przyjechał z Holandii. W kraju pracował w sekretariacie Komisji Krajowej. Zapomniałem powiedzieć, że w jakieś dwa tygodnie po powstaniu komitetu Sewek Blumsztajn zaczął wydawać *Biuletyn Informacyjny*. Bar-

bara Szczepańska dość szybko zrezygnowała z pracy w prezydium i na jej miejsce zaproponowano mnie.

M.H.-P.: — *Podobno w pierwszym okresie nie potrafiliście odpowiedzieć na ogromne francuskie zaangażowanie w pomoc dla Polski i wręcz wyciszyliście spontaniczny zapal Francuzów?*

P.C.: — Tego bym nie powiedział. Uważam, że Francuzi w pewnym sensie narzucili nam wówczas styl pracy, między innymi domagając się od nas adresów, danych, wyjaśnień. Potem na podane przez nas adresy wysyłali paczki.

M.H.-P.: — *Jakie wydarzenie z pierwszego okresu zagranicznego przedstawicielstwa „Solidarności” uważasz za szczególnie ważne, decydujące dla przyszłego stylu pracy Biura?*

P.C.: — Zebranie w Norwegii, zorganizowane dzięki pomocy norweskich związków zawodowych. Tam odbyła się wielka debata, mająca istotne znaczenie dla kształtu Biura. Zebrało się około 50-ciu osób z różnych krajów, w tym sporo delegatów na I Krajowy Zjazd „Solidarności” oraz działacze zarządów regionów. Różne były koncepcje co do tego, gdzie powinno się znaleźć centrum zagraniczne i jak powinno działać. W drugim dniu norweskiego spotkania okazało się, że istnieje list TTK w tej sprawie. Powierzał on Jerzemu Milewskiemu zorganizowanie Biura Koordynacyjnego „Solidarności” za granicą.

M.H.-P.: — *Czy list ten jednoznacznie desygnował Milewskiego na to stanowisko? Słyszałam głosy, podważające istnienie takich wskazań TTK.*

P.C.: — Bzdury. W liście TTK było to jednoznacznie sformułowane. Wielu spośród tych 50-ciu zebranych miało spore ambicje. Szesnaście miesięcy jawnego działania „Solidarności” rozbudziło ambicje działaczy. W Szwajcarii byli np. ludzie, którzy uważali swój mandat za najsilniejszy. Byli oni chyba ostatnią delegacją „Solidarności”, która wyjechała z kraju przed wprowadzeniem stanu wojennego. Milewski został w Oslo zatwierdzony większością głosów, centrum zaś zlokalizowano w Brukseli, choć nie ulegało wątpliwości, że najsilniejsza grupa istnieje we Francji. Biuro miało więc funkcjonować na osi Bruksela - Paryż. Po powrocie z Brukseli do naszego paryskiego prezydium dokooptowana została Danuta Nowakowska. Działała ona przez cały okres poprzedni na terenie nauczycielskich związków zawodowych.

M.H.-P.: — *Czyli paryskie Biuro nie kwestionowało mandatu Milewskiego?*

P.C.: — Nie można tak powiedzieć, bo Zbigniew Kowalewski z naszego Biura był jednym z kontestujących.

M.H.-P.: — *Na czym polegała tzw. „afera Kowalewskiego”, która narobiła w swoim czasie sporo szumu w kraju i na emigracji?*

P.C.: — Różni koledzy z prezydium mówili, że dostają z kraju informacje, że Kowalewski nie cieszy się zaufaniem. Ja takich informacji nie otrzymywałem. Kowalewski był najbardziej spośród nas określony politycznie. Nie ukrywał swoich marksistowskich przekonań. Uczestniczył w zebraniach rozmaitych grup politycznych, choć ustaliliśmy, że nie robimy tego, chyba że organizatorami są wspólnie związki zawodowe i partia. Kowalewski wyjechał też do Irlandii na zaproszenie jakichś partii politycznych, do kraju Basków, do Meksyku na zaproszenie partii trockistowskiej. Po jego pobycie w Meksyku tamtejsi związkowcy byli obrażeni, bo w ogóle się z nimi nie spotkał, tylko z trockistami... Było na niego wiele donosów, że to człowiek podejrany, nasłany... Wreszcie przyszedł list z TTK, niezwykle dyplomatyczny i skierowany do Kowalewskiego, ale na ręce prezydium. Konkluzja sprowadzała się do tego, że TTK nie może mieć zaufania do Kowalewskiego i prosi go o wstrzymanie się od działania do czasu wyjaśnienia wątpliwości. Kowalewski nie przyjął tego listu do wiadomości... Dla przybliżenia ci sylwetki Kowalewskiego mogę jeszcze powiedzieć, że był autorem książki wydanej po hiszpańsku w kilku krajach Ameryki Południowej na temat działalności partyzantki komunistycznej. Wiele lat pracował na Kubie i miał tam szerokie kontakty. Po liście TTK odbyły się dwa zebrania komitetu. Starano się Kowalewskiego wykluczyć. Popierało go kilka osób, które były niezadowolone z form działania komitetu. Podobnie jak on uważały, że powinniśmy prowadzić działalność polityczną. Podstawą konfliktu z Kowalewskim było to, że chciał tutaj tworzyć programy polityczne dla Polski. Uważał, że „Solidarność” w Polsce nie jest przygotowana politycznie do prowadzenia walki, a przecież na świecie są przykłady, jak to należy robić. Należy więc kolegom do kraju śłać te programy i instrukcje... Prezydium zaś stało na stanowisku, że Biuro ma charakter instancji wykonującej polecenia TTK. Kowalewski w tym sporze wezwał na świadków klasę robotniczą Francji i Polski oraz trockistowskie pismo *Intercom*. Domagał się wręcz publicznego procesu, w którym to w jego obronie miała wystąpić klasa robotnicza obu krajów. Odszedł w końcu z 11-oma osobami i zatrzymał nazwę komitetu. Zajął gdzieś na dziko jakiś budynek, skąd wyrzuciła go policja i była kolejna afera. Do prasy dał bowiem informację, że to atak na „Solidarność”. AFP zgłosiła się do nas z prośbą o wyjaśnienie, jaki to komitet... etc. *Nota bene* ta

grupa 11-tu osób, która z nim odeszła, bardzo szybko się rozpadła. Potem wybuchła jeszcze jedna bomba w prasie, że mianowicie francuski kontrwywiad prowadzi jakieś śledztwo przeciwko Kowalewskiemu, który ma powiązania z wywiadami... Ostatecznie sprawa zakończyła się ugodowo. Wydaje mi się, że kontrwywiad nie miał konkretnych dowodów, a tylko podejrzenia.

M.H.-P.: — *Co działo się z pozostałymi osobami, które odeszły z Kowalewskim? Pytam dlatego, że zdaje się, że z nimi zniknęła część dokumentacji księgowej komitetu?*

P.C.: — Razem z ich odejściem rzeczywiście zginęła część dokumentacji. Nikt się do tego nie przyznał. Potem ta sprawa wypłynęła przy próbie przekazania rzekomo naszej dokumentacji księgowej ambasadzie polskiej... Była taka afera z trzecim sekretarzem ambasady, który miał przejmować dokumenty od współpracownika komitetu w zamian za załatwienie jakichś spraw rodzinnych. Wkroczył w to kontrwywiad francuski. Trzeci sekretarz zamknął się na dwa tygodnie w ambasadzie. Potem dyskretnie opuścił Francję.

M.H.-P.: — *Brzmi to jak polskie wydanie Jamesa Bonda. A jak wasze sprawy księgowe po zniknięciu dokumentacji?*

P.C.: — Części dokumentacji, podkreślam. Jesteśmy od pięciu lat pod kontrolą francuskich związków zawodowych, które stworzyły stowarzyszenie, kontrolujące zarówno nasze prowizorium budżetowe jak i bilans finansowy. Na takiej samej zasadzie pracuje Biuro w Brukseli. Zdaje się, że jest to właściwe.

M.H.-P.: — *Zostawmy teraz dramatyczną historię początków Biura, choć to pewnie najciekawsze. Z tego co powiedziałaś rozumiem, że generalnie zwyciężyła tendencja urzędniczo-wykonawcza nad nazwijmy to kreatywną. Wiele osób odeszło w zgodzie i w niezgodzie. Jest spokój. Biuro pracuje... W kraju generalnie brak informacji na temat jego działalności.*

P.C.: — Wysyłałiśmy do kraju sporo danych o działalności Biura, a także o działalności francuskich związków zawodowych. Co się z tym dalej działo? Czy docierało? Nie ma na ten temat pełnych danych. Szefem paryskiego Biura „Solidarności” jestem od lutego 1985 roku. Przede mną był nim Jacek Krawczyk. Wcześniej oczywiście byłem członkiem Biura... Ale dopiero list Milewskiego z nominacją powierzał mi również odpowiedzialność polityczną. Ten sam list został rozesłany do zachodnich związków. Odbylem z nimi turę spotkań... Wtedy działy się już bardzo ważne rzeczy, mam na myśli umowy o współpracy między związkowcami

francuskimi i polskimi. W 1983 zostały zawarte dwie pierwsze umowy, między CFDT z Paryża i Regionem Mazowsze oraz między FO z Paryża i Gdańskiem. Na początku 1984 została zawarta jeszcze jedna umowa, między CFTC a Regionem Małopolska. Nawiązywaniem tych pierwszych umów z ramienia Biura zajmował się Sławek Czarlewski. Ja w tym czasie prowadziłem kartoteki represjonowanych oraz jeździłem na mitingi.

Dzisiaj mamy już zawartych 9 umów międzyregionalnych. Prace nad kartoteką represjonowanych i organizowaniem dla nich pomocy przekazałem w zasadzie Danucie Nowakowskiej.

M.H.-P.: — *Patrząc na personel Biura można stwierdzić, że postawiłeś na kobiety. O pani Nowakowskiej już wspomniałeś. Archiwum prowadzi Lena Kaczmarek...*

P.C.: — Nie... Przecież *Biuletyn Informacyjny* redaguje Marek Tabin. Komitet od dawna już nie składa się z 40-tu osób. Nie-wielka część wróciła do Polski, inni podjęli pracę zawodową, często poza Paryżem. Wracając do mojego kierowania Biurem. Odkąd przyszedłem, pracujemy w zasadzie w tym samym składzie. Dość ściśle staram się przestrzegać dyscypliny pracy i podziału kompetencji...

M.H.-P.: — *Co to znaczy?*

P.C.: — Nie wtrącam się np. w kontakty z krajem, bo z ramienia Biura w Brukseli są za nie odpowiedzialni inni ludzie. Ja zajmowałem się kontaktami ze związkowcami, o czym już mówiłem. Kiedy objąłem funkcję kierownika, kontakty ze związkowcami francuskimi były szalenie rozluźnione. A oni po prostu też chcieli wiedzieć, czego od nich oczekujemy. Trzeba było wobec nich wystąpić z gotowym planem działania.

M.H.-P.: — *Zrobiłeś to?*

P.C.: — Wystąpiliśmy z projektem umów na całą Polskę. Z Jerzym Milewskim ustaliliśmy, że właśnie ja będę się tym zajmował. Umowy te związane są z ogromną dyskrecją. To już nie jest tylko sprawa zaufania, ale kompetencji i odpowiedniego ustalenia pracy, tak, by „litera” umów mogła funkcjonować. Oczywiście ważne było również przekazywanie zachodnim związkowcom informacji o represjach wobec związków w Polsce. Wcześniej robiłem ręczne listy represjonowanych i wysyłałem do odpowiednich związków, żeby te coś w tej sprawie robiły: wysyłały paczki, pisały listy protestacyjne.

M.H.-P.: — *Czy staracie się dotrzeć do francuskiej prasy?*

P.C.: — Trzeba przyznać, że od kiedy zaczęły działać teleksy (przełom wiosny i lata 1982) zainteresowanie prasy francuskiej naszym Biurem spadło. Pisma zaczęły po prostu wysyłać do Polski swoich korespondentów. I to takich znakomitych jak korespondent *Le Monde* Bernard Guetta, który teraz jest w Waszyngtonie. Oczywiście nadal utrzymujemy kontakty z prasą, szczególnie z *Quotidien de Paris*, *Nouvel Observateur*, także z prasą prowincjonalną, z rozgłośniami francuskiego radia i wolnymi radiami. W tym najwcześniejszym okresie najwięcej wywiadów udzielił chyba Sewek Blumsztajn. Był on postacią znaną już wcześniej z działalności KOR-owskiej. Czasami byłem jego tłumaczem. Sam też parę razy wystąpiłem w telewizji francuskiej. Potem była sprawa o pieniądze idące do Polski z National Endowment for Democracy. Zwrócono się do nas z pytaniem, jak NED przesyła te pieniądze do Polski i na dodatek straszliwie wyolbrzymiono sumy płynące stamtąd do Polski. Nie miałem czasu na żadne konsultacje, bo tutaj telewizja tak pracuje... Przyjeżdżają i trzeba odpowiadać...

M.H.-P.: — *I bardzo dobrze. Jestem „za”.*

P.C.: — Chciałbym jeszcze wrócić do sprawy umów, bo to one były moją ambicją. W 1985 CFDT pojechało do Polski. Wyjazd ten przygotowywałem razem z Mirkiem Chojeckim. Związkowcy CFDT wrócili z Polski z projektem rozwijania w ślad za regionalnymi także umów zakładowych. Podpisali w Polsce umowy o współpracy konfederacji CFDT z TKK i w Polsce właśnie zdecydowali, że na podstawie umów regionalnych będą rozwijane umowy zakładowe. Do tej pory zawarto ich niewiele, bo tego rodzaju kontakty nie są łatwe, co stwierdzam na podstawie własnych doświadczeń. Czasami jest tak, że to czego chce kraj nie wydaje się dobre związkowcom francuskim. Wtedy przekazuję ich wątpliwości. Zanim przyjdzie odpowiedź, zanim się strony zastanowią... A potem jeszcze ktoś musi pojechać i dogadać na miejscu. To wszystko ciągnie się niesłychanie długo.

M.H.-P.: — *Jak określiłbyś zasady twojego działania na początku roku 1987, kiedy rozmawiamy?*

P.C.: — Przede wszystkim mam kontakty na poziomie krajowym z szefami spraw międzynarodowych. Mówię o dwóch największych związkach, bo te mają najwięcej umów w Polsce, tzn. CFDT (pięć umów) i FO (trzy). Ponadto CFDT ma jedną. Są też trzy umowy o współpracy zakładowej. To są bardzo ważne sprawy i od początku miałem do nich przekonanie. Pomysł nie

był mój. I nie do końca jestem zadowolony z realizacji tego, co strony przy podpisywaniu umów postanawiają.

M.H.-P.: — *Mam dwie uwagi. Pierwsza, że jak już nic nie zostanie, to zawsze pozostaną po tych umowach i czasach więzi międzyludzkie. Druga — nie miej wielkiego żalu o realizację, bo rzeczywistość rzadko odpowiada ideałowi.*

P.C.: — Uważam za bardzo ważne, że poza Bujakiem, Borusewiczem i Wąsą sporo działaczy szczebla zakładowego w regionach spotkało się z francuskimi związkowcami. Że przegadali parę nocy, pokłócili się... Może zrozumieli, że francuskie społeczeństwo jest inne od polskiego i różne są jego problemy.

M.H.-P.: — *Jeden z działaczy CFDT (życzliwy „Solidarności” i wielokrotnie jeżdżący z pomocą) powiedział, że Polacy nie są zainteresowani problemami francuskimi. Ich zainteresowanie ogranicza się do pieniędzy, których od Zachodu oczekują.*

P.C.: — Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem. Polacy generalnie idealizują Zachód. Wydaje im się, że tutaj sprawiedliwość społeczna jest idealna, że nie ma żadnych kłopotów ekonomicznych. Widzą świat w barwach czarnobiałych.

M.H.-P.: — *Sporo Polaków jednak jeździło po świecie.*

P.C.: — Ale bardzo wielu nie chce widzieć żadnych problemów poza swoimi własnymi. Są i tacy, którzy wracają do kraju i nie chcą się przyznać, że nawet jeżeli się dorobili, to bywało ciężko. Wydaje im się, że burzyliby jakiś obraz, albo że byliby posądzeni o sympatie komunistyczne.

M.H.-P.: — *W twojej interpretacji kontakty między związkowcami na szczeblach zakładowych, prócz niesienia pomocy polskim związkowcom, mają cele edukacyjne.*

P.C.: — W umowach chodzi o to, żeby ci robotnicy, prości ludzie pracujący w zakładach — w jakimś stopniu porównywalnych — spotykali się. Żeby się do siebie „przymierzali”, żeby wzbogacała się osobowość jednych i drugich. Żeby ewidentna stawała się sprawa naszej przynależności do wspólnej europejskiej kultury. Dla nas Polaków jest to oczywiste i coraz więcej ludzi to widzi. Chcemy, żeby i Francuzi odczuli, że my do tej kultury należymy i chcemy należeć. Poza tym niech nasi związkowcy zobaczą, co to jest działalność partii, związków zawodowych i stowarzyszeń. Jak to ze sobą współgra, że się nie zabijają, że można wspólnie podejmować decyzje. Jak wygląda udział pracownika francuskie-

go w zarządzaniu sprawami zakładu, a jak zależność pracownika od pracodawcy.

M.H.-P.: — *Jak ocenilibyś aktualną rolę Biura?*

P.C.: — Naszym zadaniem jest niesienie pomocy ludziom, którzy w Polsce działają w opozycji demokratycznej.

M.H.-P.: — *Czy jest w Polsce opozycja niedemokratyczna?*

P.C.: — Ta inna mnie nie interesuje... A więc usiłowanie niesienia pomocy stąd, jak powiedziałem. Sądzę, że nie wyczerpaliliśmy wszystkich możliwości. A w ogóle wierzę, że komunistów należy zwalczać inteligencją i są przed nami perspektywy...

M.H.-P.: — *Jak ci się współpracuje z Biurem w Brukseli, czyli z „centralą”?*

P.C.: — W większości przypadków harmonijnie.

M.H.-P.: — *Co to znaczy?*

P.C.: — Widujemy się przynajmniej raz w miesiącu, poza kontaktami listownymi i telefonicznymi.

M.H.-P.: — *I to zapewne ty jeździsz do Brukseli?*

P.C.: — Tak. Na tych spotkaniach analizujemy sytuację w kraju. Mam oczywiście własne informacje z kraju, ale niepełne i niewystarczające. Milewski ma często dużo bardziej precyzyjne. Do niego szybciej dochodzą najważniejsze decyzje władz „Solidarności”. Ma ustalone stałe formy kontaktów. Ja przekazuję swoje informacje z kraju. Nie sądzę, bym miał prawo je ukrywać przed Jerzym Milewskim. Uważam natomiast, że istnieje pewien zakres spraw, które on może trzymać przede mną w tajemnicy. Mam na myśli jedynie szczegóły techniczne dotyczące np. pomocy materiałowej czy wysyłki sprzętu do Polski. W tej dziedzinie działalności Biura mój udział jest bardzo ograniczony. Chodzi mi oczywiście o tę pomoc, która idzie do dyspozycji TKK.

M.H.-P.: — *Czyli to, co ostatnio wpadło z wielkim bukiem i fleszami telewizji i безпеiki?*

P.C.: — Również i to...

M.H.-P.: — *Na jakiej zasadzie podzielono funkcje czy zakres odpowiedzialności w Biurze brukselskim?*

P.C.: — Podzieliliśmy sami między siebie i zostało to zaakcepto-

wane przez władze „Solidarności”. Od TKK też otrzymaliśmy regulamin pracy oraz akceptację kompetencji osób odpowiedzialnych za różne dziedziny naszej działalności. Wszystkie osoby są w kontakcie z Jerzym Milewskim i powinny być zorientowane w pracy całego Biura. Ten układ zaakceptowaliśmy.

M.H.-P.: — *Nie wydaje ci się, że szef Biura w Brukseli ma manieri Wysokiego Urzędnika w Zarekawkach? Że jest otoczony doradcami i informacjami z najwyższych TKK-owskich szczebli, natomiast nie jest ciekaw głosu ludu solidarnościowego? Dam ci konkretny przykład: był w Paryżu ktoś z byłej krajówki. Chciał porozmawiać z szefem Biura Zagranicznego, ale szef nie okazał najmniejszego zainteresowania.*

P.C.: — Przyznam się, że osobiście się z takim przypadkiem nie spotkałem... Mogę powiedzieć tylko tyle, że jeżeli przyjeżdżają ludzie z kraju do naszego paryskiego Biura, to zwykle spotykam się z nimi poza Biurem. Takie są według mnie zasady bezpieczeństwa, kiedy chce się porozmawiać. Generalnie Biuro otwarte jest dla wszystkich. Informujemy jak funkcjonuje publicznie. Każdy może obejrzeć wystawę naszych archiwalnych zbiorów, zdjęć i prasy. Zajmuje cały korytarz i można ją obejrzeć. Można przeczytać *Biuletyn Informacyjny* wydawany przez Biuro. Skonsultować kartotekę represjonowanych, bo to nie jest tajemnica.

M.H.-P.: — *Często słyszałam, że członkowie Biura twierdzą, iż są na delegacji. Co to znaczy?*

P.C.: — Trochę się czujemy jak na delegacji. Nie chcę się nad tym rozwodzić. Nie mam żadnych konkretnych planów powrotu...

M.H.-P.: — *Czy utrzymujecie kontakty z francuskimi grupami „Solidarité avec Solidarność”?*

P.C.: — Miałem z nimi sporo kontaktów. Teraz mniej...

M.H.-P.: — *Waszą rolę w stosunku do kraju określiłeś jako usługową. Czy znaczy to, że uzgadnianie z krajem wszystkie szczegóły?*

P.C.: — Uzgadniamy wszystko, co jest możliwe do uzgodnienia w celu zorganizowania pomocy.

M.H.-P.: — *Czy często nachodzą was agenci безпеiki lub KGB?*

P.C.: — Przede wszystkim nasza rola nie polega, moim zdaniem, na robieniu konkurencji wywiadom czy kontrwywiadom... Nam

pozostaje ostrożność w kontaktach z ludźmi i właściwe użytkowanie informacji, które posiadamy. Sądzę, że to jest najlepsza ochrona przed infiltracją. Zdarzały się różne rzeczy... Bywało i tak, że grupka ludzi na czele z działaczem „Solidarności” z Bielska-Białej, Zającem, wtargnęła do komitetu i przedstawiła koncepcję przejścia go. Zając nawet wszedł wówczas do tego szeroko rozumianego, dużego jeszcze komitetu i pieniał się przez jakiś czas. Potem pojechał na północ Francji, gdzie jako były internowany został gorąco przyjęty przez tamtejszą Polonię, która załatwiła za niego wszelkie sprawy bytowe. Potem zrezygnował z azylu, wrócił do Polski i sprzedął się. To nawet było głośne. Czy to był szpieg? Nasłany? Czy też niezaspokojone ambicje? Nie wiem. Było kilku innych, podobnych do niego w działaniu, ale przykład Zająca jest najbardziej znany w kraju i na emigracji... Sądzę, że próby infiltracji na pewno miały miejsce. Gdyby jednak za bardzo koncentrować się na tej dziedzinie działalności, nie starczyłoby czasu na pracę. Niemniej nie wolno tego lekceważyć.

M.H.-P.: — *Czy Biuro ma kontakt z grupą byłych internowanych osiadłych na terenie Francji?*

P.C.: — Do Francji przyjechało z rodzinami około trzech tysięcy byłych internowanych. Jeszcze więcej wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych. Trochę do Kanady, Australii i innych krajów. Z grupy francuskiej znam chyba z dziesięć osób, które albo są prenumeratorami naszego *Biuletynu Informacyjnego*, albo przysyłają nam polskie gazetki podziemne, które otrzymują od kolegów z kraju, czy też wpłacają jakieś datki na fundusz represjonowanych. Może trzy osoby zgłosiły pomysły przerwania do kraju materiałów drukarskich. I co więcej potrafiły je zebrać i wysłać. Ale jak na taką ilość byłych internowanych to niedużo. Może inni też działają, ale nie wiem o tym. Sądzę, że emigracja byłych internowanych wynikała przede wszystkim z niewiary w jakąkolwiek zmianę w kraju. Ta niewiara decyduje też o ich postawie na emigracji. Ludzie ci w zasadzie zrezygnowali z tworzenia tutaj czegokolwiek dla kraju. Czasami otrzymywaliśmy jakieś deklaracje na temat tworzenia różnych reprezentacji solidarnościowych, które miały przypominać MKZ w kraju. Ograniczało się to jednak do samej chęci zorganizowania. Były też propozycje zorganizowania zjazdu „Solidarności” na koszt Biura. Odpowiedzieliśmy wówczas, że owszem, udostępnimy lokal, porozmawiamy, ale nic ponadto, bowiem nasz wysiłek skierowany jest na pomoc dla „Solidarności” w kraju. Na tym propozycje się skończyły. Po prostu środowisko emigracji po-solidarnościowej w większości nie włącza się w akcję pomocy dla związkowców w kraju.

M.H.-P.: — *Czyli odcięli się?*

P.C.: — W zdecydowanej większości tak. Wiele osób może czuć się dotkniętą taką opinią... Wiele pewnie otrzymuje informacje od kolegów z kraju, czy też zorganizowało wysłanie paczki dla kogoś. Sądzę, że takie działanie ma miejsce. Nie jest to jednak pomoc aktywna, raczej gesty sumienia.

M.H.-P.: — *Może więc słuszny był pomysł zorganizowania owego zjazdu celem przetamania niechęci czy zintegrowania ludzi tutaj na Zachodzie?*

P.C.: — Nie sądzą, ale tak czy inaczej organizacją takiej imprezy nie można obciążać Biura. My możemy w tym uczestniczyć, propagować, ale nie możemy brać na siebie wysiłku organizacyjnego, bo nas na to nie stać. Nie będę przeliczał, ile offsetów można kupić za koszt takiego zjazdu i wysłać do Polski...

M.H.-P.: — *Czy masz jakieś dane na temat działania grup byłych internowanych na terenie Kanady, Australii etc.?*

P.C.: — W Kanadzie jest grupa byłych internowanych z miasta, w którym pracowałem, czyli z Łomży. Stworzyli tam Komitet Poparcia „Solidarności”. Wydają pismo *Solidarność i Niepodległość*. Nas proszą o *Biuletynu Informacyjnego*, które im wysyłamy. Organizują zbiórki dolarów, które potem przekazują *Kulturze* na wysyłkę do Polski. Oby więcej tego rodzaju inicjatyw.

M.H.-P.: — *Jaki jest skład osobowy Biura w Brukseli?*

P.C.: — Jerzy Milewski, Joanna Pilarska, Henryk Jagiełło (odpowiedzialny za księgowość Biura), Marek Michalski, Mirek Chojecki, Marian Kaleta i ja.

M.H.-P.: — *Doradcy Biura?*

P.C.: — Bogdan Cywiński, Zdzisław Najder, Krzysztof Pomian.

M.H.-P.: — *Czy działalność Biura na terenie Francji, tego Biura, którego jesteś szefem, ma twoim zdaniem swoją specyfikę?*

P.C.: — Francję i Polskę łączą więzy historyczne, kulturalne, polityczne oraz sentymentalne... Natomiast jeśli chodzi o sam ruch związkowy, to dla nas, polskich związkowców, to bardzo interesujący przykład. We Francji konfederacje związkowe nie są organicznie związane z partiami politycznymi.

M.H.-P.: — *Poza komunistycznym CGT?*

P.C.: — Oczywiście. Pozostałe centrale związkowe przywiązują duże znaczenie do swojej niezależności od władzy i od partii politycznych. Co nie oznacza, że nie kontaktują się z partiami politycznymi. Te kontakty, o charakterze informacyjnym, są niezwykle pożyteczne. Poza tym jeszcze jedną cechą ruchu związkowego na Zachodzie chciałbym podkreślić. Mianowicie tę, że do związków zawodowych należy mniejszość pracowników. We Francji około 20 %. Głównych central związkowych jest sześć... Ostatnie zimowe strajki w komunikacji spowodowały zmianę stosunku polityków w stosunku do związków. Musieli oni bowiem w czasie owych strajków rozmawiać i pertraktować ze spontanicznie powstałymi komitetami strajkowymi. Na ich czele stali ludzie nie mający nic wspólnego ze związkami zawodowymi. Rząd przekonał się, że lepiej mieć partnera, który ma nawyki prowadzenia dialogu i wypracowywania kompromisu, czyli związkowców.

Sądzę również, że w efekcie przedłużających się strajków związki zawodowe po raz pierwszy od dłuższego czasu zaniepokoiły się utratą swoich wpływów wśród pracowników.

M.H.-P.: — *Ostatnie pytanie: czy poza Paryżem i Brukselą istnieją inne Biura „Solidarności”?*

P.C.: — Paryż jest jedynym oddziałem zagranicznym Biura, natomiast istnieją przedstawicielstwa w różnych krajach, przy tamtejszych centralach związkowych. Takie przedstawicielstwo jest we Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych. Poza tym istnieją grupy, a nawet pojedyncze osoby popierające „Solidarność” przy związkach zawodowych i innych organizacjach społecznych. Są one w Szwajcarii, Francji, Szwecji, Anglii, Australii, Japonii. Działają zgodnie z własnymi przekonaniem, niezależnie od Biura i na własną odpowiedzialność...

M.H.-P.: — *Przekroczyliśmy połowę roku 1987. Czego dokonało paryskie Biuro w ciągu minionych miesięcy?*

P.C.: — W lutym i lipcu zostały zawarte dwie kolejne umowy o współpracy. Jedna o charakterze regionalnym, między RKW Pomorza Zachodniego a prowansalską organizacją regionalną CFDT oraz pierwsza umowa między francuską Federacją Edukacji Narodowej (FEN) a komisjami zakładowymi wyższych uczelni Warszawy i zdelegalizowanym ZNP. Nad realizacją tych umów pracujemy wspólnie z francuskimi kolegami. W kwietniu zapoczątkowaliśmy nową inicjatywę, którą uważamy za ważną dla ewolucji świadomości francuskich związkowców. Przygotowaliśmy

my cykl wykładów poświęconych problemom społeczno-politycznym Europy środkowej i wschodniej. Rozpoczęliśmy od seminarium na temat warunków życia i pracy w tych krajach. W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele środowisk opozycyjnych z tamtych krajów oraz członkowie francuskich związków zawodowych. W październiku debatować będziemy nad możliwościami i prawem stowarzyszania się. Kolejne seminarium poświęcone będzie nauce i kulturze niezależnej. Chcemy po każdym spotkaniu wydawać broszurkę zawierającą omówienie najważniejszych wystąpień, celem udostępnienia ich działaczom związków zawodowych w krajach zachodnich. Dla działaczy krajowych przygotowujemy natomiast wydawanie kwartalnika zatytułowanego *Przegląd francuskiej prasy związkowej*. Pierwsze egzemplarze powinny niebawem znaleźć się w kraju. Mam nadzieję, że będą omawiane i przedrukowywane. W tym roku wydaliśmy już jedną broszurkę z takim przeznaczeniem, mianowicie zbiór wypowiedzi francuskich związkowców o Polsce. Ma ona na celu pokazanie polskim działaczom, jak widzą „Solidarność” zaprzysiężone centrale związkowe.

W listopadzie planujemy otwarcie objazdowej wystawy polskiej prasy podziemnej i niezależnych wydawnictw. Wernisaż odbędzie się w zakładzie produkcji rakiet kosmicznych w St. Nazaire. To chyba tyle o bieżącej działalności Biura w Paryżu. Oczywiście będziemy uczestniczyć w obchodach 100-lecia chrześcijańskich związków zawodowych, także w dorocznym święcie FO i obradach paryskiej unii regionalnej CFDT.

M.H.-P.: — *Czyli jako szef Biura jesteś w dobrych stosunkach z działaczami francuskimi. Czy różni się od tych, których znałeś w Polsce?*

P.C.: — I tak, i nie... Działacze francuscy to ludzie nastawieni do życia altruistycznie, niesłuchanie społeczni. Może widać to dlatego, że jest ich tak niewiele w stosunku do polskich związków zawodowych. We Francji, poza pracą w związku, działacze należą jeszcze do kilku czy kilkunastu stowarzyszeń. Znają prawo pracy, prawo stowarzyszania się. Przede wszystkim jednak szalenie wyraźny jest podział między działaczami i członkami... Wśród przywódców związkowych na ogół nie spotyka się ludzi z wyższym wykształceniem, czyli odmiennie niż w Polsce. Dotyczy to szczególnie od lokalnego do centralnego. Sekretarz generalny CFDT — Edmond Maire — jest technikiem chemikiem, André Bergeron z FO — drukarzem, a przywódca CFTC, Jean Bornard — górnikiem, który już podczas pracy skończył prawo i filologię. Natomiast wśród urzędników zatrudnionych na etatach w związkach zawodowych są ludzie z wyższym wykształceniem... Cóż jeszcze?

Stosunkowo rzadkie jest przechodzenie od działalności związkowej do politycznej. Oczywiście poza CGT, gdzie większość działaczy jest równocześnie członkami partii komunistycznej...

M.H.-P.: — *Na zakończenie trochę o tobie. Jak ci się żyje we Francji?*

P.C.: — Dobrze.

M.H.-P.: — *Ile zarabiasz?*

P.C.: — 5.024 F plus 773 F na dziecko.

M.H.-P.: — *Jak się kształtują twoje wydatki?*

P.C.: — 2.400 F płacę za trzypokojowe mieszkanie, około 1.500 za telefon. Podróże do Brukseli opłaca mi tamtejsze Biuro. Te po Francji w zależności od uzgodnienia, albo nasze Biuro, albo francuskie związki. Po wakacjach dziecko pójdzie do prywatnego żłobka, za które będę płacił 400 F miesięcznie...

M.H.-P.: — *Ile zarabia szef CFDT?*

P.C.: — Nie wiem... Natomiast Jean Bornard z CFTC zarabia 12 tysięcy, co podobno jest bardzo mało w porównaniu z przywódcami innych central związkowych. Mieszka on w ładnym domku pod Paryżem, który kupił za najbardziej popularny 20-letni kredyt... jak wielu wykwalifikowanych robotników francuskich.

M.H.-P.: — *Życzę wszelkiej pomyślności i domku pod Paryżem na robotniczy kredyt.*

Rozmawiała Maria de HERNANDEZ-PALUCH

LEKARSTWA

BONY DOLAROWE

dewizowe konta bankowe A

HASKOBA Ltd

81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919



Kronika kulturalna

Śmiech i trwoga

PRZYCZYNKI DO EWOLUCJI JANUSZA GŁOWACKIEGO

1. Co było

Urodził się 13 września 1938 roku, *przypadkowo* w Poznaniu. Na pytanie, co pamięta z czasów wojny odpowiada, że ucieczkę z matką z płonącej Warszawy, gdy ich dom został zbombardowany. Ojciec brał udział w Powstaniu. Po drodze widział trupy i ruiny, ale najbardziej zapamiętał instrukcję matki, dokąd ma iść dalej, jeśli ją zabiją.

Ocaleli. Mieszkał potem dwa lata w Zakopanem, ale *via* Łódź przesunął się ponownie w kierunku centrum. Do szkół uczęszczał wielu, najdłużej do szkoły RTPD (następnie TPD) nr 1 na Żoliborzu, pokazowej na cały kraj kuźnicy młodych charakterów. Tej szkole dawni jej wychowankowie powinni kiedyś poświęcić księgę zbiorową. Kogo w ich szeregach nie było! Dość wymienić Jacka Kuronia. Uczniom od zarania edukacji podstawowej udzielano tam lekcji religii wedle Nowego Kalendarza i nawet jednostki z rodzin reakcyjnych płakały, same z siebie, bez przymusu, na wieść o Niewiarygodnym: śmierci Nieśmiertelnego i Przyjaciela Dzieci. Wskutek braku oparcia w trwałym kulcie scyniczniły do tego stopnia, że już niechętnie dały się odciąć nakłonić do form uczestnictwa w zinstytucjonalizowanej religii. Janusz Głowacki otrzymał w tej szkole świadectwo dojrzałości, które go dobrze przygotowało do dalszego życia. Szkole tej zawdzięcza w dużym stopniu, że jest taki, jaki jest. Wiem co piszę, bo sama jestem jej absolwentką.

Następnie Janusz Głowacki udał się na studia. Wytrzymali z nim próbnie rok w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, ale z powodów wyżej wymienionych nie nadawał się do przeżywania ról wedle metody Stanisławskiego, choć tak zwane warunki po-

siadał. Potem równie krótko studiował historię na UW, co wybrał chyba wskutek chwilowego zamęcenia lub próby wyłaniania się od zasadniczej służby wojskowej. Wiedział przecież od dziecka, że historii w Polsce się nie studiuje, lecz że się ją tworzy. Przeniósł się zatem rozsądnie na Wydział Filologii Polskiej UW, zapewne nie w zamiarze zostania pisarzem (to mógł osiągnąć nie ruszając się z domu: matka była redaktorem w wydawnictwach literackich; ojciec — autorem książek dla dzieci), bo wydział kształcił przyszłych nauczycieli i drwił sobie z artystowskich ciągów studentów, lecz raczej po to, by przy minimum wkładu osiągnąć niezbędny status, czyli dyplom uniwersytecki. Wiem co piszę, bo sama jestem absolwentką tego samego wydziału.

Mój starszy kolega nawet w pobliżu Alma Mater zachowywał się prowokująco. Kiedyś na Krakowskim Przedmieściu wykonał sprawnie gwiazdę nie wyjmując ręki z kieszeni i ruszył dalej, udając że nie dostrzega wybałuszonych oczu przechodniów. Od tej chwili wiedziałam, że zostanie artystą.

I rzeczywiście. Debiutował w „Almanachu młodych” opowiadaniem „Na plaży”. Historia o kimś, kto się utopił, ale wesóło napisana. Autoironię uważa Głowacki za oznakę inteligencji. Z pisarzy czytuje najchętniej Gogola, Babla, Kafkę, Gombrowicza, wracając do tych lektur po wiele razy. Począwszy od „Wirówki nonsensu”, która ukazała się w 1968 roku, wydał w Polsce dziesięć książek. Miał ciekawy rok na debiut książkowy; można powiedzieć, że pod dobrymi auspicjami zaczęła się jego kariera. Ale Głowacki jest naturą przewrotną; im jest gorzej, tym dla pisarstwa jest lepiej. Do literatury zmierzał przez reportaż, ale gdy szybko pojął, że tej rzeczywistości nie da się opisać zgodnie z wymogami gatunku, przeszedł na felieton. Mówi, że kiedyś pisał szybko, ale teraz już nie. Stale coś poprawia i dopisuje i skreśla. Cenzura, wedle sławnego prawa sformułowanego przez Andrzeja Kijowskiego, też jakby działała na jego zysk. Przy mierzał różne maski literackie i taktycznie zmieniał je, gdy zachodziła wyższa konieczność. Kiedy Stanisław Ryszard Dobrowolski ogłosił, łatwo się domysłuć jaką, powieść o Marcu 68 pt. „Głupia sprawa”, Głowacki napisał *quasi*-recenzję w tonie i argumentacji doktora marksizmu-leninizmu, porównując ją z „Ulisesem” Joyce’a i wykazał, że w niektórych momentach dzieło SRD może nawet go przewyższa, a w słabszych partiach jest nieco gorsze. Niektórzy uważali, że chyba trochę przesadziłem z tak wysoką oceną, ktoś przestał mi podawać rękę. Wynałazł przy okazji metodę, która wielokrotnie mu potem służyła.

Szybko osiągnął wszystko, o czym młody pisarz może zamarzyć: wydania (nie bez okresowych trudności) książek w języku rodzimym i obcych, scenariusze odrzucane i realizowane (do tych ostatnich należą „Polowanie na muchy”, „Rejs”, „Trzeba zabić tę

miłość”, „Psychodrama”), a gdy się zorientował, że w kinie obowiązuje ostrzejsza cenzura niż w teatrze — sztuki teatralne, w tym „Mecz”. Miał stałe rubryki w pismach o profilu mieszanym, niebawem popularność wśród czytelników i błogosławieństwo na drogę Wielkich. Jarosław Iwaszkiewicz poświęcił Głowackiemu jedną z „Rozmów o książkach”, pisząc z okazji wydania „Paradis” w roku 1970 o „jego wielkim talencie, jego plastycznej wyobraźni, jego konkretnym widzeniu świata i jego cudownie giętkim i paradnym materiale językowym”, Henryk Bereza w szkicu o twórczości Głowackiego zauważył, że autor ma świadomość estetyczną opierającą się na przeświadczeniu, iż „kpina i tragizm nie wykluczają się wzajemnie. Ta świadomość stworzyła Głowackiemu nowe pisarskie możliwości i wyzwoliła jego pisarskie ambicje, czego świadectwem artystycznie cenniejszym niż [tytułowy] 'Paradis' jest [drugie opowiadanie z tego tomu] 'Raport Piłata’”.

Jest to opowiadanie, które i dziś czyta się bardziej z trwogą, niż ze śmiechem. W swoich najlepszych utworach (ma i gorsze, gdy można wyczuć, że pióro zbyt szybko ślizga się po papierze), gdzie eksplorowaną rzeczywistość podaje w silnym koncentracie, jest Głowacki twórcą palimpsestów: pisze na papierze już zapisanym. Spod nowych liter przezierają stare, którymi utrwalał teksty baśni, podań, przypowieści, historie awanturnicze i przygodowe. Jego „Raport Piłata” jest skrajnie zbrutalizowaną wersją Ewangelii, raportem policyjnym mieniącym się na dodatek dokumentem w „Centralnym Archiwum Historii Najnowszej”. Kończy się prostym stwierdzeniem: „Oficjalna wersja tych wydarzeń jest dopiero przez nasz wydział przygotowywana i po zaakceptowaniu przez obecnego szefa rządu zostanie podana do wiadomości publicznej”. W swym zeznaniu Piłat, *agent provocateur*, spowiada się wyższym czynnikom z okoliczności, gdy sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Opowiadanie napisane tuż przed wypadkami grudniowymi proroczo je przewiduje, ale jego siła polega nie tylko na doraźnych przepowiedniach. W tym kraju łatwo o złe przepowiednie, trudniej o dobre. Nowotestamentowa historia ciągle się powtarza i dzisiejszy czytelnik może pod „Raport Piłata” podstawić również protokoły z przesłuchań zabójców księdza Popiełuszki. Historia powtarza się stale, ale w coraz bardziej odrażającej formie, i można ją zwerbalizować już nie w dziele sztuki, lecz pod postacią donosu.

Głowacki, stosując dość konsekwentnie palimpsest, nie jest pisarzem hermetycznym, nie sięga do rękopisów znanych tylko wtajemniczonym. Odwrotnie, odwołuje się do mitu funkcjonującego powszechnie, utrwalając mimochodem jego moc obowiązującą. Ale ponieważ gorszy pieniądz wypiera lepszy, więc i Kopciuszek zmienia się w Kopciucha, doktor Faust w badylarza produkującego żabołudy, rycerz Fortynbras w fasadowego władcę. Po-

stacie literackie, które Głowacki używa do swoich celów pochodzą z najróżniejszych książek, są to jednak nieodmiennie postacie, które uzyskały byt autonomiczny; innymi słowy „Raskolnikow” istnieje nawet w wyobraźni ludzi, jacy „Zbrodnię i karę” znają co najwyżej z serialu telewizyjnego. Autor wykorzystywał w felietonach postać hrabiego Monte Christo, jeśli było mu to potrzebne, z równą swobodą co i politruka. „Skrzek” — baśń o chałupniczej krzyżówce żab z ludźmi — jest jednym z najlepszych opowiadań Głowackiego, ponieważ odwołuje się i do konkretnej rzeczywistości polskiej, i zarazem — w warstwie mitu — do Prometeusza i „Zamku w Karpatach” Jules Verne’a, do romantycznej powieści grozy i do opowiadań braci Grimm. Z uwagi na styl narracji niektórzy krytycy polscy porównywali je z „Ferdynurke” lub „Trans-Atlantykiem”. Być może, ale trzeba też sięgnąć do głębszych warstw, z których korzystał i sam Gombrowicz: bełkotliwego języka, skundlonej schedy po XVII wieku, która mu „Trans-Atlanty” podyktowała. Jest to dziś w dużo jeszcze większym stopniu język-śmietnisko. Nie zaimponuje semantyką przykładem dla nich oczywistym: zagadkową z pozoru klarownością polszczyzny doby Odrodzenia i miejscami niekoherentnym słowotokiem literatury czasów saskich. Ta pierwsza świadczyła o zasadniczej harmonii obywatela z bytem, w tym wypadku Rzeczypospolitą. Ta druga świadczyła o rosnących komplikacjach. To tak, jakby język pierwszy zdradzał oznaki śmiertelnej choroby.

Mało mnie wciągają „środowiskowe” opowiadania Głowackiego — o Warszawie alfonsów intelektualnych, o pożal się Boże miejscowych de Sade’ach, o kłębowisku ciał różnych klas i pochodzenia społecznego, opisanych nawet bez Hłaskowego gniewu, lecz z pozycji zbławowanego narratora, dla którego wszystko to jest dopiero przedszkolem zła. Dopiero gdy autorem mówi język skundlony, niewiarygodna mieszanka narzeczka biurokratyczno-propagandowego, składni telewizyjnej, pijackiego bełkotu, dopływów gwar miejskich, przedmiejskich i wiejskich, sentymentalnych popłuczyn po wypisach szkolnych z Sienkiewicza i Konopnickiej, słów grubych i wzniosłych w jednym zdaniu, wtedy dopiero jego opowieści śmieszą i przerażają zarazem. Głowacki należy do pisarzy, którzy mają bardziej wyczulony zmysł słuchu niż wzroku. Jego stopniowe ewoluowanie od epiki do dramatu jest więc chyba procesem naturalnym. Zresztą wiele jego opowiadań ma formę monologu. I — rzecz ciekawa u pisarza wychowanego w dużym mieście — Głowacki przemawia najsilniej wtedy, gdy oddaje głos nie mieszkańcowi miasta, lecz człowiekowi z rodowodem wiejskim, jak w „Skrzoku” czy w powieści „Moc truchleje”. W obu tych utworach autor posługuje się maksymalnie dostępną mieszaniną stylów mowy, ale sięga też — co ważne — do jej źródeł, tego co gwara przechowała z polszczyzny klasycznej. Trudno

powiedzieć, co Głowacki podsłuchał, a co wymyślił w warstwie językowej. I nie jest to takie ważne, bo nawet w neologizmach instynkt go nie myli. Czytając i tak już wygładzony przez Grażynę Pomian „Raport Komisji Grabskiego”, nie mogłam się oprzeć podejrzeniu, że napisał go Janusz Głowacki i że tylko on mógł wymyślić nazwisko „towarzysz Piłatowski”.

Istnieje w języku angielskim idiom nie mający dobrego odpowiednika po polsku, pierwotnie odnoszący się do walki psów. Pies-zwycięzca jest *topdog*, pies pokonany — *underdog*. W sensie metaforycznym *underdog* to ten, co jest zawsze bity, ponieważ przegrany przez los i innych. Otóż relację z pozycji *underdoga* Głowacki opanował do maestrii (zrobił z tego użytek w swoim felietonie autobiograficznym na łamach *New York Times*’a tak, że aż się Daniel Passent z oburzenia zatrząsł w *Polityce*, cytował go jednak po faryzejsku). Pisarz wprowadza często narratora naiwnego, głosu z dna egzystencji, nieświadomego nawet swojej nędzy. Takiego, co się cieszy, że go do reszty nie skopali i zgnoili, że ma *cuđną* norę. Rzekomego optymistę, któremu stale ręce drżą ze strachu. Mamy tu do czynienia z ciągle obowiązującym wzorem pana i niewolnika, ekonoma i chłopca pańszczyźnianego. Nazwy się zmieniły, forma pozostała. Bohaterowie opowieści Głowackiego, jak my wszyscy zresztą, żyją w wielu czasach jednocześnie, w kilku epokach naraz. Oglądają telewizję i wierzą w gusła. Chcieliby, żeby ich lekarz uleczył, ale gdy to nie skutkuje — odwołują się do czynności magicznych, w formie przekleństw, utraty świadomości wskutek pijaństwa, lub innych dostępnych form. Rzeczywistość jest złowroga, niepojęta rozumowo, a człowiek osaczony i zalekniiony. Gdy nie ma racjonalnego wyjścia, pozostają *osięgnięcia w dziedzinie zamawiania*. Gdyby zasadniczy porządek świata był choć trochę zgodny z logiką, ludzie daliby spokój gusłom. Zło w sensie teologicznym, jak to „Skrzek” jeszcze raz potwierdza, jest amorficzne. Dlatego diabeł ze starych drzeworytów jest płci dwojakiej, z dobrze rozwiniętymi narządami męskimi i żeńskimi, z nogą zakończoną kopytem lub szponem, z ogonem jaszczurki. A na dodatek ciągle zmienia kształty.

Ludzie u Głowackiego są stworzeni z materii mieszanej. Zachowują się wobec siebie najczęściej z okrucieństwem, ale tak im ono spowszedniało, że nawet nie zdają sobie z niego sprawy. Płaszczą się przed najniższym w hierarchii autorytetem i starają się go w miarę wątplych możliwości przechytrzyć. Głowacki jest dla mnie w mniejszym stopniu realistą, gdy opisuje światek warszawski; jest nim w dużo większym stopniu, gdy wciela się we współczesnego Piłata lub gdy opisuje apokalipsę na szczyblu gminnym. W sierpniu 1980 roku pisarz siedział w stoczni gdańskiej i uważnie słuchał. Szybko napisał „Moc truchleje” (zauważyć należy wieloznaczność tego tytułu — moc czyli *władza*). Ro-

dzący się ruch „Solidarności” przywrócił bohaterowi tej krótkiej powieści skradzioną mu godność. Kończy się ona zdaniem rdzacza nad grobem dziecka: „Widzisz synku, teraz to już chyba jakoś pójdzie”. Poszło — i zawróciło. A Janusz Głowacki w grudniu 1981 roku nie wrócił do Warszawy z Londynu, gdzie był się udał na dwa tygodnie na brytyjską premierę „Kopciucha”, która odbyła się 16 grudnia.

2. Co jest

Dlaczego wyemigrował? Dlaczego właśnie do Ameryki? Dlaczego do Nowego Jorku? Nie wiem właściwie. Czuję, jakbym nigdy na poziomie świadomości nie podjął tej decyzji. Często najpierw coś robię, potem racjonalizuję. Lubię ryzyko. Chyba zdecydował o tym mit dzieciństwa, ślepa miłość do Kaczora Donalda. Wcale mnie tu nie witali z otwartymi rękami. Urzędnik konsulatu USA w Londynie był bardzo podejrzliwy. Ale w Anglii źle się czułem. Ameryka? No może tak, bo duża i daleko. Byłem tu już przedtem, na stypendium w 1975 roku. Ale bardziej na tym zaważyła literatura amerykańska. I mityczny Broadway, Tennessee Williams, Arthur Miller. Teraz się wszystko pozmiało, jeszcze bardziej skomercjalizowało. Strach? Strach też pewnie odegrał jakąś rolę. Nie tak dużą. Nigdy się nad tym nie zastanawiam. Boję się, że dotrę do jakiegoś błędu.

Wydaje się, że o emigracji Głowackiego zdecydowało też odrzucenie łatwości. Tam osiągnął wiele, pozornie mimochodem, jakby bez wysiłku. Nadszedł właściwy czas, by zmierzyć się z najtrudniejszym: pozbawić się środowiska, znajomości terenu, w miarę wygodnego życia, stworzyć sobie samemu masę przeszkód, podwyższyć stawkę. Wiem co piszę, bo sama... Takie eksperymenty dla pisarza, który — przynajmniej na razie — nie może przejść swobodnie na dzisiejszą *lingua franca*, angielski, bywają dość niebezpieczne. Trzeba polegać na tłumaczach, nie da się utrzymać z szybkich felietonów i dzięki takiemu autostypendium ciągnąć swoje. Okres „polski” Głowacki kończy sztuką „Fortynbras się upił”, i to kończy od pięciu lat, bo ciągle ją poprawia, przerabia i przykrawa. Ze zdumieniem odkryłem, że nazwisko „Fortynbras” nie nie mówi publiczności amerykańskiej, żadnych skojarzeń, ponieważ ta rola w „Hamlecie” była najczęściej eliminowana w inscenizacjach, bo po pierwsze nie wnosi nic nowego, a po drugie oszczędza się na gaży aktora pojawiającego się tylko raz, na koniec przedstawienia. Moja sztuka to „Hamlet” opowiedziany z norweskiego punktu widzenia, to znaczy okupanta Danii. Rzecz o tym co się dzieje po przejęciu władzy, szekspirowskie dialogi. Fortynbras udaje alkoholika, żeby przetrwać. Jak „Ja,

Klaudiusz” Gravesa chroni się w szaleństwo. Znany nowojorski Public Theatre pod dyrekcją Josepha Pappa wystawił wersję czytana „Fortynbrasa...” i kupił opcję na jego pełną inscenizację. Byłby może wystawiony już wcześniej, gdyby nie wzgląd na koszty, wiążące się ze znaczną obsadą. Gdy Głowacki odkrył te prawa rynkowe, napisał sztukę kameralną, na dwa głosy główne i sześć pobocznych. Nazwał ją „Polowanie na karaluchy”.

Co lubię, to wyjście z realnej sytuacji, wyjście od konkretnych realiów — do metafory. Ogólną metodę ujmę prosto: o rzeczach bardzo smutnych pisać w śmieszny sposób [patrz debiut]. Albo powiem tak: ironia to najlepszy sposób do wyrażania świadomości tragicznej. Sztuka opowiada o tym co się dzieje, gdy polski artysta wskutek napierania sił Historii dokonuje autoprzszczepu do Nowego Jorku. Zawiera wiele doświadczeń własnych autora, ale ważne jest to, że skupia pewne doświadczenie emigranckie w ogóle, i zarazem jest spojrzeniem na Amerykę obcego, przybysza. Ameryka ma dwie podstawowe legendy ludowe: biedaków całego świata uwodzi wizją natychmiastowego przedziergnięcia się w bogacza, wedle wzoru *rags to riches*, od łachmanów do majątku. I to się ciągle zdarza. Mniej pociągającą legendą jest wzór odwrotny: *riches to rags*. I to też się zdarza, nawet dużo częściej. Kultura polska jest, jak wiadomo, elitarna i zorientowana klasowo. Artysta, samo się przez się rozumie, należy do duchowej szlachty. Głowacki, czyniąc ze swych bohaterów w „Polowaniu na karaluchy” znaną aktorkę scen warszawskich i pisarza z sukcesami na wschód od Łaby, przedstawił sytuację duchowej szlachty spauperyzowanej w nowym miejscu osiedlenia. Dla Amerykanów jest to odkrycie: przyzwyczaili się, że osiedlają się tu biedacy albo przyjeżdżają tu ludzie z majątkami, by je pomnażać. Sztuka w dalekim planie przypomina mi współczesną wersję powieści Antoniego Sygietyńskiego „Wysadzony z siodła”, o której oprócz polonistów mało kto dziś pamięta. Zostało z niej tylko powiedzenie. Więc tych dwoje wysadzonych z siodła (a może sami z nich zeskoczyli) znajduje się w odpowiedniku piwnicznej izby Dolnej Wschodniej Strony w sławetnym Manhattanie. I jak wszyscy neurotycy, nadto przygniecenici przeciwnościami losu, cierpią na bezsensowność. Akcja przedstawienia dzieje się głównie w łóżku, ale z życiem erotycznym nie ma nic wspólnego. Łóżko pełni określony cel dramaturgiczny: wychodzą spod niego postacie ucieleśniające ich strachy. Są to: urzędnik Biura Imigracji (znów odkrycie dla rdzennych Amerykanów — szok, że ktoś taki może istnieć i decydować o losie), dwaj przedstawiciele wiadomych organów ze starego kraju, nowojorski włóczęga. Ten ostatni jest żywym ostrzeżeniem, stanowi alternatywną wersję losu, gdy ziemia amerykańska odrzuci przeszczep imigrancki. Dwaj tajniacy są na dobrą sprawę jedyną realną pepowiną z ojczyzną. Wystarczy po-

śłuchać, jakie sny opowiadają sobie nowi przybysze z Polski, by zrozumieć jak trafne, wręcz archetypalne jest wprowadzenie przez dramaturga tych właśnie postaci.

Co symbolizują karaluchy? Nowy Jork, ta cała powierzchnia, to tylko pokrywa, kruche zabezpieczenie. Dla mnie pod spodem wszystko się stale rusza, szczury, karaluchy. Ja tu zawsze patrzę pod łóżko wieczorem, czego nigdy przedtem nie robiłem. I zastanawiam się, kiedy to wszystko wylezie. Chodząc po swojej dzielnicy widzę takie typy, chłopaczków z szybkim refleksem, którzy taksują swoje ofiary. Starość tutaj oznacza bezbronność. I widzę jak na tych starszuchów łapczywie patrzą. Karaluchy to także oni. I realne karaluchy też, które w Nowym Jorku są faktem z życia. Karaluchy to także literatura. Karakony Schulza. Moi bohaterowie, jak w „Metamorfozie” Kafki, przechodzą przemianę. Są odcięci od świata, nie wychodzą z domu, cierpią na bezsenność. Przepoczwarczają się. Odkryłem jedną tajemnicę nowojorską: tu się nie śpi. Telewizja czynna na okrągło, sklepy, stale gangi, policjanci. Wszechstronna znajomość naszego miasta każe mi się teraz udać w kierunku więzienia Sing-Sing, gdzie rozmawiam z przebywającymi tam rodakami i innymi Słowianami.

„Polowanie na karaluchy” w przekładzie Jadwigi Kosickiej miało prapremierę w Woodstock pod Nowym Jorkiem, w czasie letniego festiwalu teatralnego w zeszłym roku, z Elżbietą Czyżewską i Olkiem Krupą w rolach głównych. Gdy recenzje, wywiady i zdjęcia autora i aktorów ogłosił nawet *New York Times*, Głowacki wiedział, że jest na dobrej drodze: zaskoczył Amerykanów. Ma teraz agenta literackiego, i to podobno najlepszego w Ameryce. Czy nie czuje w związku z tym negatywnych skutków nacisków rynkowych i czy nie zamienił czujnego spojrzenia cenzora na równie czujne spojrzenie pośrednika w osiągnięciu kariery? Kontrola?! Ależ ja marzę, żeby on przeczytał jakiś mój tekst. On ma gigantyczne przedsiębiorstwo, ICM, jego klientami jest kilkudziesięciu znanych aktorów, reżyserzy, dramaturdzy.

W lutym tego roku „Karaluchy” miały premierę nowojorską, w reżyserii Arthura Penna, znanego reżysera filmowego. Grano je przez sześć tygodni przy pełnych kompletach. Przedstawienie miało następnie zostać przeniesione ze sceny off Broadway na Broadway właściwy, ale odtwórczyni głównej roli, Diane Wiest, która w tym czasie dostała Oscara za rolę w filmie Woody Allena, musiała dokończyć realizacji nowego z nim filmu. Ponieważ nie dało się pogodzić terminów, „Karaluchy” na razie jeszcze na Broadway nie dotarły. Tymczasem Penn wystawił je w wielkim teatrze w Los Angeles; premiera sztuki odbędzie się niedługo w Chicago, San Francisco i Houston. W dalszych planach — Paryż i Londyn. Najgorsze dla mnie było ustalenie wersji finału. Doszedłem do pięciu wariantów. W druku, po angielsku, sztuka

ma trzy różne wersje zakończeń. Dopiero teraz autor zakończył jej wersję polską, bo też mu się mieniła w oczach. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, „Karaluchy” będą w niedługim czasie zrealizowane jako film. Autor nie jest jeszcze pewien, kto będzie reżyserem, ale przebąkuje o zainteresowaniu Roberta Altmana, jednego z najwnikliwszych obserwatorów życia w jego *specifica americana*. „Kopciuch” idzie z wielkim sukcesem od ponad roku w Buenos Aires, gdzie otrzymał nagrodę Moliera. Tekst angielski „Karaluchów”, na razie ogłoszony w całości w piśmie *American Theatre*, znajdzie się w edycji książkowej zbioru najlepszych sztuk teatralnych sezonu 1985/1986. W czerwcu zeszłego roku otrzymał Głowacki za „Karaluchy” nagrodę Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych Stanów Zjednoczonych, a następnie — Ligi Dramaturgów. Nie koniec na tym: ustępy z tej sztuki mają wejść do antologii „Solo” w której zgromadzone są najlepsze monologi teatralne lat osiemdziesiątych. Głowacki znajdzie się w tej książce w dobrym towarzystwie. Becketta, Shepparda, Pintera i innych.

Premiera „Karaluchów” była momentem zwrotnym. Głowacki nie wprowadził wprawdzie zasadniczych korekt do stylu życia i mieszka gdzie mieszkał, na dolnym Manhattanie, ale przyznaje, że jednogłośny aplauz pism i innych mediów nie pozostanie oczywiście bez wpływu na jego życie zawodowe. Zaproponowano mu na przykład, żeby „Karaluchy” rozbudować na komedie telewizyjną w odcinkach. Jednak nawet gdyby autor dał się skusić honorariami, nie jest tak sprawny językowo, aby wydawać z siebie co tydzień dalszy ciąg. Zresztą nie warto się tak rozmieniać i rozpraszać. Tymczasem musi polegać na pośrednictwie tłumaczy, a ponieważ warstwa językowa, ten żmud stylów mowy, jest tak ważna w jego twórczości, znalezienie odpowiednio czułego na ten aspekt pośrednika nie jest proste. Jednym z wyjątków jest zawiązanie spółki autorskiej. Z pewnym dziennikarzem amerykańskim pisze teraz Głowacki scenariusz filmowy. Napisał też parę opowiadań o Polakach w kolizji z Nowym Jorkiem. Wspólnie ze Zbigniewem Rybczyńskim, nagrodzonym Oscarem reżyserem filmów animowanych, napisał scenariusz pod tytułem „Ostatni super” — dalsze losy nieślubnego syna „Obywatela Kane”. Jak widać, pozostał wierny swojej metodzie palimpsestu. W lutym przyszłego roku na Uniwersytecie Cornell odbędzie się sesja naukowa poświęcona twórczości Głowackiego (nie mylić z Aleksandrem, chodzi dalej o Janusza).

3. Co będzie

Nie wiem. Wiem, że nie powinienem się ruszać z Nowego

Jorku. W Los Angeles nic nie mogłem pisać, tam jest za ładnie, za mało się dzieje. A tu? Wszystkie szaleństwa amerykańskie w stężeniu. Czytałem w gazecie, że pewien mężczyzna wyskoczył z okna, ale przedtem kopię listu pożegnającego rozestanego do przyjaciół włożył do swoich akt, do teczki z napisem „osobiste”. Czy liczy na wystawienie swoich sztuk w Polsce, na wydawanie książek? No, ja mam już swoje doświadczenie gdy tam byłem: pięć scenariuszy filmowych zdjętych przez cenzurę. Wajda chciał wystawić „Karaluchy”, ale zrezygnował, bo groziło wycięcie postaci tajniaków. System lubi być traktowany serio, nie znosi żartów. Napisałem kiedyś, że jakiś członek KC był urzeczony siłą propagandy amerykańskiej w piosence „Hej-ho, hej-ho, do pracy by się szło”, to potem doszły mnie słuchy, że dochodzenie prowadzono, który to powiedział. Serio krytykę, z naukowych pozycji, to system strawi, Abrahama Brumberga tak, ale ze mną jakby gorzej.

Tu ma, czego mu potrzeba: potęgę mitów i podszewkę mitów, i niewiarygodny materiał ludzki. Temat leży po prostu na ulicy. Wystarczy się schylić. Jego schemat zapowiada się jako *riches-to-rags-to-riches*. Życzę mu sławy umiarkowanej w dostatki materialne, żeby go za bardzo nie oddaliło od ruchomego podglebia. Żeby żywił się ciągle realiami i układał z nich metafory. Śmieszne i straszne.

Wiem co piszę, bo sama jestem emigrantką w Nowym Jorku.

Renata GORCZYŃSKA

Nagrody Kyoto 1987

Andrzej Wajda został jednym z trzech tegorocznych laureatów nagrody Kyoto. Dwaj pozostali to Amerykanin, emerytowany profesor słynnego MIT, Morris Cohen, który otrzymał nagrodę w dziedzinie zaawansowanej technologii, oraz Holender, emerytowany profesor uniwersytetu w Leidzie, Jan Hendrik Oort, który otrzymał nagrodę w dziedzinie nauk podstawowych. Choć nagrody Kyoto przyznawane są od zaledwie trzech lat, ich znaczenie coraz częściej porównywane jest do znaczenia nagród Nobla. Nie chodzi przy tym o (wyższą) pieniężną wartość japońskiej nagrody, lecz o międzynarodowy prestiż.

Morris Cohen jest jednym z najwybitniejszych na świecie metalurgów. Opracował technologię wytwarzania nowych metali, w szczególności super-wytrzymałej stali oraz substancji niemeta-

licznych — tak zwanych materiałów z pamięcią kształtu i wielu odmian ceramiki używanej w różnych gałęziach zaawansowanej technologii, np. w przemyśle komputerowym.

Jan Oort stworzył podstawy nauki o budowie naszej galaktyki i przyczynił się wraz ze swymi uczniami do uczynienia z radioastronomii jednego z najważniejszych sposobów na uzyskiwanie informacji o odległych gwiazdach i galaktykach. Szeroka publiczność zna go najbardziej z tzw. hipotezy kometarynej, według której większość komet krąży w położonym na skraju układu słonecznego obłoku Oorta.

Oficjalne uzasadnienie przyznania nagrody Kyoto 1987 w dziedzinie sztuki i nauk moralnych Andrzejowi Wajdzie stwierdza, że jest on światowej sławy reżyserem filmowym, który w powojennej Polsce stale tworzy wspaniałe filmy, z mocą świadczące o ludzkiej godności i budzące ducha wolności, i który poprzez te wzniosłe osiągnięcia artystyczne oraz swą żarliwą postawę zdobył ogromny wpływ na ludzi.

Ewa Berberyusz przeprowadziła wywiad z Andrzejem Wajdą (*Tygodnik Powszechny*, 12 lipca 1987) po ogłoszeniu wiadomości o przyznaniu mu nagrody Kyoto. Z wywiadu wynika, że Andrzej Wajda zamierza przeznaczyć całą nagrodę (około 300 000 dolarów) na utworzenie w Krakowie ośrodka pokazującego (cytuje słowa Wajdy) *dwie twarze Japonii — dawną, tajemniczą, przystojną samurajskim hełmem i dzisiejszą, jeszcze bardziej tajemniczą, która ukazuje się nam na ekranach komputerów. (...) Otóż w Krakowie istnieje ogromny zbiór sztuki japońskiej ofiarowany na przełomie stuleci przez Feliksa Jasińskiego. Ten zbiór nie ma własnego pomieszczenia, nie licząc szaf i szuflad, w których jest złożony od 80 lat (...). Myślę o stworzeniu Ośrodka, który połączyłby te zbiory z permanentną manifestacją japońskich osiągnięć technicznych. (...) Moja idea polega na tym, aby podczas odbierania nagrody w Kyoto rozpropagować ten pomysł i zmontować fundację. Nagroda jest bardzo duża, ale wobec ogromu zamierzenia może stanowić zaledwie załazek.*

Wajda dostrzega związek, jaki zachodzi pomiędzy wspaniałą sztuką japońską i współczesnymi osiągnięciami tego kraju we wszystkich dziedzinach nauki i technologii. Trudno nie zgodzić się z tym poglądem — nawet sama historia nagród Kyoto dostarcza wymownego i pouczającego przykładu w tym względzie.

Japoński koncern Kyocera Corporation jest supernowoczesnym przedsiębiorstwem, ukazującym tę drugą, komputerową twarz Japonii. Koncern sprzedaje produkowane przez siebie wyroby ceramiczne, używane w elektronice i innych gałęziach zaawansowanej technologii, za ponad 200 miliardów jenów rocznie. W kwietniu 1987 prezes i właściciel przedsiębiorstwa, Kazuo Inamori, utworzył Fundację Inamori, ofiarując na ten cel, oprócz pakietu akcji koncernu, także 20 miliardów jenów gotówką. Głównym celem w ten sposób powstałej Fundacji jest przyznawanie dorocznych nagród Kyoto za wybitne osiągnięcia artystyczne i naukowe. Fundacja pomaga także uczonym i artystom poprzez finansowanie ich prac, wspiera finansowo organizowane w

Japonii konferencje naukowe, ułatwia wizyty zagranicznych naukowców i artystów w Japonii pokrywając koszty podróży, a nawet przyczynia się do ochrony zabytków w południowo-wschodniej Azji, przeznaczając na ten cel odpowiednie fundusze.

W niewielkiej, pięknie wydanej z okazji utworzenia Fundacji broszurze Kazuo Inamori pisze o swym niepokoju wobec nierównomiernego rozwoju z jednej strony nauki i technologii, a z drugiej — moralności i sztuki. Ten brak harmonii pomiędzy sferą tworzenia wartości duchowych i technologiczną wytwórczością przeciwstawia żywemu w konfucjańskiej tradycji dualizmowi yin — yang¹. Jakby wtórując myśli Wajdy z cytowanego wywiadu, Kazuo Inamori wyjaśnia, dlaczego ufundował nagrody Kyoto: *Przyszłość ludzkości zależy od równowagi pomiędzy tym, co ofiaruje nam rozwój nauki, a naszą dojrzałością moralną. Mam nadzieję, że nagrody Kyoto popierać będą zrównoważony rozwój obu sfer — naukowej i duchowej.*

Bardzo ciekawy jest regulamin nagród Kyoto. Przewiduje on, że zgłoszenia kandydatów do nagrody dokonują wyłącznie zaproszeni do tego imiennie przez Fundację Inamori eksperci. Są to wybitne osobistości ze świata nauki i sztuki: niektórzy z rektorów, dziekanów i profesorów najstojniejszych akademii nauk lub sztuk, laureaci ważnych nagród o międzynarodowej reputacji oraz inne osoby o podobnym statusie. Spośród zgłoszonych kandydatów ostatecznego wyboru dokonuje Komitet Nagród Kyoto, w skład którego wchodzi znani japońscy przemysłowcy, finansisci i profesorowie japońskich uniwersytetów, głównie uniwersytetu w Kyoto. Wybór zatwierdza Rada Nadzorcza Fundacji, której prezydentem jest jej założyciel, Kazuo Inamori.

Nagrody przyznawane są w trzech głównych dziedzinach: zaawansowanej technologii, nauk podstawowych oraz sztuki i nauk moralnych. Corocznie, w ogólnych ramach każdej z tych dziedzin, wybiera się pewną węższą kategorię. Na przykład nagrody w dziedzinie nauk podstawowych przyznano w kategorii matematyki (1985), biologii (1986) oraz astronomii i nauk o Ziemi (1987). W oczywisty sposób podnosi to zarówno uniwersalność, jak i rangę nagrody. Nagrody Nobla nie może otrzymać ani matematyk, ani reżyser filmowy za osiągnięcia w swej własnej dziedzinie, jednocześnie nagroda Nobla z fizyki przyznawana jest corocznie, podczas gdy nagroda Kyoto z fizyki — raz na kilka lat.

Prestię nagrody Nobla zbudowany jest na długiej tradycji, przywołującej wielkie nazwiska z przeszłości. Tradycji takiej nie mają — co oczywiste — doroczne nagrody Kyoto. Jeśli te dwie nagrody coraz częściej się dziś porównuje, to nie tylko dlatego, że taka jest oczywista ambicja i intencja Fundacji Inamori, podkreślona otwarcie i dobitnie faktem przyznania w roku 1985 specjalnej nagrody Kyoto... fundacji Nobla właśnie. Bardziej wymowna jest sama procedura nominacji, oparta o konsultacje

1. Yin i yang — dwie siły lub pierwiastki kosmiczne. Yin związany jest z Ziemią, ciemnością, pasywnością, elementem żeńskim, yang — z niebem, aktywnością, elementem męskim.

z rzeczywiście najbardziej kompetentnymi światowymi ekspertami oraz imponująca lista dziewięciu dotychczasowych laureatów japońskiej nagrody:

1985: R. E. Kalman, C. E. Shannon, O. Messiaen (oraz nagroda specjalna dla fundacji Nobla).

1986: N. M. Le Douarin, G. E. Hutchinson, I. Noguchi.

1987: M. Cohen, J. H. Oort, A. Wajda.

Ceremonia wręczenia tegorocznych nagród odbędzie się w listopadzie 1987 w Kyoto, dawnej stolicy i kulturalnym centrum współczesnej Japonii.

Marek ABRAMOWICZ

OŚWIADCZENIE

W czerwcu 1987 przebywałem w Polsce w sprawach rodzinnych, mieszkam stale we Francji. Pewnego dnia dowiedziałem się z gazet, że przyznano mi nagrodę Funduszu Literackiego, podobnie jak kilkunastu innym osobom.

Nazajutrz Dyrekcja jednego z teatrów, z którymi byłem w kontakcie, przekazała mi w rozmowie telefonicznej pytanie, o przekazanie którego zwróciło się do owej Dyrekcji Ministerstwo Kultury, a mianowicie czy stawię się po odbiór nagrody w Zamku Królewskim w Warszawie, podczas specjalnej uroczystości. Odpowiedziałem, że nagrody nie przyjmę.

Do tej pory nie otrzymałem żadnego oficjalnego zawiadomienia o nagrodzie.

Więcej nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

14 września 1987

Stawomir MROŻEK

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

UWAGA CZYTELNICY I KSIĘGARNIE

NOWOŚĆ!

MAREK CELT:

„BIALI KURIERZY”

Wspomnienia kuriera ZWZ, kursującego w 1940 roku między okupowaną przez Sowiety Małopolską Wschodnią a Budapesztem.

Str. 348, zdjęcia, mapka. Cena: DM 38,00.

Nagroda Pisarska SPK, 1986

W ZNOWIENIE!

MAREK CELT:

„KONCERT”

(Opowiadanie cichociemnego)

Dzieje ekipy spadochronowej, zrzuconej do Podziemnej Polski w 1941 roku.

Wydanie siódme, znacznie rozszerzone.

Str. 100, zdjęcia, mapka. Cena: DM 12,00.

W PRZYGOTOWANIU!

MAREK CELT:

„DWA RAPORTY KURIERSKIE —

1942, 1944”

(tytuł roboczy)

Nakład własny autora. Skład główny:

MAREK CELT:

Nikolaus Mueller-Str. 13, 8033 PLANEGG,
Allemagne Fédérale

Ci, co odeszli

O Zygmuncie Mycielskim

Umarł w Warszawie Zygmunt Mycielski. Przed śmiercią napisał swoje najlepsze dzieło, wielką mszę „Liturgia Sacra”, którą odniósł największy chyba w swym muzycznym życiu sukces na festiwalu Warszawska Jesień 1986, potem przeszedł bohatersko operację raka, po której błyszczał inteligencją i pogodą ducha jakby się nic nie stało, dostał za swe ostatnie dzieło po raz drugi nagrodę Związku Kompozytorów Polskich, napisał parę błyskotliwych listów do przyjaciół (epistolografem był znakomitym!), ukończył 80 lat życia i — umarł. Nawet pożegnać go nie mogłem, będąc za granicą, a przecież stanowił przez kilkadziesiąt lat część mnie samego! Nawet kłótnie były tu arcyważne, nawet kwasy czy krytyka — obok wspólnej pracy, działań, zainteresowań, przeżyć. Została spora garść listów, ale i inne ślady: artykuły, polemiki utrwalone w książkach, a także roczniki pisma *Ruch Muzyczny*, które redagowaliśmy to na zmianę, to wspólnie. I ostatni dziwny pomniczek: jesienią 1985 odbyło się w Związku Kompozytorów Polskich w Warszawie sympozjum poświęcone trzem raczej starszym kompozytorom: Dąbrowskiemu (Floriano- wi), Mycielskiemu i Kisielewskiemu. Dużo tam było o muzyce, ale też sporo o polityce (!), literaturze (Zimand), filozofii, religii i... historii polskiego socrealizmu. Rzecz uwieczniono w książce, która po dwuletnich targach z Ministerstwem Kultury ukazała się nieocenzurowana, lecz za to w imponującym nakładzie... 100 egzemplarzy. Przeczytaj i daj drugiemu, a dowiesz się i o tajnych tudzież wstydlivych powojennych dziejach kultury polskiej.

Braliśmy w nich udział z Zygmuntem ręką w rękę, choć nie zawsze w zgodzie, a częściej w niezgodzie. Lecz niezgoda ta była nam potrzebna, wynikała z przejęcia się FILOZOFIĄ muzyki. Ja zawsze byłem zdania, że muzyka „czysta” nie wyraża żadnych treści myślowych czy pojęciowych, lecz sięga w sferę przeżyć nieznananych, nienazwanych. Mycielski natomiast negował istnienie jakiegokolwiek muzyki „czystej”, sztukę dźwięków

wywodził z obrzędów, wiar, tańców, tekstów, uroczystości. Stąd różnice naszych nastawień po wojnie w początkach Polski Ludowej, gdy On próbował wyzyskać dla swych celów socrealistyczne propozycje Sokorskiego, a ja zalecałem muzykę suchą, drwiącą, niemocjonalną. On „Lamento di Tristano”, ja — „Perpetuum mobile”. Jakże okrutnie sypałem mu sól w rany recenzją z jego „Symfonii polskiej” w *Tygodniku Powszechnym*. A jakże łagodnie, ze zrozumieniem to przyjął, nie potrafił się gniewać, był jak wielki dobroduszny pies z Góry Świętego Bernarda. Choć muzyk uporczywy, patrzył szerzej, głębiej, filozoficzniej — nagrody państwowe, zaszczyty, prezesury spływały po nim jak po gęsi woda, potem represje, także — nie przesadzał ze sztuką, śmiał się z niej często w swych sarkastycznych listach („nic świętego”), mimo to coraz więcej pracował przy fortepianie jak uparta mrówka. Większe swe utwory orkiestrowe nazywał „Symfoniami”, napisał ich sporo, mają miejsca fascynujące, lecz jedna, owa ostatnia, wspaniale mu wyszła w całości jak pomnik wykuta w skale: właśnie owa ostatnia „Liturgia Sacra”, nagrodzona i ofiarowana papieżowi. Istne ukoronowanie życia!

Przeciętny czytelnik dowie się z prasy, że umarł „muzyk Mycielski”, co najwyżej z wyliczeniem tytułów dzieł i listy nagród. A to będzie płycizna i nieprawda: umarł i muzyk, i pisarz, krytyk i działacz, autor i myśliciel, umarł CZŁOWIEK KULTURY. Dziwny człowiek, nawet sztukę teatralną napisał, z której zresztą z czasem niezbyt był dumny — dziwność bytu go frapowała, próbował ją „ugryźć” poprzez sztukę, twórczość, myśl, fantazję, publicystyczny krytycyzm, ale zawsze próbował rzetelnie, bezinteresownie, całym sobą. Pieniądze lekceważył, wołał inne pasje — płynął przez życie niezależnie — a czasy były dziwne. Od rodzinnej Wiśniowej poprzez studia krakowskie u zabłąkanego w Polsce Bernardina Ricci aż po Paryż, a tam cudowna Nadia Boulanger, życie między Strawińskim, Ravelem, Dukasem, Honeggerem! Wszędzie jest Mycielski, nawet prezesuje, kieruje, pomaga, ale zawsze jakby „na próbę”, nie całym sobą. Kiedyś w latach 70-tych, gdyśmy siedzieli w paryskiej kawiarni „Cluny” patrząc na przepływający bulwarem barwny tłum, uśmiechnął się kwaśno, machnął ręką: zawsze to samo, jakżeż ja to znam! Co właściwie robił kiedyś w Paryżu?

Po latach, w 1937 chyba, gdy wrócił do Polski, nie bardzo wiedzieliśmy, kto to taki. Przyjaciół i uczniów Szymanowskiego, nie było ich wielu, więc rzecz ciekawa. Forsy wcale nie miał, zaczął pisać w *Muzyce Polskiej*. Pióro świetne, arcyoryginalne, pamiętam pierwsze zdanie jego pierwszego artykułu: „Trzeba by wsadzić kij w mrowisko, ale jak to zrobić”.

Całkiem kto inny rozumiał, jak to zrobić: zanim zdążyłby się z Zygmuntem zaprzyjaźnić (i na serio pokłócić) wybuchła wojna. Dzieje wojenne Myciela dziwne są jak wszystko u niego. Cywil od urodzenia, przedziera się do Francji, gdzie wstępuje do wojska. Trafia (!) na linię Maginota, gdzie Niemcy chcą go powiesić jako uczestnika nieistniejącej (!) formacji, ratuje go w ostatniej chwili przybyły oficer. Na długie lata wojny idzie potem

Zygmunt do Stalagu, czy po prostu na roboty do „Bauera”. — Pomyśl sobie: Hitlera, Churchilla, Roosevelta i Stalina potrzeba było, żebym ja przez pięć lat nie pił wódki! — powie mi kiedyś Zygmunt. Komendant obozu, zafascynowany arystokratycznym pochodzeniem Mycielskiego, spytał go pewnego razu, czy Hitler wygra wojnę. — Wykluczone — odparł Mycielski. — Jak może wygrać wojnę ktoś, kto zmobilizował przeciw sobie siedem międzynarodówek: socjalistyczną, komunistyczną, kapitalistyczną, katolicką, masonską, żydowską i homoseksualistyczną? Wykluczone — Hitler musi przegrać! — Komendant mało nie padł z wrażeń.

Wojna się kończy i oto Zygmunt szwenda się potrochu po Zachodzie, aby gdzieś w roku 1947 w stroju nieco obszarpanym pojawić się w Krakowie, gdzie ja redaguje założony w maju 1945 dwutygodnik *Ruch Muzyczny*. Zaczynamy go więc redagować na spółkę, po czym ja odchodzę, z kolei Myciel wyjeżdża do Warszawy, po czym... itd. Zmieniamy się rolami, lecz bliscy czy dalecy, jesteśmy sobie coraz bardziej potrzebni, a nawet każda polemika czy zgoła kłótnia (rzadka zresztą rzecz) czyni nas sobie jeszcze bardziej potrzebnymi. Dlaczego? Bo nie pasujemy do rozpowszechnionego poglądu, że muzyka jest czymś odrębnym, odstającym od całokształtu życia kulturalnego. Zarówno dla mnie „formalisty” jak i dla Zygmunta „treściowca” muzyka jest integralną częścią całokształtu życia kulturalnego narodu, w którym to życiu staramy się uczestniczyć wszechstronnie, podlegając się wzajemnie czy to miłośnie czy polemicznie. Rezultat czysto artystyczny bywa negatywny: grają nas mało, omawiają rzadko, wydają jeszcze najmożliwiej, ale chowają partytury w mysie jamy. Zygmunt, długie lata redaktor warszawskiego z kolei *Ruchu Muzycznego*, zostaje w roku 1968 wylany za piękny, wolnościowy list do kompozytorów czechosłowackich. Ja, po zrezygnowaniu w roku 1965 z mandatu poselskiego, przechodzę do „opozycji pozaparlamentarnej”. „Żyjemy sobie jak Bóg zdarzy, zrywamy kartki z kalendarzy”. I coraz bliżej siebie, nawet dawne spory poszły w niepamięć. Zygmunt, bez określonych środków do życia, komponuje coraz więcej, pamiętniki pisze arcyciekawe, a listy — wręcz bombowe! Ileż tam proroctw dotyczących całego świata, bo jeździć znów zaczyna sporo, korzystając zwłaszcza z zaproszeń na konkurs kompozytorski księcia Monaco.

No i politykujemy teraz coraz więcej — i coraz bliżej. Ja podśmiewam się nieco z Jego rosnącej pasji do muzyki religijnej, On z mojego zapału do neokapitalizmu. Ale rozumiemy się coraz lepiej, coraz żeśmy sobie bliżsi wiedząc, że przyjdzie przecież Ona-śmierć. No i robotę swoją wreszcie robiła.

Osobliwy to był człowiek i osobliwa jego rola w polskiej kulturze. Na szczegółowe omówienia przyjdzie na pewno pora, niniejsze parę słów to szkic, zarys, kontur — widziany przez człowieka, który utracił coś bardzo bliskiego, który utracił część własnego życia, część siebie samego.

Stefan KISIELEWSKI

James Burnham (1905-1987)

Umarł James Burnham, nieugięty i szlachetny. Odegrał on wielką rolę w okresie powstawania *Kultury*, był chyba pierwszym i na pewno najbardziej spośród Amerykanów oddanym naszym przyjacielem. Poznałem go zupełnie przypadkowo na jednym z paru wystąpień-odczytów de Gaulle'a po jego powrocie z Anglii. Nie brał wtedy żadnego udziału w rządzie. Nazywał ten czas *traversée du désert*. Nie pamiętam szczegółów tego spotkania, ale natychmiast poczuliśmy obaj, że łączy nas ten sam stosunek do Rosji sowieckiej i do Stalina. W owym czasie każdy lewicowy Francuz — a niewielu było wtedy innych — żywił jeszcze nadzieję, że Rosja sowiecka, a przede wszystkim Stalin, to przyszłość ludzkości. Kiedy Burnham przyjeżdżał z Ameryki i jego książki zaczęły wychodzić po francusku, był chyba jedynym pisarzem politycznym, którego stanowisko wobec Rosji sowieckiej było tak gwałtownie negatywne. Burnham wiedział, że komunizm trzeba zwalczać, że jest to największe niebezpieczeństwo dla ludzkości. I na tym tle z przypadkowego spotkania na odczycie de Gaulle'a zrodziła się przyjaźń. Burnham przyjechał do nas, do *Kultury*, i natychmiast zaprzyjaźnił się z naszym zespołem, przede wszystkim z Giedroyciem. W tym okresie wyjechałem do Ameryki, by zdobyć fundusze na nasze pismo. Po Nowym Jorku i objeździe szeregu ośrodków polskich aż po Chicago trafiłem do Waszyngtonu, gdzie wówczas mieszkał Burnham. Zaprosił mnie zaraz do siebie i poczułem się w jego rodzinie prawie tak przyjeźnię, jakbym był w rodowym polskim domu. Burnhamowi chodziło o to, by ci Amerykanie, którzy wówczas mieli znaczenie w polityce, byli dobrze zorientowani w tym, co się w Rosji sowieckiej dzieje. Ameryka była wówczas pełna agentów sowieckich, których wpływ bywał chwilami przemożny, nawet u prezydenta. Co dzień Burnham oprowadzał mnie po Pentagonie i prosił, bym różnym specjalistom od spraw sowieckich i polityki sowieckiej opowiadał, co widziałem i co sam przeżyłem. Upór, dokładność, wola, by wykorzystać moje względnie szczupłe wiadomości i wrażenia, uderzały mnie i wzruszały. W tym czasie Burnham zaprosił mnie wraz z Giedroyciem na Kongres Wolności Kultury, który się otwierał w Berlinie, o krok od granicy krajów zajętych przez władze sowieckie. Organizatorami byli Burnham i Koestler. Był to pierwszy międzynarodowy zjazd ze stanowiskiem niedwuznacznie wrogim wobec potęgi sowieckiej. Od tego czasu gdy tylko Burnham był w Europie, przyjeżdżał i do nas i zawsze wyrażał się jak najbardziej pozytywnie o naszej — przecież wydawało się tak skromnej — działalności. Uważał ją za bardziej znaczącą niż działalność wielu innych instytucji, które miały o tyle więcej możliwości materialnych niż my.

We wszystkich próbach i projektach, by nie rozsypywać a jednaczyć siły antysowieckie w Europie, Burnham, gdy tylko mógł, pomagał nam. Między innymi powstał projekt stworzenia uniwersytetu dla studentów z krajów zajętych przez Sowietów, a więc Czechów, Węgrów, Rumunów, naturalnie Polaków i innych. Projekt ten miał być finansowany przez Amerykanów i tak też się stało, tyle tylko, że w ramach i celach swoich ten „uniwersytet” został niezmiernie uszczuplony.

Przyjaźń Burnhama była niezawodna. Między innymi polecił nas gorąco do Lilly Endowment Inc., do której zwróciliśmy się o pomoc finansową przy wydaniu serii książek nazwanej „Archiwum rewolucji”. Lilly Endowment Inc. przekazała nam na ten cel dwadzieścia tysięcy dolarów. Pomogło nam to wydać książki Allilujewej, Gardnera, Koestlera, Krywickiego, Lewickiego, Michajłowa, Sieriebriakowej, Silonego, Weissberga-Cybulskiego, „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego jak również szereg książek z literatury pięknej, które tak czy inaczej zaczepiają o problemy sowieckie, jak np. Tibora Déry czy Marka Hłaski.

James Burnham zawsze dawał nam dowody zupełnego zaufania dla naszej pracy politycznej. Chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, że był on wśród naszych przyjaciół amerykańskich pierwszym, najwybitniejszym i najserdeczniej z nami związanym sojusznikiem.

Żegnamy z głębokim smutkiem wielkiego przyjaciela wraz z jego żoną, Marcją, zmarłą przed paru laty, która równie jak on była dla nas osobą bardzo bliską.

Józef CZAPSKI

James Burnham był jednym z czołowych ideologów i teoretyków zimnej wojny, przeciwnikiem *containment* a zwolennikiem czynnej walki z komunizmem. Był też filozofem, strategiem, ekonomistą, socjologiem i wydawcą. Jak wielu najbardziej kompetentnych antykomunistów, przeszedł w młodości przez komunizm. Około roku 1933 nawiązał jako współredaktor pisma *The Symposium* robocze kontakty z Young Communist League. Earl Browder, ówczesny sekretarz generalny amerykańskiej partii komunistycznej, który poszukiwał akurat *fellow-travelers*ów zaproponował mu jawne lub skryte przystąpienie do partii.

Nie tylko Bowder zwrócił uwagę na błyskotliwe teksty Burnhama. W dalekim Prinkipo zauważył je też Trocki. Kiedy American Worker's Party połączyła się z trockistami, Burnham został jednym z czołowych działaczy nowej partii i — zdaniem samego Trockiego — jej największym autorytetem.

Radykalny okres w życiu Burnhama skończył się na krótko przed opublikowaniem „The Managerial Revolution” (1941). W roku 1943 opublikował „The Machiavellians”, swe podstawowe dzieło, w którym zawarta jest jego filozofia polityki. Następnie ogłosił słynną „trylogię strategiczną”: „The Struggle for the World” (1947), „The Coming Defeat of Communism” (1950) i „Containment or Liberation?” (1952). Pierwsza z nich była częściowo napisana jeszcze w czasie wojny jako wewnętrzne memorandum

dla Office of Strategic Services, ówczesnego CIA. Jak wiadomo, Stany Zjednoczone wybrały koncepcję *containment* Kennana. W trzecim ze wspomnianych wyżej dzieł Burnham poddał tę politykę druzgocącej krytyce.

Burnham wcześniej niż inni zrozumiał, że klęska Osi pozwoli Stalinowi przekształcić marzenia Lenina w rzeczywistość. Oto pięć warunków, jakie zdaniem Burnhama muszą być spełnione przed jakimkolwiek układem między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim: ZSSR musi: 1. zlikwidować swe piąte kolumny na całym świecie; 2. zrezygnować z koncepcji komunistycznego panowania nad światem; 3. wycofać oficerów KGB i MWD z terytoriów wykraczających poza jego granice z 1939 roku; 4. zezwolić na wolne wybory na terenach zajętych po 1939 roku; 5. zapewnić swobodny dostęp do ZSSR ludziom i publikacjom z Zachodu.

Od 1955 do 1978 roku James Burnham był czołowym publicystą pisma *National Review*, jednego z najwybitniejszych politycznych antykomunistycznych czasopism amerykańskich.

Kultura opublikowała „The Struggle for the World” („Walka o świat”) w 1950 roku, „Containment or Liberation?” („Bierny opór czy wyzwolenie?”) w 1953 i „The Managerial Revolution” („Rewolucja menadżerska”) w 1958 roku.

REDAKCJA

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,

12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Kryzys w „Solidarności”

Oświadczenie „Kultury”

W lipcu bież. roku Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił przyznanie „Solidarności” na rok 1987 pomocy w wysokości jednego miliona dolarów. W sierpniu Lech Wałęsa powiadomił ofiarodawcę listem otwartym, że „Solidarność” postanowiła przeznaczyć obecnie całość tej sumy na cele socjalne. Zarówno tryb podjęcia tej decyzji, jak jej treść, budzą nasze istotne zastrzeżenia.

Przed wszystkim nie wiadomo, jaka instancja „Solidarności” ponosi za to odpowiedzialność: TKK? Tymczasowa Rada? Lech Wałęsa jako przewodniczący Związku? Doradcy Wałęsy? Naciski różnych emisariuszy Departamentu Stanu lub za takich się podających? Wymogi konspiracji nie tłumaczą tego przemilczenia. Skład TKK jest niejawny, a Lech Wałęsa i tak publicznie aprobuje i uzasadnia podjętą decyzję. Nie ma więc powodów, by jej autorzy pozostawali w ukryciu. Nie ma też powodów, by nie ujawnić dyskusji na ten temat, o ile miała miejsce, oraz argumentów, które przesądziły o zwycięstwie tego a nie innego stanowiska. Łączy się z tym inne pytanie, na które brak odpowiedzi: jak to się stało, że decydowanie o przeznaczeniu sumy przyznanej przez Kongres trwało tak długo? Przecież uchwała Kongresu nie spadła z nieba i było chyba dość czasu, by spokojnie przygotować się na jej przyjęcie.

Przejdźmy do treści. Stan ochrony zdrowia w PRL zaiste jest rozpaczliwy. Czy wynika z tego jednak, że należało przeznaczyć na ten cel całą otrzymaną sumę? Czy należało zrezygnować z możliwości zaspokojenia najbardziej palących potrzeb struktur „Solidarności”, a zwłaszcza — poligrafii, aby utworzyć Fundusz Socjalny w wysokości akurat jednego miliona dolarów? Zresztą do tej chwili — połowa września — nie są znane dalsze losy tej inicjatywy.

Wszystko skłania zatem do przypuszczenia, że podejmując ją kierowano się nie tylko chęcią wykorzystania otrzymanej kwoty

w sposób maksymalnie użyteczny lecz również dążeniem do pokazania rządowi PRL, iż bierze się pod uwagę jego opinie. Przy okazji zadowolono też Departament Stanu USA, dla którego sprawa mianowania ambasadora w Warszawie jest — i zawsze była — ważniejsza od interesów „Solidarności”, o co zresztą nie sposób mieć doń pretensji. Jeśli to przypuszczenie jest słuszne, są podstawy do głębokiego zaniepokojenia. Ale nawet gdyby okazało się bezzasadne, pozostawałby fakt podjęcia anonimowo decyzji niezrozumiałej i nieprzekonywującej w sprawie, której waga polityczna i finansowa jest chyba jasna dla każdego.

Propaganda oficjalna uważa, że wszelka pomoc zagraniczna dla „Solidarności” jest zła i upatruje w niej uzasadnienia dla swych oszczerstw. W środowiskach opozycyjnych, a nawet na emigracji, nie brak niestety osób podatnych na działanie tej propagandy. Trzeba zatem przypomnieć, że z pomocy zagranicznej, przeważnie amerykańskiej, korzystają wszystkie związki zawodowe skazane na nielegalność. W pomocy takiej nie ma zresztą nic zdrożnego, dopóki jest jawna i nie obwarowana żadnymi warunkami, i dopóki przyznają ją instytucje otoczone powszechnym szacunkiem. W danym przypadku wszystkie te warunki są spełnione. Co więcej, wniosek o uchwalenie pomocy dla „Solidarności” wyszedł nie od rządu USA ale od samych deputowanych, którzy reprezentowali po równi partie republikańską i demokratyczną, a jego uchwalenie w Senacie poprzedziła kampania na rzecz takiej uchwały prowadzona przez Kongres Polonii Amerykańskiej. Jest to więc najdosłowniej pomoc społeczeństwa amerykańskiego, a nie takiej czy innej agendy rządu.

Wreszcie, a nie jest to bez znaczenia, ta sama uchwała, która asygnuje milion dolarów na „Solidarność”, przyznaje dziesięć milionów Fundacji Rolniczej Episkopatu Polski i na cele lecznicze. Wiadomo już, że te pieniądze zostały przyjęte; pewien wice-minister rządu PRL wypowiedział się nawet na temat sposobu, w jaki powinny być wydane. Nie jest to niespodzianką. Od 1982 roku rząd PRL przyjął łącznie kilkadziesiąt milionów dolarów pomocy uchwalonej przez Kongres Stanów Zjednoczonych. Dla rządu PRL amerykańskie pieniądze są dobre — gdy on je dostaje. Ale są złe, gdy dostaje je „Solidarność”. Albowiem dla rządu PRL „Solidarność” pozostaje wrogiem numer jeden, toteż robi on wszystko, by ją zniszczyć. Działacze „Solidarności” winni zatem robić wszystko, by jej bronić. Wymóg to oczywisty i skromny. Fakt, że trzeba o tym przypominać świadczy, że zamęt polityczny w środowiskach opozycyjnych stał się prawdziwie groźnym niebezpieczeństwem.

Wałęsa w swoim oświadczeniu zapowiada stworzenie grupy roboczej, która miałaby zająć się zaprojektowaniem zużycia wspomnianego miliona dolarów na cele społeczne i zwraca się do TKK, TR, ogniw regionalnych i zakładowych „o przyjscie z pomocą tej inicjatywie”. Wydaje się, że byłoby właściwsze, żeby te wszystkie ogniw były konsultowane przed podjęciem decyzji odrzucenia dotacji na samą „Solidarność”.

Co należałoby teraz zrobić? — Należałoby przeprowadzić we wszystkich ogniwach regionalnych i zakładowych coś w rodzaju ankiety-plebiscytu, mającego na celu wyjaśnienie:

- Czy decyzja Wałęsy była słuszna?
- Przez kogo decyzja Wałęsy była zaaprobowana?
- Czy doradcy są na wysokości zadania i czy należycie spełniają swoje funkcje?
- Czy na skutek dekompozycji licznych struktur „Solidarności”, jak TKK, Tymczasowa Rada etc., wszystkie ważniejsze decyzje nie powinny być zawczasu konsultowane przez wszystkie terenowe ogniw „Solidarności”?

Taki plebiscyt może być w obecnej chwili przeprowadzony jedynie poprzez najważniejsze niezależne pisma i *to jest ich obowiązkiem*.

REDAKCJA

Antony, 13 września 1987 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wdzięczny będę za druk poniższego oświadczenia:

Z dniem 1 września br. zrezygnowałem z funkcji doradcy Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za Granicą. Nie jest to wszelako votum nieufności wobec Biura. Cenię wysoko zasługi Jerzego Milewskiego i jego współpracowników dla utrzymania sprawy „Solidarności” w polu zainteresowania opinii międzynarodowej, dla organizowania jej współpracy ze związkami zawodowymi wielu krajów oraz dla zapewnienia jej pomocy materialnej i politycznej.

Rezygnacja moja nie wynika też z przekonania, jakoby — jak chcą niektórzy — „Solidarność” miała należeć do przeszłości. Wiem, że skupia nadal liczną rzeszę członków, których działania w zakładach pracy i instytucjach wywierają wpływ na opinię publiczną, a niekiedy nawet — na posunięcia władz PRL. I że pozostaje nosicielką nadziei społeczeństwa polskiego.

Z mej dotychczasowej roli postanowiłem zrezygnować wyłącznie dlatego, że polityka gremiów kierowniczo-doradczych „Solidarności”, zwłaszcza po ogłoszeniu amnestii w 1986 roku — jej ostatnim przejawem jest decyzja o przeznaczaniu na cele socjalne miliona dolarów przyznanego „Solidarności” przez Kongres Stanów Zjednoczonych — zdaje mi się dążyć *nie* do wzmocnienia Związku, by stał się zdolny do wymuszenia na władzy ponownej legalizacji, a tym samym — pluralizmu związkowego, lecz do zjednania sobie władzy jednostronnymi ustępstwami w złudnej nadziei na powrót do stanu z sierpnia 1980 roku. Zrozumiałe jest tedy, iż nie mogę doradzać Biuru, jak ma skutecznie realizować na Zachodzie politykę, której sam kierunek budzi mój sprzeciw.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku

Krzysztof POMIAN

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 426 — JAN JÓZEF LIPSKI

SZKICE O POEZJI

O twórczości poetyckiej w Polsce w ostatnich latach

Str. 200.

Cena F. 95,00.

TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ŻMUT

„... Co to jest żmut? Żmut to beładnie poplątane włosy, sznurki, tasiemki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest zmyślone...”

Str. 288.

Cena F. 110,00.

TOM 430 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY

zawiera m.in. opracowania: A. Tuszyńska: *W oczach Polaków. Polacy i Rosjanie w Warszawie w latach 1865-1905*; E. Halićz: *Kraje skandynawskie wobec powstania styczniowego*; WSPOMNIENIA — Marii Bartłowej, T. Pawłowicza (II), Wł. Minkiewicza (dok.); P. Wandycz: *Nowe książki oraz duże działy: OKRUCHY HISTORII I DOKUMENTY*.

Str. 240.

Cena F. 70,00.

Książki

Medalion

W ubiegłym roku ukazała się po angielsku książka Janiny Baumanowej opisująca losy jej i jej rodziny w czasie wojny w Polsce. Autorka jest Żydówką, pochodzi z zamożnej i w pełni „zasymilowanej” rodziny inteligenckiej zamieszkałej od pokoleń w Warszawie, obecnie zaś mieszka w Anglii (mąż jej, prof. Zygmunt Bauman, był w 1968 roku jedną z bardziej znanych ofiar „akcji antysyjonistycznej” moczarowców). Książka, której tytuł po polsku można by oddać jako „Zima u progu dnia” (bo chyba nie „Zima rankiem”!), została przyjęta bardzo dobrze przez krytykę w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, a także doczekała się już tłumaczeń — sam korzystam w tym omówieniu z przekładu holenderskiego*. Poza faktem „ogólnym”, że książka jest świetnie napisana, winna ona z oczywistych względów zainteresować szczególnie czytelników polskich i należy mieć nadzieję, że ukaże się także w naszym języku. Z racji pewnych faktów wspomnianych przez autorkę — np. faktu, że jej ojciec-lekarz został zabity w Katyniu — polska wersja będzie się mogła zapewne ukazać jedynie za granicą, ale nie powinno to odstraszyć potencjalnego wydawcy: jest to ważna książka i niewątpliwie trafi też do kraju, gdzie jest jej właściwe miejsce.

Znaczenie tych wspomnień jest podwójne: po pierwsze są one naprawdę znakomitą dokumentem ludzkim oddającym nie tylko grozę i okrucieństwo opisywanych lat, ale także pełną gamę normalnych, „prywatnych” odczuć, marzeń i reakcji wrażliwej dziewczyny (w chwili wybuchu wojny autorka miała 13 lat), której przyszło dojrzeć w sytuacji ściganego zwierzęcia. To, że nie dała się zepchnąć do tej roli i mimo nieustannego zagrożenia życia potrafiła zachować wszystkie należne młodości dary — cie-

* Janina Bauman, *Winter in de morgen. Een jeugd in Warschau*. In de Knipscheer, Haarlem 1986, str. 336. Wydanie oryginalne: *Winter in the morning*, Virago Press, Londyn 1986.

kawość świata, potrzebę miłości, potrzebę ładu moralnego, entuzjazm dla celowego wysiłku (jednym z najbardziej wzruszających fragmentów książki jest opis pracy autorki w brygadzie ogrodniczej w getcie, zakończony wyznaniem: „*O tym długim, gorącym lecie [1941 roku], które spędziłam na zielonej wysepce wśród piekła myślę wciąż jeszcze — muszę to przyznać otwarcie — jako o jednym z najszcześniejszych okresów mej młodości*”) — wszystko to nie tylko budzi podziw dla osobowości samej autorki, lecz także nadaje jej relacji jakby dodatkowy wymiar autentyczności. Narrator nie jest tu istotą specjalną, lecz każdym z nas.

Po drugie — książka jest absolutnie, wręcz chemicznie obiektywna w stosunku do Polski i Polaków nie-Żydów, a także w opisach współtępari prześladowania: byli tacy i tacy, szmalcownicy i „ciocia Maria” (eks-niania autorki, dokonująca cudów poświęcenia, by uratować swych dawnych chlebobawców), ludzie kalibru doktora Korczaka i żydowscy policjanci. Ewentualne wnioski uogólniające są rzeczą czytelnika. Jeśli o mnie chodzi — i przypuszczam, że większość odbiorców tej relacji zareaguje podobnie — wnioskiem takim jest przekonanie, iż fakt istnienia „takich i takich” po obu stronach muru nie prowadzi do agnostycyzmu moralnego ani przyjęcia niezobowiązującego „paralelizmu” sytuacji. Ciśnienie, tzn. rozmiar przerażenia, automatyzm instynktu samozachowawczego i szanse przetrwania były po obu stronach rozmaite i muszą być wzięte pod uwagę. Opis młodego chłopca żydowskiego pozbawionego rodziny i wciągniętego przez podobnych sobie „bezprizornych” w szeregi oprawców budzi raczej współczucie niż oburzenie; opis sobkowatej rodzinki polskiej (a szczególnie jej „głowy”), która — za sowitą opłatą — przyjęła zabiedzoną i zagrożoną gruźlicą Janinę po jej ucieczce z getta w 1943 na „całe lato” w ich domku w Radości, a następnie szybko i brutalnie pozbyła się jej (nie oddając naturalnie pieniędzy) budzi, hm — co najmniej smutną i zawstydzoną refleksję na temat „różnorodności” polskiego społeczeństwa. Jako lekcja tego rodzaju refleksji — podana metodą sokratesowej zachęty do „zważenia u siebie” — i jako głos w dyskusji nad postawą Polaków wobec zagłady Żydów książka p. Baumanowej ma sto razy większy ciężar gatunkowy niż dotychczasowe zaoceaniczne opery mydlane usytuowane w Polsce czyli nigdzie.

By dać pewne pojęcie o tej książce nim ukaże się po polsku, podam jej krótki opis. Jest to chronologiczna relacja, zaczynająca się — w pierwszym rozdziale — jeszcze przed wojną i opowiadająca o losach nie tylko samej autorki, ale i różnych członków jej licznej rodziny; ocalała tylko autorka, jej matka i młodsza siostra. Ta prawie nierozłączna trójka jest głównym bohaterem książki. Ich historia dzieli się na cztery odrębne okresy: do września 1940, kiedy mogą jeszcze mieszkać poza gettem; przeszło dwa lata zamknięcia za murami; okres pomiędzy ucieczką z getta w styczniu 1943 aż do Powstania w 1944; pobyt na podkrakowskiej wsi, do której trafiają jako „normalni” wysiedleni via Pruszków. Niezwykle plastyczna, żywa i — jak już wspominałem — pełna „prywatnych” (w odróżnieniu od marty-

rologicznych) szczegółów, narracja przeplata się z fragmentami autentycznego pamiętnika, który autorka prowadziła w czasie wojny i który — ukryty w nadpalonym mieszkaniu w czasie Powstania — przetrwał zagładę i został odnaleziony przez autorkę w 1945 roku.

Nieco smutnym, choć należącym do biegu rzeczy zjawiskiem jest fakt, iż najbardziej nawet wstrząsające zdarzenia historyczne z upływem lat petryfikują się i schodzą do rzędu spraw „już znanych”. Wydobywa się je od czasu do czasu z okazji rocznic, w literaturze stają się częścią katalogu pod odpowiednim hasłem, w świadomości ogółu kojarzą się z kilkoma celnymi — niegdyś — sformułowaniami, jak choćby Nałkowskiej „*Ludzie ludziom zgotowali ten los...*” — i stają się częścią jednego wielkiego „i tyle”. Miarą talentu i charakteru Janiny Baumanowej jest to, że jej książka przełamuje tę prawidłowość: opisana w niej tragedia trwa.

M. BROŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- Two ways of Integrating Immigrants: Israel — Sweden. A Report from a Seminar in Jerusalem.* Str. 117 i 5 nlb. (Wyd. Ministry of Labour, Stockholm 1987).
- HERBST (Lothar). *Listy z podróży — Briefe von einer Reise.* (Wyd. pierwsze, dwujęzyczne, „Pogląd”, Berlin Zachodni 1987).
- LAUFER (Heinz, opr.). *Władysław Bartoszewski 65 Jahre. Freiheit-Wahrheit-Frieden. Ansprachen bei der akademischen Feier zum 65. Geburtstag W. Bartoszewskis in der Ludwigs-Maximilians-Universität München am 19. Februar 1987.* Str. 59 i 1 nlb. (Wyd. tuduv, München 1987).
- USCHAKOW (Alexander). *Das Potsdamer Abkommen in polnischer Sicht.* (Nadbitka z „Völkerrechtliche Abhandlungen” Band 4/II. Teil, wyd. Wilhelm Braumüller Universitätsbuchhandlung, Wien).
- USPIENSKIJ (Leonid). *Na putiach k jedinstwu?* Str. 42 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS, Paryż 1987).
- IWANOW (Georgij). *Izbrannaja poezja.* Str. 143 i 9 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS, Paryż 1987).
- PALIJ (P. N.). *W niemieckom плену.* WASZCZENKO (N. W.). *Iz žyżni wojenno-plennowo.* Str. 276 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS w serii „Wsierossijskaja Memuarnaja Biblioteka”, tom 7, Paryż 1987).
- CZERON (F. J.). *Niemieckij plen i sowietskoje oswobożdenije.* ŁUGIN (I. A.). *Polgotka swobody.* Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS w serii „Wsierossijskaja Memuarnaja Biblioteka”, Paryż 1987).
- RUZEVIC (Tadeus). *Traumauska prica.* Przeł. Petar Vujičić. Str. 118 i 6 nlb. (Wyd. Narodna Knjiga, Beograd 1987).
- NOVAKOVSKI (Marek). *Knez Tmine i dvanaest prica.* Przeł. Biserka Rajčić. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. „Filip Visnjic”, Beograd 1987).
- KONVICKI (Tadeus). *Mala Apokalipsa.* Przeł. Biserka Rajčić. Str. 211 i 1 nlb. (Wyd. „Filip Visnjic”, Beograd 1987).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

4-7-87

Znany czeski historyk, dr Jaroslav Valenta, po 20 latach prac badawczych i poszukiwań archiwalnych zakończył swoją pracę o katastrofie gibraltarskiej, w której 4 lipca 1943 roku zginął generał Władysław Sikorski. Jego książka ma się ukazać w PRL.

1-8-87

Lech Wałęsa podał do wiadomości publicznej, że komitet obchodów 200-lecia uchwalenia konstytucji amerykańskiej mianował go honorowym członkiem komitetu i zaprosił do wzięcia udziału w obchodach tej rocznicy. Wałęsa ma zamiar skorzystać z tego zaproszenia. Oświadczył, że nie wie jeszcze, jak długo potrwa jego pobyt w USA.

7-8-87

Zmarł w Krakowie Anatol Listowski, członek Polskiej Akademii Nauk. Był wybitnym specjalistą w dziedzinie fizjologii i uprawy roślin. W okresie międzywojennym pracował w Wydziale Rolnym Politechniki Lwowskiej w Dublinach. W tym okresie współpracował z *Buntem Młodych* i *Polityką*.

15-8-87

„LOT” wycofuje, poczynając od 15 sierpnia br., wszystkie samoloty IL-62. Obsługę linii do USA i Kanady przejmie wydzierżawiony na rok samolot amerykański DC 8, a do Chin i Indii latać mają maszyny TU-134. Badaniu stanu technicznego poddane zostaną również starodawne IL-18 i niewiele nowocześniejsze TU-134.

24-8-87

Polska Żegluga Bałtycka pertraktuje ze stoczniami w Argentynie w sprawie budowy dwóch nowych promów pasażersko-samochodowych. Dostawa pierwszej jednostki ma nastąpić wiosną 1989 roku. ■ Radio Warszawa I podaje, że na krajowych kontaktach bankowych znajdują się dwa mld dolarów, a szacuje się, że jest ich w Polsce czterokrotnie więcej. W 1986 roku Pewex utargował 370 mln dolarów. Za pieniądze z Pewexu zaopatruje się rynek polski w obuwiu, rajstopy damskie i dziecięce; zakupuje się surowce potrzebne do produkcji proszków do prania; finansuje się rozwój produkcji odżywek dla dzieci. W 1987 roku na doraźną poprawę zaopatrzenia rynku w kawę i masło przeznaczają się 40 % wszystkich wydatków. Pewex stwierdza, że poważną przeszkodą w zdobywaniu dalszych dolarów jest utrudnianie handlu towarami rodzimej produkcji.

28-8-87

Ukazało się specjalne wydanie tygodnika *Kultura* w języku rosyjskim, przygotowane z okazji Międzynarodowych Targów Książki w Moskwie. W numerze są m.in. wywiady z ministrem Aleksandrem Krawczukiem i Wojciechem Żukrowskim oraz teksty Henryka Berezyna, Jerzego Lisowskiego, Witolda Nawrockiego i Włodzimierza Sokorskiego.

1-9-87

W Budapeszcie wydano pierwszy wybór poezji Czesława Miłosza. Tomik pt. *Műsám palotája* (Pałac moich muz) zawiera 71 tytułów. Wybór został redagowany przez Endre Bojtára, wiersze przełożyli na węgierski poza samym Bojtárem Gábor Csordás, György Gömöri, Grácia Kerényi, Éva Sebők, Dezső Tandori oraz Sándor Weöres. Najnowszy, wrześniowy numer czasopisma literatury światowej *Nagyvilág* także drukuje dwa wiersze Miłosza w tłumaczeniu György Gömöriego.

4-9-87

Statystyki sowieckiego Ministerstwa Handlu Zagranicznego za pierwsze 6 miesięcy br. stwierdzają poważny spadek obrotów z krajami kapitalistycznymi, jak również tendencję do dawania pierwszeństwa wymianie z krajami socjalistycznymi i drakońskie zarządzenia powzięte w celu oszczędzania walut wymienialnych. ■ W Warszawie obchodzi się bardzo uroczysto 97-me urodziny marszałka Michała Roli-Zymierskiego.

9-9-87

Zmarł w Warszawie w wieku 79 lat ks. Teofil Bogucki, proboszcz parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Był on nauczycielem duchowym i przyjacielem ks. Jerzego Popiełuszki. Po Jego zamordowaniu msze za Ojczyznę były nadal regularnie odprawiane. Celebrował je przeważnie ks. Bogucki.

10-9-87

Z okazji 1000-lecia chrztu Rusi, przypadającego w czerwcu 1988 roku, Kościół prawosławny przewiduje szereg kanonizacji. Zostało ustalone uznanie za świętego Andrieja Rublowa, sławnego malarza ikon. Patriarcha moskiewski oraz Kreml dyskutują obecnie szereg innych oficjalnych kandydatów na świętych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-7-87

W Ypsilanti, Mich. (USA) odbyła się 40-ta Konwencja Amerykańskiej Rady Polskich Związków Kulturalnych. Prezesem został ponownie wybrany Józef Zazyczny. Tegoroczną nagrodę za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kulturalnej otrzymał dr Andrzej Ciechanowiecki.

10-8-87

Rada Fundacji Kościeliskich w Genewie postanowiła zwołać posiedzenie jury dopiero w przyszłym roku ze względu na niewystarczającą ilość kandydatów do nagród.

15-8-87

W Londynie zmarła Zofia Terné, znana pieśniarka przedwojenna.

18-8-87

W rejestr Pembroke College wpisany jest Konstanty Aleksander Jeleński, urodzony 2 stycznia 1922 w Warszawie. Przyjechał on do Oksfordu po studiach w St. Andrews, gdzie zdobył M.A. w połowie listopada 1943. Na Uniwersytecie immatrykułował się 3 grudnia 1943. W *Oxford University Gazette* z 8 grudnia 1943 jego nazwisko figuruje na liście, na której też, nieco niżej, wpisany został Wiesław Strzałkowski, członek St. Catherine's Society. W terminie wiosennym — Hilary Term — 1944 roku K. A. Jeleński zdał z wyróżnieniem egzamin z historii — „Section H 4 1789-1856”. W rejestrze Pembroke College dopisano jeszcze w rubryce „Uwagi” (później, po angielsku): — „Military Cross for Valour (Polish Army)”.

20-8-87

Zmarł w Paryżu w wieku 86 lat Julian Gorkin, założyciel (wspólnie z André Nin) P.O.U.M. — partii skrajnej lewicy w okresie wojny domowej w Hiszpanii. Nin, pod naciskiem hiszpańskiej partii komunistycznej i czynników sowieckich, został aresztowany i zamordowany przez agentów NKWD. Jednocześnie aresztowany Gorkin ocalał, gdyż został zwolniony przez strażników

na kilka godzin przed wejściem wojsk frankistowskich. Wyemigrował do Meksyku, gdzie wraz z Wiktorem Serge założył pismo *Analysis*. W 1948 roku wrócił do Paryża, od 1953 do 1966 roku współpracował z Kongresem Wolności Kultury i kierował czasopismem Kongresu, *Quadernos*.

25-8-87

Do czasu wybrania nowych władz Polskiej Partii Socjalistycznej na połączeniowym zjeździe partyjnym w dniach 21 i 22 listopada br., Rady obu organizacji partyjnych przekazały swoje uprawnienia i obowiązki Tymczasowemu Komitetowi Centralnemu PPS w składzie: dr Lidia Ciołkoszowa — przewodnicząca, Zbigniew Scholtz, Stanisław Wąsik — wiceprzewodniczący, Janusz Zawadzki — sekretarz. Tymczasowy Komitet Centralny zajmie się przygotowaniem zjazdu i wyznaczeniem jego miejsca oraz powoła odpowiednią komisję zjazdową.

31-8-87

Zmarł nagle na atak serca na południu Francji dr Michał Borwicz, znany historyk. Współpracował z *Kulturą* i *Zeszytami Historycznymi*; w 1956 roku ukazało się nakładem Instytutu Literackiego jego studium pt. „Polski poprzednik Malraux” (Stanisław Brzozowski).

4-9-87

Wieczory w Centre du Dialogue w Paryżu: 4 września br. Jerzy Turowicz wygłosił odczyt na temat „Sprawy polsko-żydowskie”; 18 września br. Władysław Bartoszewski będzie mówił o „Zbrodniach XX wieku”; 29 września br. Stefan Kisielewski wygłosi odczyt pt. „Osobliwa sytuacja w Polsce”.

5-9-87

Dr Andrzej Ehrenkreutz, twórca i kierownik Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich, przeszedł na emeryturę na Uniwersytecie Ann Arbor, Michigan, gdzie był wykładowcą historii średniowiecznej świata muzułmańskiego i wyjeżdża na stałe do Melbourne w Australii. Jest to ogromna strata dla studium, którego przyszłość będzie w dużym stopniu zależała od tego, kto obejmie jego kierownictwo.

14-9-87

W Bibliotece Polskiej w Paryżu miał miejsce VI Uniwersytet Letni zorganizowany przez Wspólnotę Polsko-Francuską. Po exposé André Bergerona, sekretarza generalnego Force Ouvrière, wygłoszono m.in. następujące referaty: Jarosława Versala o Czechosłowacji, R. Backisa o Litwie oraz Louis Mermaza, byłego przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego, o parlamentarystyce francuskiej. W czasie sesji wyświetlono film Jean Offredo „Non, la Pologne n'est pas morte”. Jednocześnie Jean Offredo wygłosił referat pt. „Perspektywy polskie po wizycie Jana Pawła II”.

15-9-87

Klub „Kontakt” wznawia w nowym sezonie działalność: w czwartek 17 września o godz. 20.30 odbędzie się pokaz filmu „Emisariusze” oraz spotkanie z jednym z trzech bohaterów filmu, Janem Nowakiem-Jeziorańskim. W czwartek 1 października o godz. 20.30 — premiera filmu „Generał Władysław Sikorski” oraz spotkanie z mjr. Ludwikiem Łubieńskim, świadkiem katastrofy w Gibraltarze. W czwartek 8 października o godz. 20.30 — projekcja filmu Janusza Kijowskiego „Przed bitwą”. W czwartek 15 października o godz. 20.30 — wieczór piosenkowski w wykonaniu Natana Tenenbauma. Adres Klubu „Kontakt”: 42, rue Raymond Marcheron, 92170 Vanves. Tel.: (1) 46 45 87 16.

3-10-87

W zamku w Rapperswil (Szwajcaria) odbyło się sympozjum z okazji 600-letniej rocznicy przystąpienia Litwy do wspólnoty narodów katolickich. Imprezie patronowali biskup St. Gallen Otmar Mäder i biskup litewskich uchodźców w Europie, dr Antanas Deksnys. W obradach zabrali głos prof. dr Rabikauskas, SJ (Chrząst Litwy), prof. dr Manfred Gellman (Papieżstwo a Litwa w XIII i XIV wieku), dr Nina Taylor (Wzajemne wpływy litewskiej i polskiej literatury), Isabel Röskau-Rydel (Stosunki polsko-litewskie 1918-1939 i obecna ich ewolucja), dr Bohdan Cywiński (Litewska tragedia 1944-1958).

KRONIKA SZWEDZKA

Kuria katolicka Szwecji wykazywała już za czasów poprzedniego biskupa, Taylora, niechęć do zakładania katolickich parafii narodowościowych. Katolicyzm w Szwecji był historycznie i tradycyjnie misyjny, a pierwszym misjonarzem był tu św. Ansgar z Hamburga. Misja katolicka była więc pod tradycyjnym wpływem niemieckim (ostatnio niemieckich oo jezuitów i salezjanów). Niemców katolików jest dzisiaj w Szwecji bardzo mało. Najlicniejsi są katolicy narodowości polskiej, chorwackiej oraz imigranci z krajów o kulturze i języku hiszpańskim. Księża polscy, którzy pragnęli szerzyć wśród młodzieży polskiej patriotyzm i uchronić ją od wynarodowienia bywali usuwani ze Sztokholmu na prowincję, gdzie — z wyjątkiem Göteborga i Malmö — Polaków było mało, albo wcale. Tutejsza Kuria katolicka pragnie połączenia katolików różnych narodowości w jedną wspólnotę, a prowadzenia nabożeństw raczej w języku szwedzkim, aczkolwiek katolików Szwedów jest jeszcze mało. Na początku bież. roku powstał w Sztokholmie Komitet Budowy Polskiego Kościoła z inicjatywy starszej, zakorzenionej w Szwecji emigracji, z pp. Zofią Stadfors i Jarosławem Pieniężnym, wieloletnimi prezesami Stowarzyszenia Polskich Kombatanów, na czele. Biskup Brandenburg zajął wobec tej inicjatywy stanowisko nieprzychylnie. „W Sztokholmie większość katolików stanowią emigranci — pisze biskup w liście do Komitetu. — Jeżeli jedna z grup utworzy własną parafię, liczne inne grupy narodowościowe pójdą w jej ślady, co uniemożliwi utworzenie jednej wielkiej wspólnoty katolickiej”. Otóż mieszkańcom Szwecji potrąca się jeden procent opodatkowanego dochodu na rzecz parafii ich dzielnicy. Ten procent jest automatycznie ściągany od katolików również na parafie luterkańskie-państwowe ich dzielnicy, o ile nie zawiadomią tej parafii, która jest zarazem urzędem stanu cywilnego, że należą do parafii katolickiej. W Sztokholmie są trzy parafie katolickie: Katedra św. Eugenii, kościół oo. jezuitów oraz kościół Zwiastowania Marii Panny. Na ich czele stoją proboszczowie narodowości szwedzkiej, względnie niemieckiej. Żaden z księży pochodzących z trzech najlicniejszych grup narodowościowych nie jest w Sztokholmie proboszczem. Przy powstaniu parafii narodowościowych istniejące trzy (mieszane) skurczą się, a gros podatku kościelnego płynąć będzie do nowych, wielkich parafii. Tego się Kuria obawia, co wynika z listu biskupa Brandenburga do Komitetu. ■ Ingvar Carlsson, premier Szwecji, udał się 9 września br. do Waszyngtonu na zaproszenie prezydenta Reagana. Ostatnia wizyta premiera szwedzkiego w USA miała miejsce w 1972 r., gdy premierem i przewodniczącym stronnictwa socjaldemokratycznego był Tage Erlander. Za czasów Olafa Palmego, który brał udział w ulicznych manifestacjach prowietnamskich, a po zbombardowaniu Hanoi porównał Amerykanów do hitlerowców, stosunki amerykańsko-szwedzkie były zamrożone. Ambasada amerykańska w Szwecji kierowana była przez urzędnika trzeciej rangi; wobec Szwecji zastosowano represje ekonomiczne i inne; nowo mianowanemu wówczas ambasadorowi, Yngve Möllerowi, chwilowo odroczone akredytacje. Po

objęciu rządów przez Ingvara Carlssona, który w polityce zagranicznej wybrał inną taktykę, a w wypowiedziach był ostrożniejszy, stosunki z USA poprawiły się. Niestety premier udzielił pod koniec sierpnia konserwatywnemu dziennikowi *Svenska Dagbladet* wywiadu, w którym ostro skrytykował politykę amerykańską wobec Nikaragui, podkreślając, że jego poglądy na zagadnienia międzynarodowe nie różnią się od poglądów jego poprzednika, Olafa Palme. Państwowy urząd wspierający kraje trzeciego świata wystąpił w tych dniach z wnioskiem o poważne podwyższenie subsydiów dla Nikaragui na przyszły rok (do 190 mln koron). ■ Lennart Järn, szwedzki kierowca, aresztowany i skazany w Polsce za przemyt poważnej ilości sprzętu drukarskiego i książek, został 15 maja br. zwolniony po półrocznym pobycie w więzieniu. Według czasopisma *Nowiny* (subsydiowanego przez Państwowy Urząd Imigracyjny) został on zwolniony z więzienia za kaucją w wysokości 302 tys. koron. Tuż po zapłaceniu przez Komitet 270.278 koron na rzecz uwolnienia Järna nadeszła wiadomość, że władze polskie podwyższyły kaucję o prawie 24 tys. koron. Ta forma szantażu spowodowała ostrą reakcję premiera Ingvara Carlssona, który polecił przedstawicielowi rządu szwedzkiego zwrócić się do ambasady PRL o wyjaśnienie, kiedy Järn zostanie zwolniony. Rozwiązanie nastąpiło szybko i niespodziewanie: przemysłowiec Rolf Ericsson z Göteborga z własnej inicjatywy przekazał na rzecz więźnia 24 tys. koron, wyrażając publicznie uznanie dla jego postępowania. ■ Na początku lata bież. roku ukazały się dwa zbiory poezji polskiej w tłumaczeniu na szwedzki: Adama Zagajewskiego „Oda do wielości” i Jerzego Ficowskiego „Odczytywanie popiołów”. Pierwszą książkę tłumaczyli Anders Bodegard i Lars Kleberg (wyd. Norstedt), a drugą Rita i Erik Tornborn oraz Per Arne Bodin (wyd. Bonniers). Są to dwa czołowe szwedzkie domy wydawnicze. Pisma poświęciły tym poematom nader pochlebne recenzje. ■ Okres sprawozdawczy był wyjątkowo bogaty w wydawnictwa szwedzkie tłumaczone z języka polskiego: Bromberg wydał „Fiasko” S. Lema w przekładzie M. von Zwiebergka oraz wznowienia — „Segraren” (Zwycięzca) i „Dolina Issy” Miłosa. Nadto w wydawnictwie Alfabeta ukazała się książka Janiny Bauman pt. „Fran Warszawas ghetto till Stockholm” w tłumaczeniu z angielskiego E. Helmsa (tytuł angielski — „Winter in the Morning”). W październiku br. wielka spółka wydawnicza Norstedt ma wydać książkę Wałęsy pt. „Hoppets väg” w tłumaczeniu A. Bodegarda. Znany pisarz szwedzki, O. Lagercrantz, opublikował w wydawnictwie W. & W. pracę o Conradzie pt. „Mörkrets hjärta”, której szwedzcy krytycy poświęcili wiele artykułów. Wreszcie radio szwedzkie nadało 45-minutową audycję na temat polskiego romantyzmu. ■ W sierpniu br. przyjechała do Szwecji na zaproszenie Koła Kobiet Polskich w Sztokholmie dr Alicja Iwańska. W Towarzystwie Przyjaciół Kultury wygłosiła ona ciekawy i dowcipny odczyt na temat „Polskość widziana przez obcych i przez nas samych”. Dr Iwańska miała nadto wykład w Instytucie Sławistyki Uniwersytetu w Uppsali, a w Klubie Kobiet Polskich komentowała fragmenty swojej ostatniej książki, wydanej obecnie w Polsce poza cenzurą. ■ Szwedzkie *mass media* poświęciły w ostatnich dniach sierpnia sporo uwagi demonstracjom antysowieckim na Łotwie w rocznicę podpisania paktu niemiecko-sowieckiego w sierpniu 1939 roku. Telewizja szwedzka nadała przemycyony z Łotwy kolorowy film o demonstracji 7-tysięcznego tłumu w Rydze. ■ Staraniem fundacji Steftelsen Polska Kulturfonden odbyły się na początku tego lata w Sztokholmie i Uppsali wystawa i cykl wykładów poświęcone twórczości Witkacego. W poprzednich latach wystawiono w Szwecji szereg jego utworów dramatycznych. Z okazji otwarcia tej wystawy miało miejsce w Uppsali seminarium z udziałem doc. dr. Andrzeja N. Uggla i dr. Daga Hemana, poświęcone twórczości Witkiewicza, jego wpływowi w Szwecji i stosunkom ze Strindbergiem. Inicjatorem imprezy był Andrzej Ekwiński. ■ W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Sztokholmie istnieje wydział kształcenia dwujęzycznych wy-

chowawców przedszkolnych, których językiem ojczystym jest m.in. polski. ■ Sześciu obywateli polskich zatrzymano na zastrzeżonym terenie wojskowym w pobliżu bazy morskiej Muskö. Dotarli oni do tej bazy drogą lądową przez tunel. Nie znaleziono przy nich żadnych kompromitujących papierów. Wojsko prowadzi dochodzenie. ■ Ciekawą informację znalazłem w szwedzkim dzienniku Finlandii — *Hufvudstadsbladet* (nr 2/6): polscy celnicy w Gdańsku odmówili wjazdu do Polski obywatelowi Finlandii, Karlowi Augustussonowi, który w swej ciężarówce wioził siedem ton odzieży z ramienia fińskich organizacji kościelnych, przeznaczonych dla kościoła katolickiego w Gdańsku i księdza Henryka Jankowskiego. Augustusson miał wszystkie papiery w porządku i był zaopatrzony w wizę ambasady PRL w Helsinkach. Polska kontrola na promie nie miała żadnych zastrzeżeń i zezwoliła na wjazd ciężarówce Augustussona na ląd. Augustusson gotów był pozostawić ciężarówkę w Polsce, by umożliwić przedstawicielom Kościoła w Gdańsku odebranie odzieży, a nawet dać się aresztować. Został jednak przez uzbrojoną straż graniczną odstawiony wraz z ciężarówką na prom. Po powrocie skarżył się prasie, że zmarnowali z żoną 700 godzin na zbiórkę, pranie i pakowanie odzieży. Augustusson zawiózł do Polski pomoc charytatywną z Finlandii po raz pierwszy w 1984 roku.

Norbert ŻABA

1 września 1987 r.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Listy do Redakcji

Paryż, 14 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do szkicu Renaty Gorczyńskiej pt. „Dwaj panowie na 'Chrobrym'. Rzec o Czesławie Straszewiczu i Witoldzie Gombrowiczu” (*Kultura* nr 9/1987) wkładła się pomyłka. Autorka odsyła czytelników do artykułu J. A. Rembienińskiego zamieszczonego w *Kontakcie*. Artykuł ten, zatytułowany: „Czesław Straszewicz: turyści i bogowie” (*Kontakt* nr 9/1986) podpisałem pseudonimem Adam Julian Rembowski.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Krzysztof RUTKOWSKI

27 lipca 1987.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Mam nadzieję, iż przyszedł historyk emigracji będzie czerpał obficie z działu „Ci, co odeszli” w *Kulturze*, traktując go jako ważne źródło biograficzne. Oczywiście, dział ten spełni tę rolę, jeśli notatki będą maksymalnie ścisłe i możliwie wyczerpujące. Kierując się tą troską, pozwałam sobie wnieść pewne uściślenia i dodatkowe informacje do notatki Bolesława Wierzbiańskiego „Adam Rudzki”, *Kultura* nr 6/477 (1987), str. 122-124.

Najpierw dwa drobne a ewidentne lapsusy: (1) instytucja, w której Rudzki pracował po przyjeździe do USA nazywała się Mid-European Studies Center a nie European Study Center; (2) sformułowanie, iż Rudzki „był założycielem” NiD-u może być fałszywie zrozumiane. Zapewne miało być „jednym z założycieli”, gdyż jest rzeczą oczywistą, że NiD nie był założony przez jednego człowieka. Zainteresowanych odsyłam do krótkiego szkicu „NiD i jego działalność”, *Trybuna* nr 50/106-51/107, numer wydany z okazji zjazdu 40-lecia PRW NiD. W notatce tej wymieniona jest spora liczba założycieli (do których należał i Bolesław Wierzbiański) z Rowmundem Piłsudskim na czele.

Działalność Adama Rudzkiego jako redaktora i *spiritus movens* pisma *The Central European Federalist* zasługuje moim zdaniem na szersze i nieco dokładniejsze omówienie, zważywszy na to, ile wysiłku i serca Rudzki wkładał w redagowanie i utrzymanie tego pisma — najpierw kwartalnika, potem półrocznika, wreszcie rocznika.

Pierwszy numer *Central European Federalist* ukazał się w kwietniu 1953 roku w małej poligrafii. W liście do czytelników wydawcy pisali, iż grupa wydająca pismo wierzy w konieczność przyszłej federacji wolnej Europy środkowo-wschodniej w ramach zjednoczonej Europy i wyzywa do poparcia wysiłków w tym kierunku. Pismo było organem Czechosłowak-Polish Research Committee, a redaktorami byli Adam Rudzki i George Trutnovsky. Od lipca 1954 poza redaktorami figurują również sekretarze komitetu: czechosłowacki, Vilem Brzorad (sekretarz znanego polityka i publicysty Huberta Ripki) i polski, Piotr Wandycz (zastąpiony już w następnym numerze ze względu na opuszczenie Nowego Jorku przez Ludwika Teclaffa, ostatniego przedstawiciela RP w Dublinie). Od grudnia 1956 roku współredaktorem czechosłowackim zostaje Brzorad, a Teclaff pełni obowiązki jedynego sekretarza. Dwa lata później *Central European Federalist* zmienia szatę zewnętrzną, stając się pismem o mniejszym formacie, ale za to wydawanym drukiem. Od grudnia 1962 roku następuje kolejna zmiana, tym razem dość zasadnicza, a mianowicie do komitetu wstępuje przedstawiciel Węgrov, co

Szanowny Panie Redaktorze,

Paryż, 10 września 1987.

W czerwcowym numerze *Kultury* (nr 6/477, 1987, str. 171) pojawiła się notatka o spotkaniu J. Fuksiewicza z byłymi uczniami „Szkoły Współczesnych Języków Wschodnich”. Jak podaje nieznan mi autor: „szkoła ta prowadzi m.in. kurs języka polskiego, rozszerzony o podstawy wiedzy o Polsce”. Informacja ta wymaga sprostowania.

„Institut National des Langues et Civilisations Orientales” (Państwowy Instytut Języków i Cywilizacji Wschodnich — tak bowiem brzmi oficjalna nazwa szkoły) jest uczelnią wyższą, posiadającą samodzielną sekcję polonistyki, która rozwija się równolegle do polonistyki na Sorbonie. Jest to *nota bene* najstarsza sekcja polonistyczna w Paryżu. W 1917 roku pierwsze wykłady zostały zainaugurowane przez prof. Z. Lubicza-Zaleskiego, a w roku 1921 powstała katedra języka polskiego. Zakres studiów poszerzał się stopniowo dzięki staraniom kolejnych profesorów: H. Grappina, E. Décaux, M. Szurek-Wisti oraz H. Włodarczyk, po której w 1983 roku przejąłem stanowisko kierownicze.

Studia polonistyczne w INALCO przebiegają zgodnie z kanonami francuskich studiów wyższych (pierwszy cykl — studia podstawowe, drugi cykl — *licence* i *maîtrise*, 3 cykl — studia doktoranckie). Program studiów uwzględnia trzy dyscypliny: literaturoznawstwo, lingwistykę i historię, w których studenci mogą się specjalizować. Ponadto sekcja przygotowuje studentów do najwyższych konkursów państwowych (m.in. agregacji oraz konkursów organizowanych przez francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych), a także do pracy naukowej.

Mam nadzieję, że powyższa informacja będzie z pożytkiem dla polskich czytelników nie zorientowanych jeszcze we francuskim systemie uniwersyteckim.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku

Prof. dr Maria DELAPERRIERE

Paryż, 17 sierpnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 7-8/1987 „Kontaktu” przeczytałam, że skoro napisałam pewien tekst, to jestem najprawdopodobniej „pochodzenia żydowskiego” i zaproponowano mi nawet „podniesienie przeciętnego poziomu inteligencji narodu żydowskiego” przez przeniesienie się do Izraela.

Interpretowanie czyichś poglądów (zwłaszcza krytycznych pod swoim adresem) pochodzeniem autora czy innymi niemierytorycznymi powodami nie jest szczególnie oryginalne. Natomiast po raz pierwszy spotykam coś takiego na łamach pisma reklamującego się jako redagowane „przez członków i sympatyków 'Solidarności’”.

Łączę wyrazy poważania

Irena LASOTA

powoduje zmianę nazwy na „Czechoslovak-Polish-Hungarian”. Od tej chwili jest też trzech redaktorów, z tym, że z ramienia Węgrów pełni tę funkcję najpierw Bela Kiraly (generał, zastępca Pal Maletera w 1956 roku) a od 1971 roku historyk Stephen Borsody. Przejściowo redakcja ma też asystentkę-edytorkę, Monikę Mieroszewską.

Pismo boryka się ze stale wzrastającymi trudnościami finansowymi i kilkakrotnie Rudzki obawiał się, że nie będzie w stanie kontynuować wydawnictwa. Ostatni (przynajmniej w mojej kolekcji) numer oznaczony jest 1/2, lipiec-grudzień 1972 roku. Minęło więc dziewięć lat od założenia komitetu i w okresie tym wydano 27 numerów. Jak na istniejące warunki i możliwości, sukces to niełada. Nakład *Central European Federalist* był nieduży i nie wiem, jak wiele bibliotek i osób prywatnych posiada pełny komplet. Moje uwagi, mające na celu przypomnienie o tym piśmie, stojącym niewątpliwie na poważnym poziomie i będącym w jakimś sensie białym krukiem, są równocześnie hołdem złożonym Adamowi Rudzkiemu. Wydaje mi się, że zależałoby mu na tym, aby to jego „dziecko” nie zostało zapomniane.

Najlepsze wyrazy łączę

Piotr WANDYCZ

Londyn, 12 czerwca 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 5/476 *Kultury* ukazał się artykuł p. Józefa Szretta, w którym autor m.in. bardzo krytycznie ocenił wolnościowe zrywy narodu polskiego w XIX i na początku XX wieku.

Lakoniczne ujęcie poruszonych problemów nie wymaga obszernego wводу, sądzę jednak, że wskazane będzie dokonanie pewnych merytorycznych prostowań. Ograniczyć się zamierzam jedynie do rewolucji 1905-1907 roku.

Ruch rewolucyjny w formie strajków, demonstracji i starć zbrojnych stał się ruchem masowym. Nie było oczywiście warunków na to, by przeprowadzać dokładną statystykę ilości uczestników tych akcji. Według danych Encyklopedii Powszechnej PWN (hasło „Królestwo Polskie”) strajk powszechny, który wybuchł w dniu 28 stycznia 1905, objął w okresie 4 tygodni około 400.000 robotników, a ogólnie w latach 1905-1906 strajków było 6.991, obejmujących łącznie 1.300.000 uczestników. Przy tłumieniu demonstracji padły setki zabitych, zapadło ponad tysiąc wyroków śmierci, a jeszcze wielokrotnie większa była ilość zesłanych na Syberię.

Jeżeli ludność Królestwa Polskiego obliczana był wówczas na około dziesięciu milionów, przypuszczenie autora, że liczba czynnych uczestników ruchu rewolucyjnego mogła sięgać jednego promila czy około 10.000 — jest na niczym nie oparte i po prostu nieprawdopodobne.

Autor określa rewolucję 1905 roku jako przedwczesną. Sądzę, iż odwrotnie, był to przykład najlepiej wybranego momentu do wszczęcia tego rodzaju akcji. Carska Rosja ponosiła klęski na lądzie i na morzu, wrzenie rewolucyjne w samej Rosji rozszerzało się, carat się poważnie zachwiał.

Dla ilustracji — gdyby ruch „Solidarności” w Polsce przypadł na porównywalny okres w Rosji Sowieckiej — szanse „Solidarności” mogłyby wypaść całkiem inaczej.

Wreszcie autor artykułu występuje z twierdzeniem, że była to rewolucja skierowana przede wszystkim przeciwko pozytywizmowi. Otóż twierdzenie to jest całkowicie dowolne, sprzeczne ze wszystkim, co głosiła wówczas PPS

i z ostatnimi słowami prowadzonych na stracenie skazańców. Oto przykłady tych ostatnich wypowiedzi:

Henryk Władysław Baron — „Dojdziemy do naszego celu, niepodległej demokratycznej Republiki Polskiej”.

Stefan Okrzeja — „Niech żyje socjalizm, precz z caratem”.

Józef Montwiłł Mirecki — „Niech żyje Polska Niepodległa”.

Jeżeli rewolucja z lat 1905-1907 nie została uwieńczona sukcesem, nie minęła ona jednak bez echa. Idea walki zbrojnej o niepodległość ogarnęła także przybierającą na sile nową klasę robotniczą, co znalazło wyraz w czasie pierwszej wojny światowej i w obronie kraju w 1920 roku.

Stanisław WĄSIK

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

P.M.K., *Francja*; C.M., *USA*; T.J., *Anglia*; E.B., *Francja*; S.S. *w Kraju*; A.J.S. *w Kraju*; M.S., *Anglia*; W.Z. *w Kraju*; J.M.R., *Francja*; Z.R., *Szwajcaria*; T.Ż. *w Kraju*; R.Z., *RFN*: — Z wierszy nie skorystamy.

U.N. *w Kraju*: — Wiersze i opowiadania są według nas słabe, a słuchowisk radiowych nie drukujemy.

K.H., *USA*: — Opowiadanie dedykowane Mrożkowi jest mało dowcipne, zbyt oczywiste jak na humoreskę. Jeden wiersz wydrukujemy.

E.S., *Kanada*: — Problem „wyjechać czy zostać” jest nierozstrzygalny, a więc jałowy; każda ze stron w tym „sporze” ma swoje racje. Poglądy Gombrowicza są dość dobrze znane i były wielokrotnie omawiane. Natomiast mniej znana jest filozofia Stefana Themersona, szkoda że Pani szkice nie ogranicza się do przypomnienia jego twórczości.

Z.H.-N. *w Kraju*: — Nie przedrukujemy książek, wydanych już przed laty w Kraju. Proszę ewentualnie przysłać opowiadania, które do tej książki nie zostały włączone.

E.W., *RFN*: — Pana cztery szkice z historii filozofii polskiej XIX wieku świadczą o niewątpliwym znanstwie przedmiotu. Ale właściwym dla nich miejscem byłoby chyba jakieś czasopismo filozoficzne, a nie *Kultura*.

J.S., *Francja*: — Nazywa Pan świat swojej książki „światem osobliwej gry, w którym spotykają się i ścierają rzeczywiste z nierealnym, cieliste (?) z duchowym”. Według nas jest to raczej świat włóczenia słów, ociekający „poetycznością”, który nie ma konsystencji ani realistycznej, ani nadrealistycznej.

A.J.S. *w Kraju*: — Dużo w Pana powieści wiernych na pewno konkrety z życia codziennego w Polsce, ale nie jest ona właściwie powieścią. Ma charakter zapisu, miejscami dość żywego choć przeładowanego szczegółami, konfliktu majstra z zakładem pracy. Strona narracyjna wypadła w sumie blado, występujące osoby są naszkicowane pośpiesznie powierzchownie.

T.M., *Richmond, Australia*: — P. A. Nasielski omawiał prasę australijską za okres, kiedy Pana pismo jeszcze nie powstało. Trudno więc ten artykuł uzupełniać, tym bardziej, że Pana *Magazyn* przestał wychodzić.

J.J., *Malmö, Szwecja*: — Nie bardzo rozumiemy Pana listu.

WYJAŚNIENIE KOMITETU POMOCY SOLIDARNOŚCI

W numerze 9/1987 *Kultury* ukazała się informacja, że w roku 1987 *Free Trade Union Institute* przyznał z pieniędzy National Endowment for Democracy 412.750 dolarów „na pomoc dla niezależnego ruchu związkowego w Polsce” oraz, że poza sumą przekazywaną na ręce Biura Zagranicznego „Solidarności” w Brukseli, FTUI udziela też „subsydiów nowojorskiemu Komitetowi Pomocy ‘Solidarności’ na tłumaczenia oraz publikację materiałów dotyczących praw robotniczych i ludzkich, ukazujących się w polskiej prasie podziemnej”.

Do punktu tego dodano uzupełnienie, że „300 tys. dolarów przekazywane jest w ratach kwartalnych do dyspozycji TKK przez Biuro ‘Solidarności’ w Brukseli. Ponieważ FTUI nie potrąca kosztów administracyjnych, można sądzić, że pozostała część sumy idzie do Komitetu w Nowym Jorku”.

Jako przewodnicząca nowojorskiego Komitetu Poparcia „Solidarności” stwierdzam, że w roku 1987 została nam przyznana z FTUI suma 25.500 dolarów przeznaczona na wydawanie w Stanach Zjednoczonych, po angielsku, opracowań na temat sytuacji w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem przestrzegania przez rząd PRL praw człowieka i obywatela.

Paryż, 8 września 1987

Irena LASOTA

SPROSTOWANIE

We wrześniowej *Kulturze* (nr 9/480) w artykule Tymoteusza Klempskiego (str. 5, wiersze 10 i 12) dwa razy figuruje nazwisko „Piotr Grzegorzcyk” zamiast *Andrzeja Grzegorzcyk*, co niniejszym prostujemy.

REDAKCJA

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

KULTURA

REDAKTOR: JERZY KOTARBA
TAMAR CIOBA W PRAKTYCE



**Obraz naszej światowej
WSPÓLNOTY**

Cena \$ 5 plus porto \$ 1.

Polish „Domek”, Bethlehem, CT. 06751

oraz w księgarniach polskich.

video
kontakt

WYDAWNICTWO KASET VIDEO

Wspomaga niezależne wydawnictwa

Kaset video w Polsce ▷ rozpowszechnia

Nia ich kasety za granicą ▷ realizujemy

Je filmy oparte na materiałach

W kraju nie osiągalnych • przeznaczone

Cza dochód ze sprzedaży kaset na

Rozwój kultury niezależnej w Polsce

Ce • proponuje filmy o związanej

Z Polską tematyce politycznej, historycznej,

Rycznej, kulturalnej i społecznej

• osobom zainteresowanym wysyłamy

My ulotki reklamowe z opisem

POSZCZEGÓLNYCH TYTUŁÓW

video
kontakt

42, rue Raymond Marcheron, 92170 VANVES, France, tel: 46 45 87 16

Eugenia Piórkowska, Nowy Jork — w 5-tą rocznicę śmierci
Meża śp. Jerzego Jana Piórkowskiego, zmarłego 1 paździer-
nika 1982 — \$ 23,00 F. 138,00

Dochód z opłaty za wstęp na odczyt prof. Alicji Iwańskiej
w Sztokholmie 19 sierpnia 1987 r. po potrąceniu Krs 250,00
na koszty wysyłki zaproszeń — na fundusz niezależnych
wydawnictw w Polsce (przekazał Norbert Zaba — Krs 300,00) F. 295,00

Sumę zebraną w Towarzystwie Przyjaciół „Kultury” w Sztok-
holmie na pokazie filmu video „Wieczernik” — na fundusz
niezależnych wydawnictw video w Kraju (przekazał Nor-
bert Zaba — Krs 240,00) F. 227,00

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Komitet Solidarności Rodzin Polskich — Dudley, Webster,
Worcester, MA (USA) — sumę zebraną po kolejnej mszy
św. za Ojczyznę, zorganizowanej przez Komitet (nadesłał
Jerzy Bielecki) — \$ 200,00 F. 1.200,00

RSP „Pomost”, Oak Park, IL (USA) (obie sumy nadesłane
przez Joannę Budzińską, skarbnika RSP „Pomost”) —
przekazuje:

— na „Solidarność” rejonu Śląsko-Dąbrowskiego sumę ze-
braną w ramach apelu Rozpłochowskiego na ręce
J. A. Górnego, przewodniczącego RKM Górnośląskiego
— \$ 110,00 F. 660,00

— na „Solidarność Walczącą” — \$ 100,00 F. 600,00
Mieczysław Stankiewicz, Pennsauken, N.J. (USA) — na „Soli-
darność Walczącą” w Polsce — \$ 10,00 F. 60,00

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — na fundusz drukarski
— Lit 100.000 F. 450,00

I. Poklewska, Bollnas (Szwecja) — na Fundusz Pomocy Nieza-
leżnej Literaturze i Nauce Polskiej — £21,65 F. 212,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1987.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 8539.

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str.
New Muckleneuk, Pretoria 0181

ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425
Buenos Aires

AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York
House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000.
Tel.: 29 1248

AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22,
Tel.: 0222/93 87 222.

BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenu-
merate do administracji « Kultury »

BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do adminis-
tracji « Kultury »

DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ-
garniach polskich w Paryżu

HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6,
4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.

IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby
Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311

KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville
Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar
Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4;
Very rev. Donald M. Malinowski, P.O. Box 68, Roy-
ston, B.C.; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N.,
Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopu-
szanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish
Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont.
M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiastowiec »),
1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8

NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.

SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74.
1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.

SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33
Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.

U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks
Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewa-
nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211;

T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145.
Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego,
Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road,
Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil-
waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554;

Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn.
06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347,
Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books,
2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415)
327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika »,
21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.:
(212) 354-0492

WIELKA Brytania: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken-
way Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210

WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60
Int. 27. Tel.: 75-67-241

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1986		
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
\$ can. 8,50	\$ can. 47,00	\$ can. 92,00
DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
\$ US 7,00	\$ US 35,00	\$ US 68,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 429 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

HISTORIA “CUDOWNEJ MELINY”

Dla licznych Czytelników „Cudownej meliny”, jednej z ciekawszych powieści krajowych ostatniego 15-lecia, nowa książka Orłosa stanowi konieczne i pasjonujące uzupełnienie. Orłoś wpadł na oryginalny i doskonały pomysł: opisuje dzieje swej powieści, zablokowanej przez cenzurę w kraju i wydanej z woli autora za granicą w „Bibliotece Kultury”. To jest główny wątek książki, który rzuca dużo nowego światła na sytuację polskich pisarzy nonkonformistycznych; wątek zbliżony do pewnego stopnia do tak poczytnej dziś w kraju książki J. J. Szczepańskiego „Kadencja”. Orłoś przeplata to opisami polskiej rzeczywistości w oczach pisarza skazanego na „nieistnienie”.

Str. 160.

Cena F. 70,00.

TOM 431 — J. M. BOCHEŃSKI

STO ZABOBONÓW

Krótki filozoficzny słownik zabobonów

Z przedmowy: „Słownik ten zostanie z pewnością przyjęty z oburzeniem, ponieważ nazywam 'zabobonami' wiele rzeczy, uchodzących powszechnie za szlachetne, czcigodne, ba, święte”. Kilka przykładów takich haseł: altruizm, Oświecenie, filozofia chrześcijańska, postęp, idealizm, młodość, marksizm, pacyfizm, prawda (moja), światopogląd (naukowy).

Str. 120.

Cena F. 55,00.

TOM 432 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1985-1987

Tom IV — zakończenie cyklu

Str. 192.

Cena F. 80,00.

TOM 433 — CZESŁAW MIŁOŚZ

KRONIKI

Nowy tom poezji

Str. 80.

Cena F. 45,00.